

A person wearing a dark, heavy coat and a dark hat is sitting on a set of concrete steps. Their hands are clasped together in their lap. The scene is lit with a cool, blue-green light, creating a somber and contemplative mood. The person's face is obscured by the hat and shadows.

 WIELKA LITERA

Kasper Bajon

Klug

Kasper Bajon

Klug



Nie wiedzielibyśmy tego wszystkiego, gdyby nie fizyka. Podobnie jak nie mielibyśmy pojęcia, że twarde stół, w który można mocno stuknąć, to przede wszystkim pustka, bo w atomach pustki jest znacznie więcej niż materii. Podobno cała ludzkość zmieściłaby się w objętości kostki cukru, gdyby z naszych atomów usunąć próżnię.

Wycinek z gazety

CZEŚĆ PIERWSZA

1. Artur Ritter

Dawnymi laty nawiązałem zażyłą znajomość z panem Arturem Ritterem. Pochodził on ze starej niemieckiej rodziny z Wrocławia i był podobno niegdyś zamożny, lecz pasmo niepowodzeń i kilka złych inwestycji zubożyło go doszczętnie. Chcąc uniknąć przykrości, jaką sprawiało mu przyglądanie się należącej niegdyś do jego rodziny eklektycznej willi wznoszącej się majestatycznie na skarpie nad jednym z dorzeczy Odry, jak i z powodu niechęci do Wrocławia jako takiego, pan Artur Ritter wyprowadził się do Graubergu, gdzie w zapuszczonej mieszczańskiej dzielnicy prowadził życie pogodnego, eleganckiego emeryta.

Grauberg (za złotych czasów pruskich Grauenüberberg) jest nader osobliwym miastem. Z lotu ptaka przypomina kwiat: składa się bowiem z pięciu zbudowanych na grzędzawiskach dzielnic, które rozlokowane są wokół kolorowego rynku. Ze wschodu na zachód przecina go zimna rzeka w kolorze ultramaryny. Z niedalekim Berlinem łączy Grauberg prosta, nudna asfaltowa droga (ciągnąca się monotonnie pośród pól i lasów), którą na początku września 1939 roku niemieckie czołgi, nie napotkawszy żadnego oporu, wjechały do miasta.

Do Graubergu przeprowadziłem się w wieku dwudziestu pięciu lat. Po skończeniu Akademii Teatralnej dostałem angaż w miejscowym teatrze, by pod okiem mistrzów szlifować swój warsztat aktora. Pamiętam, że ten ledwie draśnięty podczas wojny Grauberg, niezniszczony i stary, któremu zawsze bliżej było do majestatycznych miast niemieckich niż do miasteczek Kongresówki, dumny, abstrahujący od komunizmu Grauberg, wydawał mi się wtedy bajkową, wyjętą z historii krainą, do której trafiłem w nagrodę za coś, co bardzo dawno temu musiałem uczynić, a czego już kompletnie nie pamiętałem.

Pana Rittera poznałem któregoś majowego popołudnia, gdy po próbach do spektaklu *Poświęcenie królowej* wybrałem się na spacer do miejskiego parku w celu zaczerpnięcia świeżego powietrza. Siedział przy szachowym stoliku z rozłożonymi bierkami i chrypliwym głosem nakłaniał przechodniów, aby zmierzyli się z nim na pieniądze. Zachęcony, dosiadłem się do niego i rozegraliśmy składający się z kilku partii mecz. Nie pamiętam, jaki był ich wynik, ale wiem, że pan Ritter znalazł we mnie godnego siebie przeciwnika i odtąd regularnie spotykaliśmy się przy szachownicy.

To właśnie on jako pierwszy opowiedział mi o Jakubie Klugu. Tym

urodzonym w Królestwie Polskim szachiście, który latem 1888 miał rozegrać w Nowym Orleanie wielki mecz o mistrzostwo świata z niepokonanym wówczas Albertem Laufenbergiem, ale w przeddzień swojego wyjazdu do Stanów Zjednoczonych został w tajemniczy sposób zamordowany w jednym z brudnych zaułków nad Tamizą (czy to był na pewno Klug, Klug-temat, Klug-obsesja, Klug-zwierciadło, Klug-rzeka, Klug-studnia i morze?). Zmasakrowane ciało ubranego na czarno jegomościa londyńska policja znalazła siódmego czerwca 1888 roku. Kości miał zgruchotane jakimś ciężkim narzędziem, twarz doszczętnie spaloną, a wydłubane oczy spoczywały obok zwłok i spoglądały w niebo.

– Zaś na murze nieopodal był namalowany krwią żuk – powiedział Ritter i patykiem nakreślił na piasku dziwną figurę owada.

Ofiarę, czyli Jakuba Kluga, zidentyfikowano na podstawie paszportu, który nienaruszony spoczywał w wewnętrznej kieszeni surduta. Wszystko wskazywało na to, że nie był to zwykły mord, lecz raczej komunikat albo ostrzeżenie wysłane w świat. Przerazające odkrycie londyńskich funkcjonariuszy opisywały gazety po obu stronach Atlantyku.

2. Pochodzenie

Jakub Klug urodził się w Brzezinach w drugą styczniową niedzielę 1846 roku. Był pierwszym i jedynym dzieckiem średnio zamożnego kupca Marcina Hermanna Kluga, który jako misjonarz Towarzystwa Londyńskiego oprócz handlu zajmował się (z nie mniej marnymi rezultatami) nawracaniem Izraelitów na wiarę chrześcijańską – za co zresztą został w 1855 roku wydalony z Królestwa Polskiego. W ciągu dwudziestoletniej pracy misjonarskiej zdołał ochrzcić zaledwie dwunastu Żydów (z czego czterech siłą), wydrukował dziesięć numerów założonej przez siebie i wydawanej w języku jidysz gazetki „Złoty Kurz”, która powołując się głównie na Pismo Świąte, miała na celu udowodnienie wyznawcom mojżeszowym, że Jezus Chrystus jest oczekiwanym przez nich Mesjaszem. Nie nam wdawać się w kuluary działalności Towarzystwa Londyńskiego i dochodzić prawdziwych celów jego aktywności (członków TL oskarżano o malwersacje, spiskowanie, szpiegostwo...), wspomnę tylko, że miało ono wielu wrogów zarówno wśród gmin żydowskich, jak i w parafiach ewangelickich, wobec czego w roku 1854 Komisja Rządowa do spraw Wewnętrznych i Duchownych – podobno na prośbę prezesa Konsystorza Ewangelicko-Augsburskiego – wydała nakaz wydalenia członków Towarzystwa wraz z rodzinami z Królestwa Polskiego.

Po opuszczeniu zaboru rosyjskiego, biednego i ponurego, Klugowie przeprowadzili się do Grauenüberbergu, gdzie podobno w jednej z kamienic przy zbiegającej w stronę kolorowego rynku Alexanderstrasse (dziś Namiestnikowskiej) mieszkała część ich rodziny (tak sugeruje między innymi jeden z historyków szachów: Jan Oskar Peb^[1]).

W wykazie mieszkańców Alexanderstrasse w Grauenüberbergu, którego pożółkłe strony spoczywają w plastikowych foliach archiwum w Berlinie, nie figuruje nikt o nazwisku choćby zbliżonym do nazwiska Klug. Owszem, na pierwszym piętrze domu przy Alexanderstrasse 4 w latach sześćdziesiątych XIX stulecia mieszkał przez pewien czas pan pułkownik Gerhard von der Gluck, znany pisarz i podróżnik, autor między innymi *Tanga w Kongu*, ale jako stary junkier, który został oddelegowany do Grauenüberbergu w celu utrzymania dyscypliny w miejscowych koszarach, z pewnością z rodziną Klugów nie miał nic wspólnego. Zresztą antysemityzm von der Glucka nie jest żadną tajemnicą dla znawców i miłośników jego prozy, toteż możemy przypuszczać, że jeśli doszło do przypadkowego spotkania Marcina Hermanna Kluga z Gerhardem von der Gluckiem, to ten ostatni dał

z pewnością do zrozumienia ojcu przyszłego arcymistrza, że spotkania z kimś o tak wyraźnym, mięsistym, haczykowatym nosie nie są mu miłe.

Ustalenie zatem, czy przy Alexanderstrasse rzeczywiście mieszkali kuzyni Marcina Hermanna (być może byli to kuzyni jego żony, a matki naszego bohatera, Anny z domu Gunsberg) jest raczej niemożliwe. Dlatego musimy przyjąć za dobrą monetę słowa Jana Oskara Peba i uznać, że w 1855 roku do jednego z setek mieszkań na tej długiej, opadającej jak wstęga ulicy zapukał ubrany w granatowy niemodny szynel Jan Hermann Klug wraz z rodziną. Państwo X przyjęli go zapewne serdecznie i poczęstowali ciasteczkami kupionymi w piekarni pana Cukierkandla, tej samej, którą wiele lat później kilka na czarno ubranych mętów, prowadzonych przez tłustego konusa w rogatywce, zdemoluje i podpali pod pretekstem troski o rasę i inne tam pierdoły.

[1] 1 Jan Oskar Peb, *Szach w szachu – krótka historia matów*, Kraków 1949.

3. W Graubergu

Pierwsza wzmianka o Klugach w Grauenüberbergu, na jaką natrafiłem, pochodzi z 1858 roku. Jest to wyciąg ze skorowidza do ksiąg ludności stałej miasta Grauenüberberg, w którym Zarząd Miejski stwierdza, że „w skorowidzu chrześcijańskim stałej ludności m. Grauenüberberg z roku 1858 pod pozycją 604 figurują Jan Hermann Klug, urodzony w 1814 roku, oraz żona jego Anna, ur. w 1818 roku”.

Z tego roku pochodzi również wykaz ocen naszego przyszłego mistrza (zapisanego tutaj jako Jakub Klag) z czasów, gdy pobierał naukę w miejscowym gimnazjum pani Izabeli Lipman na ulicy Fryderyka II. Jakub – jeżeli wierzyć świadectwu – był uczniem trójkowym i swoimi wynikami w nauce nie przysparzał rodzicom zbyt wiele radości. Jedynie z biologii wykraczał poza średnią klasową. Zdarzało mu się czasem dostać nawet piątkę. Przypuszczalnie była to jednak – jak to się u nas mówi – kropla miodu w łyżce dziegciu, i pewnie w żadnym razie nie zmieniała niezachwianego przekonania nadto ambitnej pani Anny Klug, że urodziła kretyna.

4. Pani Matylda

Dokumenty z gimnazjum pani Izabeli Lipman w Grauenüberbergu (wraz z tym najbardziej mnie interesującym) otrzymałem od jej praprawnuczki, pani Matyldy Ney. Ta urocza, kochająca życie staruszka przyjęła mnie w swoim niedużym, zawałonym ciężkimi dębowymi meblami mieszkanku w Paryżu na drugim piętrze kamienicy przy bulwarze Malesherbes 9 w jedno z tych wiosennych francuskich popołudni, gdy trzyjezdniowe ulice szarego Paryża pachną wytwornymi kwiatowymi perfumami przechadzających się z wdziękiem eleganckich kobiet. Na żelaznym balkonie, z którego można było się przyglądać leniwej kawalkadzie samochodów sunącej w stronę Sekwany, poczęstowała mnie wybornym, gęstym espresso z kropelką mleka i amaretto.

Pani Matylda, jak się okazało, była profesorem entomologii na paryskiej Sorbonie i przez większość życia nużące wykłady dla czupurnych studentów przeplatała mniej nużącymi podróżami po całym świecie w poszukiwaniu najfantastyczniejszych owadzich okazów. Od śmierci męża mieszkała sama, a jej jedyną – i jak mówiła – ostatnią rozrywką było selekcjonowanie i dokładne opisywanie motyli, jakie przez lata swojej naukowej pracy zgromadziła w szklanych gablotkach w jednym z zacienionych pokoi swojego ponurego mieszkania.

Na kilka miesięcy przed moją wizytą ukazało się jej *opus magnum*, wieńczące, jak mówiła, wiele lat ciężkiej naukowej pracy dzieło życia – ośmiotomowa *Wielka encyklopedia owadów nieznanych*, w której znajduje się ponad dziesięć tysięcy haseł opisujących między innymi owady występujące w mitologiach świata, owady, których istnienie potwierdzone jest tylko w źródłach pisanych i ikonograficznych, owady, które powinny istnieć ze względu na logikę ewolucji, ale nie istnieją, a w końcu owady, których tylko pojedyncze osobniki są znane nauce.

Oczywiście nie piszę tutaj o tej encyklopedii bezpodstawnie, ot tak sobie. Nie jest to też bynajmniej moja słabość do dygresji. Wręcz odwrotnie. Na Malesherbes 9 miał bowiem miejsce dość osobliwy zbieg okoliczności.

Gdy pani Matylda postawiła przede mną dwa wielkie pudła z dokumentami gimnazjum Grauenüberbergu, zapytała raz jeszcze (wcześniej uczyniła to przez telefon), kto mianowicie z uczniów jej praprababki mnie interesuje. Kiedy odpowiedziałem, że Jakub Klug, na chwilę zamyśliła się, po czym zaprowadziła mnie do swojej biblioteki, gdzie na niedużym

stoliczku do kawy leżało osiem tomów (część jeszcze była nierozpakowana) jej monumentalnego dzieła. Pani Matylda wzięła do ręki jeden ze środkowych woluminów i zaczęła kartkować. Chwilę jej to zajęło, zanim wypowiedziała cichym głosem triumfalne: – O! Mam! Proszę spojrzeć! – i wskazała palcem na czarno-białe zdjęcie niewielkiego chrabąszcza i na podpis pod nim: *Carabus klugi*.

To czarno-szare chitynowe stworzonko schwytał w 1880 roku w Egipcie niejaki J. Klug w miejscu wykopalisk prowadzonych przez ówczesną sławę archeologii Wilhelma Stieblitza, odkrywcę między innymi Lotofagii i Ladrotonii. Zbieżność nazwiska (i pierwszej litery imienia) mogła się wydać przypadkowa, ale ja – wietrząc dramaturgię zbiegów okoliczności – wiedziałem już, że odkrywca tego gatunku żuka, ten kryjący się za chitynowym pancerzem *Carabus klugi* elegancik w białym słomkowym kapeluszu, piaskowych krótkich pantalonach i kremowych podkolanówkach, ten puszczający do mnie oko filutek, nie jest nikim innym jak Jakubem Klugiem właśnie, Jakubem Klugiem, którego poszukiwałem, Jakubem Klugiem pierwszym, zwycięzcą turnieju w Bayonne.

DODATEK I. CHRABĄSZCZ

Carabus klugi jest potężnym, mierzącym blisko cztery centymetry żukiem, z nadzwyczaj twardym czarno-złotawym pancerzem, podobnym do skarabeuszy z rodziny *Caput homini*. Jedyne znany okaz *Carabus klugi* znajduje się w Muzeum Historii Naturalnej w Berlinie, pod numerem identyfikacyjnym 87 32I. Ten charakterystyczny chrabąszcz posiada jedynie dwie pary nóżek i potężne czółka. Skrzydła ma niezwykle małe jak na tak potężny odwłok, co każe nam przypuszczać, że *Carabus klugi* najprawdopodobniej nie potrafi latać.

5. Spinacz

Gdy w internetowej wyszukiwarce Beetle wpisze się hasło: „Wilhelm Stieblitz”, wyskakuje około pięciu tysięcy stron, z czego większa część poświęcona jest wielkiemu archeologowi, a nie innym Wilhelmom Stieblitzom – między innymi właścicielowi hodowli pudli w Bonn, prezesowi dużego koncernu motoryzacyjnego, scenografowi z hanowerskiego teatru czy młodemu adeptowi sztuk walki, który niedawno wygrał swoją pierwszą potyczkę na zawodowym ringu.

W nieocenionej kopalni wiedzy zmanipulowanej, jaką jest Wikipedia, można przeczytać, że Wilhelm Stieblitz urodził się w 1843 roku w obskurnym zamku pod Tybingą, w rodzinie zubożałego arystokraty Alfreda Stieblitza, który – jak niesie wieść gminna – wynalazł spinacz do papieru. Co ciekawe, spinacz do papieru okazał się przedmiotem absolutnie niepodległym ewolucji. Pierwszy wynaleziony przez Alfreda Stieblitza, wykonany z niebytu egzemplarz nie różni się właściwie niczym od dzisiejszych, przypominających przerwana spiralę myśli spinaczy, które są esencją współczesnej pracy biurowej (spięcie i przepięcie jest tym, co w pracy za biurkiem jest najprzyjemniejsze). I aby nie być gołosłownym, poniżej załączam fotografię przedstawiającą spinacz Stieblitza z muzeum w Tybindze, który – jak widać – z godnością wszystkich swoich późniejszych pobratymców pozostaje, rok w rok w rozkroku:



6. Stieblitz

Ale przecież nie o spinaczach ta książeczka (ten esej) traktuje, tak więc do rzeczy. Wilhelm Stieblitz, jak podaje niemieckojęzyczna strona poświęcona jego osobie (www.wilhelmstieblitz.de), przez pierwsze lata nauki, spędzone w rodzinnym zamku pod okiem najrozmaitszych guwernerów, nie zdradzał najmniejszego zainteresowania kwestiami historycznymi ani tym bardziej archeologicznymi. Z zapałem studiował natomiast łacinę, która – jak w przyszłości miał powiedzieć – nauczyła go „jasno wyrażać myśli i w sposób logiczny formułować wypowiedzi”. Dopiero na uniwersytecie we Wrocławiu, na który w 1861 roku posłał go ojciec w nadziei, że spore oddalenie od domu pozytywnie wpłynie na syna i z ułożonego chłopca, chodzącego w szelkach i z kokardą pod szyją, uczyni mężczyzną we fraczku i fularze, zaczął zdradzać niezdrowe – jak uważała rodzina – zainteresowanie archeologią i zamierzchną przeszłością. Po blisko dwóch latach studiów na wydziale prawa w Breslau latem 1863 przeniósł się na Uniwersytet Fryderyka Wilhelma w Berlinie, by tam, pod okiem sławnego Richarda Karla Lepsiusa, poświęcić się w pełni swojej ówczesnej wielkiej pasji: egiptologii.

Jeszcze we Wrocławiu łaknący intelektualnych wyzwań Wilhelm Stieblitz zaczął uczęszczać na tajne spotkania równie tajnego stowarzyszenia Skarabeusz, na których zarażeni rewolucyjnymi nastrojami młodzieńcy w loczkach i z puchem pod nosem czytali sobie na głos dzieła nawiedzonego mistyka z XV wieku Jana Venegora, zwanego potocznie Białym Janem z Antwerpii. Dzisiaj lektura jego szalonych dzieł może wydać się li tylko podróżą po meandrach niezrównoważonego umysłu, intelektualnym ćwiczeniem skwitowanym kpiarskim uśmiechem, ale w połowie XIX wieku w Prusach, pod których egidą w niedługim czasie miały zjednoczyć się Niemcy, ten rodzaj spędzania czasu przez młodych ludzi (świece, wino, niezdrowa lektura) piętnowany był z całą represyjną zapalczywością policyjnego państwa. Toteż spotykający się w wynajętych mieszkaniach, na poddaszach, w wilgotnych piwnicach członkowie bractwa Skarabeusz żyli w ciągłym strachu przed nagłym, brutalnym wtargnięciem policji, w wyniku którego nawet na kilka lat mogli trafić do pruskich kazamatów.

7. Stieblitz i Klug

O znajomości Wilhelma Stieblitza z interesującym nas Jakubem Klugiem napomyka w swojej plotkarskiej książce poświęconej erotycznym podbojom tego pierwszego pani Roksana Bejp^[2]. „W tym czasie – pisze – nazbyt rozbrykany Wilhelm przyjaźnił się podobno z pewnym pochodzącym z Grauenüberbergu, nieznanym z nazwiska szachistą”. I dodaje w swoim niewyszukanym, prostolinijnym stylu: „Połączyła ich miłość do szachów i długonogich blondynek”.

Nie dałbym wiary słowom pani Bejp i na tak wątpliwe źródła się nie powoływał (szczególnie że w odpowiedzi na mój kurtuazyjny list z zapytaniem, czy wie coś jeszcze o przyjaźni Stieblitza z owym szachistą, dostałem uszczypliwą i arogancką odpowiedź, żebym – krótko mówiąc – nie mieszał się w nie swoje sprawy), gdyby nie przypadkowe odkrycie. Wertując archiwalne numery „Schachzeitung der Berliner Schachgesellschaft” natrafiłem na przedostatniej stronie jednego z numerów na partię: Kugl^[3] – Stieblitz (1:0), która została rozegrana we wrocławskim klubie Adolfa Anderssena zimą 1863 roku. To definitywnie rozwiało wszelkie moje wątpliwości. Miałem niepodważalny dowód na to, że Klug ze Stieblitzem na pewno się znali. Być może nawet – jak chce pani Bejp – przyjaźnili się i razem szlajali po wrocławskich lupanarach, gdzie poddawali się wdziękom tak przez nich rzekomo uwielbianych długonogich blondynek (notabene taką długonogą blondynką była – jak mi zdradził pan Artur Ritter – wieloletnia kochanka Kluga, rewiowa aktoreczka Szkarłatna Scarlett).

Zamieszczona w „Schachzeitung der Berliner Schachgesellschaft” partia jest pierwszą znaną partią przyszłego mistrza. W jego grze było już widać zaczątki późniejszego szalonego i romantycznego stylu: gambitowe otwarcie, walka o przejęcie inicjatywy od pierwszych posunięć, agresywna gra w centrum, szybki, bezpośredni atak na króla, osiągnięty z pomocą ofiary (w tym wypadku gońca). Ta partia zdradza nie tylko wielki talent gracza, ale przede wszystkim wskazuje na jego niemałe doświadczenie. Choć pozostaje niewiadomą, kiedy Klug zapoznał się z szachami, to na podstawie rozegranej ze Stieblitzem partii można wcale niebezpiecznie domniemywać, że w chwili wybuchu powstania styczniowego Jakub Klug miał za sobą kilka lat solidnej gry i niejeden ciężki mecz na koncie.

[2] Roksana Bejp, *Der Hoche Berg*, Stuttgart 1967, s. 23.

[3] Zapewne literówka.

8. Powstanie

Jakub Klug, jak sugeruje Jan Oskar Peb, pojawił się we Wrocławiu w 1861 roku:

„Po opuszczeniu rodzinnego Grauenüberbergu i kilkumiesięcznym szwendaniu się po Europie za tatusiowe pieniądze (Nadrenia, Bawaria i Szwajcaria) kolejnym krokiem młodego Jakuba była immatrykulacja na Wydziale Historii Sztuki Uniwersytetu Wrocławskiego. Jako student figuruje on w księgach wpisowych od 25 lutego 1861 roku do semestru letniego 1866 roku. Zaraz po rozpoczęciu nauki żądny przygód i wiedzy przyszedł mistrz partii lombardzkiej (zwanej też partią Viscontich) wariantu *velocissimo* został członkiem Towarzystwa Literacko-Słowiańskiego^[4], co jednoznacznie wskazuje na to, że jeszcze w młodości Jakub Klug czuł się Polakiem!

Niemniej przynależność naszego bohatera do zacnej organizacji samokształceniowej, która nie tylko prowadziła wykłady dla studentów, ale również w swej niezmierzonej szlachetności udostępniała im polonika z własnej biblioteki, nie brzmi aż tak fantastycznie jak mało komu znany fakt, na który notabene natrafiłem w archiwum w Graubergu, że Jakub Klug figurował na liście studentów podejrzanych o udział w powstaniu styczniowym!^[5]. Tyle Jan Oskar Peb.

Rzeczywiście Jakub Klug znajduje się na tej liście^[6], jednakże przypuszczenie, że przyszedł pogromca Winawera u boku innych studentów przedostał się przez granicę do Królestwa Polskiego i wspomógł powstańcze szeregi, wydaje mi się nie tyle nawet absurdalne, ile idiotyczne. Najprawdopodobniej w dniu 18 lutego, gdy na Uniwersytecie Wrocławskim przeprowadzano wśród polskich studentów kontrolę obecności, Jakub Klug zamiast na zajęciach był w klubie szachowym Adolfa Anderssena i doskonalił jedną ze swoich obron. Być może tego dnia grał nawet z Wilhelmem Stieblitzem i zapis tej właśnie partii Anderssen umieścił w „Schachzeitung der Berliner Schachgesellschaft”. Dodam tylko na marginesie, że podczas kolejnej kontroli obecności, przeprowadzonej w czerwcu 1863 roku, Jakub Klug uczestniczył w zajęciach.

^[4] Towarzystwo Literacko-Słowiańskie działało na wrocławskiej Alma Mater w latach 1836–1886. Jego zadaniem było badanie i kultywowanie języków oraz literatur słowiańskich, a zwłaszcza języka i literatury polskiej.

[5] Jan Oskar Peb, *Szach w szachu*, op. cit., s. 43.

[6] Jest to spis polskich studentów należących w większości do Towarzystwa Literacko-Słowiańskiego, którzy podczas kontroli obecności w dniu 18 lutego nie byli na zajęciach. Ich nazwiska wywieszono na tablicy ogłoszeń i wezwano ich do natychmiastowego podjęcia nauki „pod rygorem skreślenia z listy studentów”.

9. Bretzdegger, Glitztropp i Skarabeusz

Wciąż nie wiadomo, czy podczas studiów we Wrocławiu przyszedł zwycięzca turniejów w Bayonne (1877), Baden-Baden (1879), Ulm (1881), Sztokholmie (1881), Poznaniu (1882), Dublinie (1883), Paryżu (1884), w Wiedniu (1885) i Londynie (1886) przynależał do tajnego stowarzyszenia Skarabeusz. Niemniej z dużą dozą prawdopodobieństwa możemy przypuszczać, że już na pierwszym roku studiów Jakub został jednym z jego członków. Wprawdzie nieoceniony Jan Oskar Peb utrzymuje, że dopiero w 1880 roku nasz bohater przystał do Skarabeusza, ale w tej drobnej kwestii, przy całym szacunku dla autora *Szacha w szachu*, pozwolę sobie na drobną polemikę.

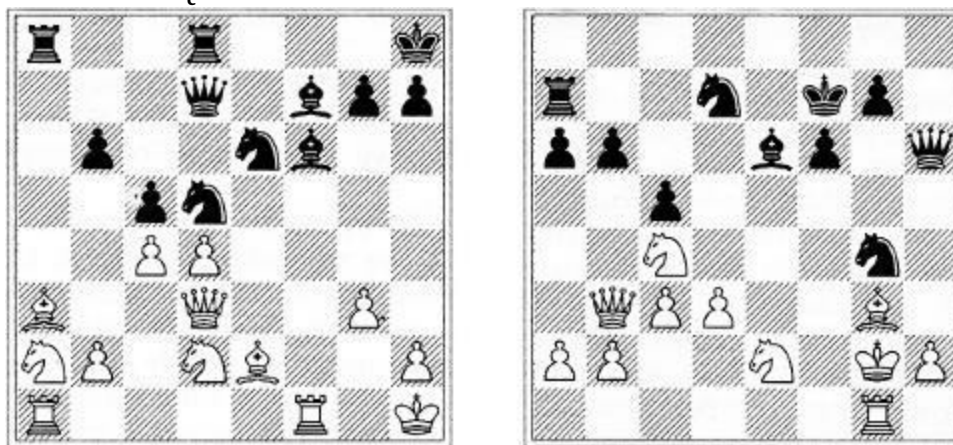
Już podczas swojego pierwszego dużego turnieju w Berlinie w 1870 roku, gdzie Jakub Klug zajął świetne czwarte miejsce – za Anderssenem, Minckwitzem i Louisem Paulsenem – w kularach przebąkiwano o dziwnych związkach łączących go ze stowarzyszeniem Skarabeusz, które wtedy, spowite jeszcze nimbem tajemniczości, uchodziło za niebezpieczne i wrogie zjednoczeniu Niemiec. Świadczy o tym dobitnie między innymi artykuł pana Adolfa Munka z „Neue Berliner Schachzeitung”, którego fragmenty pozwolę sobie przytoczyć we własnym tłumaczeniu:

„Tej wiosny pogoda w Berlinie była okropna i wszędzie pachniało stęchłąką, dlatego gawiedź, zamiast spędzać popołudnia na spacerach i grze w krikota, tłoczyła się w dusznym klubie na Munzstrasse 5, gdzie odbywał się wielki turniej szachowy z udziałem najwybitniejszych graczy naszych czasów. (...) Dużą niespodzianką była wysoka, czwarta lokata ciemnowłosego żółtodzioba, którego nazwisko wymownie przywodzi nam na myśl zwykłe szczęście^[7]. We wspaniałym stylu rozprawił się między innymi z Minckwitzem, silnym amatorem Richterem, Sanderem, Schallopem i Zuckertortem, który jak dziecko dał się złapać w jego przemyślną pułapkę i w dwunastym ruchu przyjął poświęcenie wieży, by po kolejnych dziesięciu posunięciach musieć poddać partię. (...) Jednakowoż dobre wrażenie, jakie wywarł młody gracz na kibicach i przeciwnikach podczas turnieju, szybko zostało zatarte, gdy ostatniego dnia zmagania, pod wieczór, opuścił klub w towarzystwie niecieszącego się dobrą reputacją pana Joachima Bretzdeggera i jego koleżków, z którymi, jak nam doniosło kilka uprzejmych osób, spędził resztę nocy na pijaństwie i niewybrednych rozrywkach”^[8].

Ów Joachim Bretzdegger (a właściwie Stanislav Rudolf Wilkomirsky),

o którym wspomina Adolf Munk, był Mistrzem (tak kazał się tytułować) stowarzyszenia Skarabeusz: „jego sercem i mózgiem” – jak po latach zeznają oskarżeni o próbę zamachu na cesarza Wilhelma II dwaj członkowie sekty: Bazyli Bernstein i Jan Łukomski^[9]. W latach 1859–1865 studiował na Wydziale Medycznym Uniwersytetu Wrocławskiego.

W 1866 roku, pomimo swojego sprzeciwu dla zjednoczenia Niemiec, Bretzdegger wziął udział w bitwie pod Sadową po stronie pruskiej i „odznaczył się nie lada bohaterstwem, ratując ранnego kapitana Hermanna Glitztroppa”^[10]. Przypuszczam, że w bitwie tej uczestniczył również Jakub Klug – być może był nawet ordynansem tegoż kapitana. Latem 1867 roku w „Neue Berliner Schachzeitung” zostały zamieszczone diagramy dwóch partii, które rozegrali ze sobą w dniu pierwszego lipca w miejscowości Brünn (Brno na Morawach) Hermann Glitztropp i znacznie przewyższający go kunsztem szachista, kryjący się pod inicjałami J.K. (nie mam wątpliwości, że jest to Jakub Klug właśnie^[11]). Miało to miejsce na dwa dni przed tym, jak w rejonie Hradec Králové (niem. Königgrätz) i Sadowej stanęło naprzeciwko siebie pół miliona żołnierzy pruskich i austriackich, by stoczyć decydującą o losach Niemiec bitwę.



Sam, czytelniku, przyznasz, że jest mało prawdopodobne, żeby Jakub Klug przyjechał do Brna w przeddzień wielkiej bitwy tylko po to, by zagrać w szachy z niezłym amatorem, jakim był Glitztropp. Zatem wniosek nasuwa się sam: nasz bohater zapewne uczestniczył w bitwie pod Sadową, choć w przeciwieństwie do Bretzdeggera niczym specjalnym się nie odznaczył. No, może poza tymi dwiema świetnie rozegranymi partiami.

O początkach znajomości Kluga z Bretzdeggerem nie wiemy nic. Zakładam jednak, że poznali się już we Wrocławiu, gdy obaj studiowali na miejscowym uniwersytecie. Oczywiście nie można jednoznacznie przesądzić,

że również w tamtym czasie Jakub przystał do stowarzyszenia Skarabeusz, być może stało się to kilka lat później, ale na pewno nie był to rok 1880 – jak uważa Jan Oskar Peb. Artykuł Adolfa Munka sugeruje, że już w 1870 roku Klug należał do najbliższych ludzi Bretzdeggera, a ci werbowali się wyłącznie z członków stowarzyszenia – „innym Bretzdegger po prostu nie ufał”^[12]. Przypuszczalnie do Skarabeusza wprowadził Kluga przyszły odkrywca starożytnego miasta Rabbask Wilhelm Stieblitz jeszcze w 1863 roku!

Na ciekawe odkrycie zupełnie przypadkowo natrafiłem, gdy w jednym z dusznych archiwów stolicy Niemiec natknąłem się na akta kapitana Hermanna Glitztroppa. Okazało się, że ten pochodzący ze Śląska oficer, którego pradziadowie zajmowali się wydobywaniem złota w Sudetach, w 1871 roku został oskarżony o przynależność do tajnych stowarzyszeń i spiskowanie przeciwko cesarzowi. Zmarł w tajemniczych okolicznościach w przeddzień swojego procesu. Prawdopodobnie został otruty. Nazwy tajnych stowarzyszeń, do których miał przynależeć Glitztropp, nie zostały ogłoszone, jednakowoż nie posunę się chyba w swoich domniemaniach zbyt daleko, gdy uznam, że jedno z nich to było stowarzyszenie Skarabeusz właśnie.

Zatem w bitwie pod Sadową, jak przypuszczam, wzięło udział co najmniej trzech członków Skarabeusza: Joachim Bretzdegger, Jakub Klug i kapitan Hermann Glitztropp. Być może ich ukrytym celem było sabotowanie działań armii pruskiej i niedopuszczenie do jej zwycięstwa? Są to jednak tylko moje przypuszczenia. Pewności nie mam. Zresztą jaki wpływ na kilkusettyśieczną armię mogło mieć trzech w gruncie rzeczy szeregowych żołnierzy? Niemniej w świetle rewelacji o Glitztroppie uratowanie go przez Bretzdeggera nie jawi się więcej jako bezinteresowne bohaterstwo (za co zresztą po bitwie Bretzdegger został odznaczony orderem i otrzymał pieniężną nagrodę), ale raczej jako troska o jednego z członków stowarzyszenia, których w tamtym czasie nie było wcale jeszcze tak wielu. Dopiero za kilka lat ich liczba miała się potroić.

^[7] Z nazwiskiem Klug rymuje się niemieckie *Gluck* (szczęście).

^[8] „Neue Berliner Schachzeitung”, 1870, s. 222–224.

^[9] Por. stenogramy z tzw. Procesu Skarabeusza, który odbył się latem 1890 roku w Berlinie.

[10] *Skarabeusz wśród ludzi*, Reks Aron, Warszawa 1991, s. 25.

[11] Świadczy o tym debiut (Partia Lombardzka), agresywna gra (zwłaszcza w środkowej fazie pojedynku), doskonałe kombinacje (będące w przyszłości znakiem firmowym Kluga), a w końcu styl i fantazja.

[12] *Skarabeusz wśród ludzi*, op. cit., s. 36.

10. Skarabeusz wśród ludzi

...Wyżej cytowaną biografię *Skarabeusz wśród ludzi* podarował mi pewnego wieczoru właśnie Ritter, gdy po jednym z moich spektakli (był to chyba *Sandokan w Sandomierzu*) rozegraliśmy długą i wycieńczającą partię w jednej ze staromodnych kawiarenek Graubergu. Jej autor, Reks Aron, podobno był swego czasu przyjacielem Artura Rittera (jeszcze gdy obaj mieszkali we Wrocławiu), ale poróżniła ich albo kobieta, albo polityka, albo jedno i drugie – szczerze mówiąc, nie do końca pamiętam. W każdym razie pan Ritter niechętnie opowiadał o swoim dawnym koledze.

Wydany własnym sumptem *Skarabeusz wśród ludzi* jest rojącą się od błędów ortograficznych i literówek sprawnie napisaną opowieścią o życiu Joachima Bretzdeggera i o założonym przez niego w 1860 roku stowarzyszeniu Skarabeusz, które – jak uważa mój przyjaciel pan Ritter – jeszcze dzisiaj skupia w swoich szeregach tysiące zakamuflowanych członków. Małych Skarabeuszków. Wśród zatrzęsienia faktów i dat, opisów niewesołego dzieciństwa Stanisława Wilkomirsky’ego, jego przepraw z apodyktycznym ojcem – pastorem w jednej ze śląskich wsi, której nazwa nikomu dzisiaj nic nie powie; wśród pobieżnych streszczeń lektur przyszłego Wielkiego Mistrza (między innymi *Traktatów* zapomnianego dziś Białego Jana [Venegora] z Antwerpii, pseudonaukowych opracowań poświęconych doketyzmowi i donatyzmowi we wczesnym średniowieczu, pism Giordana Bruna i Hieronima Cassy), można wyłuskać garstkę – dosłownie garstkę – informacji, czym w rzeczy samej było stowarzyszenie Skarabeusz.

Swoją strukturą przypominało średniowieczne sekty heretyckie, a w szczególności założoną przez Jana Venegora w XV wieku w Antwerpii sektę aurumistów, której tragiczny koniec znany jest wszystkim pilniejszym studentom i miłośnikom zarania historii nowożytnej^[13].

[13] Aurumiści zostali wybici w pień przez swoistego rodzaju wyprawę krzyżową w przeddzień reformacji. Pomysłodawcą wyprawy i jej głównym sponsorem był papież Leon X (Giovanni di Lorenzo de Medici), a na jej czele stanął kondotier Piero „Gazzo” Giallomite, późniejszy łupieżca Lukki.

11. Zanim postąpię krok dalej w opisywaniu życiowych perypetii Jakuba Kluga, zanim pomknę za jego cieniem, zanim zapomnę, zanim pójdę za nim...

„Aurumiści negowali dogmat Boga Ojca – pisze znawca tematyki profesor Jacques Tumagian w swojej pracy *Na kresach wiary i herezji*. – Uważali, że siłą sprawczą i najpotężniejszą jest Duch Święty, nazywany w pismach Jana Venegora, alias Białego Jana z Antwerpii *Spiritus caraboides*, a w ikonografii wyobrażany przez sporej wielkości żuka. *Spiritus caraboides* miał mieć trzy wcielenia: Abrahama, Mojżesza i najwyższe: Jezusa Chrabąszcza-Parakleta. Materialną emanacją Ducha Świętego było, zdaniem aurumistów, również złoto. Nie mieli jednak na myśli złota wydobywanego z ziemi, wykuwanego ze skał, wypłukiwanego z piasku, a jedynie «Błade Złoto», tajemny stop metali, z którego zrobione było należące do Białego Jana z Antwerpii, pochodzące podobno z Pałacu Królów w starożytnym mieście Rabbask, wypukłe zwierciadło (potocznie dzisiaj zwane Zwierciadłem Venegora), w którym, według legend, zaklęte miały być losy świata”^[14].

Zagadka „Błatego Złota” do dzisiaj pozostaje nierozwiązana. Wiszące obecnie na szczycie jednego z filarów katedry w Kolonii zwierciadło Venegora wielokrotnie poddawane było chemicznym analizom. Nie dały one jednak odpowiedzi, z jakiego stopu metali jest ono zrobione.

– Z chemicznego punktu widzenia ono właściwie nie istnieje – powiedział mi kiedyś pan Ritter, który swego czasu żywo interesował się aurumistami.

W Kolonii zwierciadło znalazło się dopiero na początku XVII wieku. Co się z nim wcześniej działo, czyli po śmierci Białego Jana (1499) i rozbiciu sekty aurumistów (1515) – nie wiadomo. Zdaniem wielu historyków przez lata znajdowało się w watykańskich skarbcach, aż wreszcie któryś z papieży postanowił podarować ten dla niego nic nieznaczący kawałek zaśniedziałego metalu kolońskiemu arcybiskupowi. Choć są też tacy, co uważają, że zwierciadło zabrała ze sobą grupa odszczepieńców, którzy kilka dni po śmierci Białego Jana zbiegli z Antwerpii wraz z należącymi do sekty skarbami i osiedlili się na terenach dzisiejszego Śląska. Wedle tej wersji zwierciadło miał kolońskiemu arcybiskupowi sprzedać pochodzący

z Goldbergu Gustaw Käfer, który w pewne zimowe popołudnie, bosi i wygłodzony, zawitał do Kolonii i w nieukończonyj miejscowej katedrze, gdzie znalazł bezwietrzne schronienie, spędził noc.

Zwierciadło Venegora powieszony jest na samym szczycie filaru, tuż u sklepienia, taflą do ściany – tak by nikt nie mógł się w nim przejrzeć. Legenda głosi, że w XIX wieku jeden z budowniczych, który pracował przy renowacji katedry, zajrzał w głąb zwierciadła i postradał zmysły. W przewodnikach po Kolonii można też przeczytać o tajemniczych zniknięciach ludzi, którzy rzekomo mieli zostać wciągnięci przez zwierciadło, czy o cudownie odnalezionych dzieciach, jak też o zmartwychwstałych, których z kolei to diabelskie zwierciadło miało z siebie wypluć^[15]. Zresztą sam arcybiskup Rudolf Wartenberg, który podobno kupił zwierciadło od tajemniczego przybysza ze Śląska, po kilku dniach od zakupu miał umrzeć w tajemniczych okolicznościach. Znalazony go martwego nad jednym z miejskich kanałów dopływających do Renu. Twarz miał nienaturalnie wykrzywioną, jakby przed śmiercią trawiły go straszny ból i przerażenie. Oczy, szeroko otwarte, były wywrócone białkami do góry, usta zaś rozdzierał niemy krzyk. W skrzyżowanych na piersi rękach trzymał zwierciadło Venegora wypełnione pomarańczowym słońcem. Sam Gustaw Käfer, którego od początku śledztwa miejscowe władze podejrzewały o zamordowanie arcybiskupa, przepadł bez śladu. I zapewne z czasem stały się jedynie spowitym mgiełką niedopowiedzenia znakiem na kartach historii, nieco bezsensownym punktem bez współrzędnych i odniesień, rozpluwającym się w nieskończoności epizodem, gdyby nie fakt (jakże wymowny, jakże łatwy do przeoczenia!), że jego prawnuk Gustaw Käfer II w 1701 razem z badaczem Antoine’em de la Monthe Cadillakiem założył nad cieśniną łączącą jeziora Erie i St. Clair miejscowość o nazwie Fort Pontchartrain, czyli dzisiejsze Detroit. Co więcej, na jego nazwisko można także natrafić przy okazji lektury dokumentów dotyczących życia i śmierci kapitana Williama Kidda. Gustaw Käfer II był bowiem jednym z cudownie ocalałych pasażerów 400-tonowego żaglowca „Black Frog”, na który Kidd napadł u wybrzeży Trynidadu zimą 1698 roku.

Wróćmy jednak do aurumistów. Na przeciwległym biegunie niż *Spiritus caraboides* i Blade Złoto stawiali oni nie szatana, którego notabene uważali za jednego z pełnoprawnych aniołów broniących dostępu do rajy, lecz niematerialną siłę, nazywaną w pismach Jana Venegora *Chronopodą* – „stworzycielką czasu i złota”. W tym wypadku mowa już o dobrze nam

znanym, zwykłym złocie, w którym aurumiści upatrywali źródła wszelkiego zła. Co ciekawe, stworzone przez *Chronopodę* złoto i czas łączył jakiś niejasny, podskórny związek. „Jedno nie może istnieć bez drugiego – nierozzerwalnie połączone w spirali kołowrotu rzeczy!” – pisał Jan Venegor w jednym ze swoich traktatów, które z rzetelnością godną naukowca i zaangażowaniem wyznawcy przyswajał sobie po zajęciach na wrocławskim uniwersytecie Joachim Bretzdegger.

Zatem członkom sekty aurumistów nie wolno było otaczać się złotem ani zegarami. Wszystek skarb – a mieli skarbów niemało, bo w większości sekciarze to byli bogaci flamandzcy kupcy i członkowie ich rodzin – musieli oddać Venegorowi, który jako jedyny miał być odporny na zgubne działanie drogocennego kruszcu. Warte fortunę precjoza – zegary, złote kielichy, francuskie, hiszpańskie, niemieckie monety, naszyjniki, pierścienie, klejnoty, pasy przetykane złotem, kadzielnice czy wazy ponczowe ozdobione misternie cyzelowanymi winnymi liśćmi i korowodami bachantek – spoczęły w wielkim należącym do Venegora skarbcu, gdzie rzekomo miały ulec zniszczeniu. Oczywiście nic bardziej mylnego. Dzięki zgromadzonemu bogactwu Wielki Mistrz mógł do woli urządzić niekończące się uczty, tajemne msze, korumpować urzędników, którzy teraz przymykali oko na działalność sekty, wreszcie samemu prowadzić wygodne, pełne dostatku życie nababa, które jeszcze niedawno, gdy był mało przedsiębiorczym, niezdatnym antwerpskim kupcem, było przecież niemożliwe.

Nie wiadomo, jak duże zasoby złota przez lata zgromadził przywódca największej natenczas sekty, albowiem wszystko po jego śmierci zostało rozgrabione przez odszczepieńców, którzy ze zrabowanymi ze skarbcza bogactwami uciekli na Śląsk. Tam zresztą kontynuowali na swój wykoślawiony sposób nauki mistrza i namawiali sudeckich górników z kopalni złota, by w zamian za zbawienie oddawali lwią część tego, co udało im się wydobyć. Przez blisko dwieście lat odszczepieńcy zgromadzili niemały kapitał. Latami sudeckie kopalnie wydobywały złoto tylko po to, by oddać je w ręce zbiegłych z Antwerpii aurumistów, których nauka w tym nie do końca światłym regionie trafiła na wyjątkowo podatny grunt. Ze zgromadzonych zasobów złota Wielka Rada Światła (pod koniec XVI i na początku XVII wieku należał do niej Gustaw Käfer), czyli najbardziej wtajemniczeni i wpływowi aurumiści, którzy już dawno temu przejrzeni na oczy, że działalność sekty niewiele ma wspólnego z religią, a więcej z wyłudzeniem i kupiectwem, opłacali miejscowe władze kościelne

i państwowe, by te – syte teraz i zadowolone – przymykały oko na ich nieuczciwą działalność. Jedynymi poszkodowanymi w tym całym procederze byli nieświadomi wszystkiego wyznawcy sekty, którzy naiwnie i aż do końca wierzyli w jej zbawczą siłę. Byli to w większości górnicy, wolni chłopci, drobni mieszczaństwo, biedni szlachcice i Żydzi, którzy na rzecz Wielkiej Rady Światła zrzekli się resztek swojego bogactwa. Oddawali całe swoje złoto w zamian za zapewnienie, że podczas Sądu Ostatecznego jako pierwsi przejdą przez niebiańskie, ukute z Białego Złota bramy. Pozbawieni środków do życia, bałwochwalczo oddani, byli całkowicie zależni od sekty, na której czele stało kilku bezwzględnych, jak się dziś uważa, oszustów, rzekomych spadkobierców Jana Venegora.

Dopiero pod koniec XVI wieku, gdy sudeckie złoża zostały doszczętnie wyeksploatowane, a kościelnym władzom i miejscowym notablom przestało odpowiadać wygodne życie w cieniu Wielkiej Rady Światła, kilka tysięcy żołnierzy wraz z wrogo nastawionymi do sekty mieszkańcami Sudetów ruszyło na krwawą rozprawę z aurumistami, podczas której w ciągu jednej nocy wymordowano w wyjątkowo brutalny sposób około trzech tysięcy Bogu ducha winnych, nieświadomych niczego wyznawców, wśród których były kobiety i dzieci. Ostrzeżeni w czasie członkowie Wielkiej Rady Światła (było ich około trzydziestu) szczęśliwie zdołali zbiec przed linczem, zabierając ze sobą – pod pazuchami, w kieszeniach i w ineksprymablach – ledwie promil tak skrzętnie przez lata gromadzonego bogactwa. Wśród uciekinierów był Gustaw Käfer, który za kilka miesięcy miał pojawić się w błotnistej, ciemnej Kolonii i sprzedać chciwemu arcybiskupowi Rudolfowi Wartenbergowi Zwierciadło Venegora. Następnie w ślad za innymi członkami Wielkiej Rady Światła, którzy w obawie przed represjami i w trosce o własne życie opuścili kontynent, udał się do Ameryki, gdzie – jak mniemał – czekało na niego wielkie bogactwo.

Taki był los odszczepieńców. Natomiast ci członkowie sekty Jana Venegora, którzy po jego śmierci zostali w Antwerpii i szerzyli nauki mistrza, prowadząc teraz żywot smutny i żebraczy, zostali zdziesiątkowani przez krucjatę, którą w 1515 roku zainicjował Leon X. Mijała ostatnia czerwcową niedzielą, gdy papiesko-niebieskie wojska jak huragan wtargnęły do miasta. Z kilku tysięcy członków sekty ocalało tylko paruset. Rozpierzchli się po całej Europie w obawie przed podzieleniem losu swoich współbraci, którzy przez następne dni płonęli na wszystkich placach i ulicach Antwerpii ku uciesze rozbawionej i spragnionej rozrywki gawiedzi. Odtąd spotykali się

tylko raz do roku – w świętego Jana – w podziemiach jednego z kościołów w Moguncji. Towarzyszyła im przemożna żądza zemsty na odszczepieńcach. Ich znakiem rozpoznawczym był wytatuowany na przedramieniu niewielki żuk.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

[14] Jacques Tumagian, *Na kresach wiary i herezji*, tłum. Feliks Morto, Warszawa 2003, s. 17.

[15] Tutaj na marginesie dodam, że tak owe dzieci, jak również owi cudownie przywrócenii życiu zmarli nosili w sobie niewidoczną na pierwszy rzut oka, ale jakże istotną skazę – byli mianowicie niejako negatywami samych siebie. To, co przedtem znajdowało się po ich lewej stronie ciała, teraz, po wyjściu ze zwierciadła, było po prawej. I na odwrót. I niestety, na ich nieszczęście, ta opaczność nie była tylko powierzchowna, ale wydawała się przenikać ich do głębi.

**PIĘĆ POMYSŁÓW NA TYTUŁ TEJ
KSIĄŻKI**

Agrypina ma katar

Commedia di Vagina

Sen, ty i męty

Czarodziej na lodzie

Ostatnia książka dla Oli

CZĘŚĆ DRUGA

1. Pytanie o realizm

Niektórzy niegodziwcy mówią, że Jakub Klug nigdy nie istniał, że został wymyślony przez grupę zdolnych, choć nie wybitnych szachistów z klubu Adolfa Anderssena, która w jakiś niejasny sposób związana była ze stowarzyszeniem Skarabeusz; że ktoś taki był im potrzebny dla ich tajemniczych i z pewnością też nie do końca etycznych celów, że tak wybitny gracz istnieć przecież nie mógł, szachista kompletny, równie mocny w defensywie, jak w ataku, mistrz wyjątków, przez całe życie niestrudzenie analizujący partie przeciwników, zwycięzca rekordowej liczby turniejów, szachowy esteta, który w 1887 roku osiągnął niemal niebiański jak na owe czasy ranking 2745 punktów, daleko w tyle zostawiając Czigorina, Gunsberga, Laskera, Tarascha, nie mówiąc już o Steinitzu, Blackburnie czy Schallopie.

Argumentują przy tym te psy zajadłe, że tak naprawdę nikt nigdy nie widział Kluga (czy da się w ogóle zobaczyć drugiego człowieka?!), że na turniejach grywał w karnawałowych weneckich maskach (bzdura), na co dzień zaś nosił długi zarost i przyciemniane okulary, za którymi mógł się przecież kryć każdy, że podczas symultan był zawsze w innym pomieszczeniu aniżeli przeciwnicy i nigdy osobiście nie gratulował pokonanym, że swoją najwybitniejszą partię ze Steinitzem w 1883 roku rozegrał za pomocą telegrafu (co było równie wielkim wydarzeniem w dziejach szachów, jak w historii techniki) przy znikomej liczbie świadków, więc to wcale nie musiał być on.

Że nie ma wcale pewności, czy w wymyślonej przez dwóch tajemniczych Hindusów maszynie „Blitz”, młodszej siostrze słynnego „Turka”, która w 1884 roku wygrała zorganizowany przez bractwo kurkowe turniej w Mannheimie, za „niepokonany, bezbłędny – jak go określali wynalazcy – mechanizm” nie robił czasem właśnie schowany w jej wnętrzu Jakub Klug (jak mógł jednocześnie siedzieć w maszynie i z nią grać, głupcy?!), że nie ma jego zdjęć, że nawet po tragicznej śmierci w żadnej z gazet nie pojawił się choćby jeden jego wizerunek, że drukowane w fachowej prasie partie, które rzekomo rozegrał z mistrzami z całego świata, nie były w istocie jego partiami^[16], słowem, uważają oni, że Jakub Klug, tak, ten nasz Jakub Klug, jest wielkim, zakrojonym na szeroką skalę oszustwem. Jak maszyna „Blitz”, jak zakłady bukmacherskie, jak depesza emska.

Nie mnie się ustosunkowywać do tych wątpliwych rewelacji, a raczej

psychiatrom, tym tropicielom spiskowych teorii. Nie mnie odpierać te bezpardonowe ataki, mieszać to podłe tałatajstwo z błotem. Nie po to przecież ślamazarnie przeprowadzałem dogłębną kwerendę, gromadziłem dokumenty, świadectwa, zeznania, nie po to godzinami siedziałem w archiwach, muzeach i bibliotekach, by teraz wdawać się w awantury z ludźmi, którzy nie zasługują nawet na to, by wspomnieć ich tutaj z imienia i nazwiska. Spór jest to bowiem o wiele głębszy, niż tej hołocie mogłoby się zdawać – spór jest to bowiem o istnienie świata! Stop, pauza! Ja, skromny biograf, marny aktor, początkujący dramaturg, mała mysz wśród tytanów myśli, na kartach tej niewielkiej książeczki nie będę go przecież rozwiązywać. Czym wszakże jest istnienie? Basta! Zbyt dużo umysłów legło pod gruzami tego zagadnienia.

[16] Powołują się przy tym na jeden taki przypadek: na wydrukowaną w „Chess Monthly” rozegraną podobno w 1877 roku w Bazylei partię Kluga z Schallopem, która w istocie okazała się partią z meczu Kieseritzky’ego z Birdem, bodajże w 1852 roku w londyńskim Giddon’s Cigar Divan.

2. Mistrz

Jakub Klug (czy samo imię i nazwisko nie jest już jakąś rękojmią istnienia?), łysy blondyn, rudy brunet, ukończył studia na wydziale historii sztuki we Wrocławiu jeszcze przed bitwą pod Sadową. O końcowych ocenach naszego bohatera nie wiemy nic. Do naszych czasów, które są przecież dziejowym pogorzeliem, nie przetrwał niestety jego wypisany gęsim piórem dyplom. Możemy przypuszczać jednak, że wyniki na studiach tego wspaniałego gracza, nieoficjalnego mistrza świata (tak go przecież nazywali londyńscy przyjaciele), były na tyle zadowalające, że już w następnym roku umożliwiono mu – przy niewielkim wszakże wsparciu komisji stypendialnej – kontynuowanie nauki na studiach doktoranckich, pod okiem wybitnego znawcy włoskiego renesansu: profesora Tomasza Schorma. Zamierzał ten nasz szkrab napisać monografię o dziele mało znanego, ale wybitnego malarza Sebastiana Alfiera da Talamone zwanego Il Gufo pt. *Odpoczynek przy szachach*. Na owych zamiarach (nigdy zresztą niezrealizowanych) upłynęło mu kilka lat, które, gdy potem je wspominał, zlały mu się w wielokolorowe pasmo przypadkowych i niezbyt dotkliwych klęsk i wspaniałych zwycięstw – tak w życiu, jak i na czarno-białej szachownicy. Był to słodki i beztroski okres (ostatni taki w życiu), gdy w gruncie rzeczy wszystko układało się po jego myśli i jakby za sprawą potężnej siły gnało w jednym, świetlanym kierunku. Wspaniałe zakończenie młodości.

Przypadkowe gorące romanse z kobietami najróżniejszej proweniencji przetykał chwilami (wszak niedługimi) przepracowanymi w bibliotece i godzinami spędzonymi przy szachowym stoliku w słodkich oparach cygar i koniaku. Z dnia na dzień stawał się coraz lepszym graczem. Nie powtarzał błędów. Uczył się na każdej przegranej, nocami analizował słabości swoich posunięć, ćwiczył i grał, by wkrótce – zupełnie niespodziewanie – stać się jednym z najlepszych szachistów we Wrocławiu. Jego silną pozycję ugruntowały dwa wygrane mecze: z Anderssenem oraz błyskotliwe zwycięstwo nad Minckwitzem, który będąc przejazdem w Breslau, odwiedził miejscowy klub szachowy. Nieświadom zagrożenia ze strony młokosa, butny i pewny siebie, gdy został zaproszony przez Jakuba Kluga do gry, dobrotliwie usiadł przy jego stoliku, chcąc zapewne udzielić mu solidnej lekcji. Ku nieskrywanej radości zebranych w klubie miejscowych szachistów zaledwie w ciągu trzech godzin dostał, co tu dużo gadać, tęgie lanie (3:0,

przy jednym remisie) i rozwścieczony czym prędzej pognął do Lipska, gdzie w wydawanej przez siebie „Schachzeitung” obsmarował graczy z kręgu Adolfa Anderssena w krótkim artykule zakończonym w ten oto sposób: „pewnemu zaś młodemu niesympatycznemu jegomościowi, z którym rozegrałem trzy wyrównane partie (sic!) w warunkach mi urągających, zalecam więcej skromności i pokory: *Ne sutor ultra crepidam!*”^[17].

Nie ulega wątpliwości, że ten ostatni ustęp wieńczący artykuł lipskiego mistrza jest bezpośrednio skierowany do jego niedawnego pogromcy: do Jakuba Kluga, który po meczu z Minckwitzem miał podobno powiedzieć do zgromadzonych przy stole swoich przyjaciół: „Ha, nawet się nie zmęczyłem, możemy iść dziś w miasto!”. Czy było tak istotnie? Nie wydaje mi się. Jakub Klug był nadzwyczaj dobrze ułożonym młodym człowiekiem, któremu wszelkie grubiaństwo było z natury obce. Zresztą Minckwitz szanował jako doskonałego szachistę i świetnego redaktora, dlatego też wątpię, by pozwolił sobie na tak ostentacyjne postponowanie jego osoby. Myślę, że po meczu nie doszło do żadnej scysji pomiędzy graczami, a uszczypliwą uwagę podyktował Minckwitzowi jego choleryczny charakter, dobrze znany wszystkim ówczesnym szachistom.

Zwycięstwo nad Minckwitzem otworzyło przed Klugiem podwoje szachowego parnasu. Jego nazwisko (nieraz śmiesznie przekręcane lub wydłużane: Kulig, Gluck, Klugmann itp.) coraz częściej było wymieniane wśród nazwisk najmocniejszych niemieckich szachistów. Jego partie przywoływano w branżowych rozprawach, powoływano się na jego pomysły, w końcu wieszczono mu wielką karierę i zapraszano na turnieje, gdzie grał z zawodnikami z całego świata. Nagle z dnia na dzień, z partii na partię, z gracza wyśmianego w skali regionu przeistoczył się w gracza wyśmianego w skali kontynentu, którego winni obawiać się szachowi luminarze pod każdą szerokością geograficzną. Pierwsze międzynarodowe turnieje, jakie rozegrał, nie były być może najwyższej rangi, ale to właśnie na nich okrzepł jako szachista i nie tylko podszkolił się taktycznie, ale przede wszystkim nauczył się trzymać nerwy na wodzy i poskromił swój niecierpliwy, zbyt zapalczywy charakter, który tak często podczas gry podsuwał mu na pozór atrakcyjne, a w rzeczywistości zupełnie bezsensowne posunięcia, skazujące go na porażki.

Grał teraz spokojnie i z rozwagą, niczym stary wyjadacz. Nie tracił przy tym swojej największej zalety: fantazji i odwagi w podejmowaniu nieszablonowych, przewrotnych, ale już przemyślanych decyzji, które

pozwalają mu odnosić tak świetne, do dziś analizowane przez graczy na całym świecie zwycięstwa, jak na przykład niestandardowy gambit w meczu z Zuckertortem (Berlin, 1875), gdy Klug, będąc już właściwie pod ścianą, poświęcił gońca i dwa piony, by po kilku następnych posunięciach zdobyć przewagę i w 78. ruchu zwyciężyć. Dlatego po dziś dzień wielu znawców i miłośników bezproduktywnego spędzania czasu nad sześćdziesięcioma czterema polami żałuje, że nigdy nie doszło do spotkania Jakuba Kluga ze znakomitym Paulem Morphem, tym pochodzącym z Nowego Orleanu nieokrzesanym Rimbaudem szachów. Obaj mistrzowie preferowali podobny styl gry, odważny, szalony, a jednocześnie doskonały technicznie, jednym słowem nowoczesny. Dlatego ich starcie, z pewnością krwawe i wycieńczające, byłoby prawdziwą szachową ucztą, która wniosłaby do wiedzy o tej królewskiej grze znacznie więcej aniżeli jednostronny mecz Morphy'ego z Anderssenem (Paryż, 1858), gdzie nieostatni raz zresztą europejski mistrz musiał uznać dominację przeciwnika zza Atlantyku. Jestem przekonany, i w tym przekonaniu nieodosobniony, że każda partia Kluga z Morphem byłaby kamieniem milowym w rozwoju szachów, swoistą rewolucją, która na zawsze odmieniłaby oblicze gry, prawdziwym meczem o tytuł najlepszego szachisty XIX wieku.

[17] „Schachzeitung”, 1870, s. 17.

3. W tournée

Trzeciego lipca 1871 roku na wrocławski dworzec wjechał z hukiem dwucylindrowy czarno-złoty parowóz, napędzany trzema osiami, który oprócz antracytowego tendra ciągnął za sobą rząd zielonych wagoników z czerwonymi dachami. Do jednego z tych wagoników kryjących się w gęstych chmurach pary, która wypluta przez lakierowany komin leniwie opadała na peron, wsiadł wyjątkowo tego dnia podekscytowany Jakub Klug i ruszył w swoje pierwsze tournée. W ciągu roku miał rozegrać kilkadziesiąt meczów z najlepszymi szachistami Europy, od Petersburga aż po Londyn, wziąć udział w ponad pięćdziesięciu symultanach i wystąpić w czterech turniejach. Wszystko na koszt... No właśnie, czyj? Tego niestety nie wiadomo.

Na dworzec odprowadzili go Joachim Bretzdegger (być może to on i jego organizacja byli sponsorami tournée), kilku wrocławskich szachistów z klubu Adolfa Anderssena oraz trzy kochanki: wysokie kokoty w piórkach i staromodnie drapowanych kolorowych sukniach. Żadna z nich nie wiedziała o istnieniu dwóch pozostałych. Ku uciesze Jakuba patrzyły teraz na siebie wściekle, tak jakby zaraz miały rzucić się sobie do gardeł. Choć wszystkie ubrane były równie tandetnie i pstrokato, w tym samym niedefiniowalnym kurewskim stylu, to każda krzywiła się teraz na widok garderoby dwóch pozostałych, wyśmiewając je w duchu i pomawiając o brak gustu. A gdy przyszedł czas pożegnań i ubrany w zieloną liberię tragarz wniósł bagaże Kluga do luksusowego jednoosobowego przedziału w wagonie numer cztery, trzy wyglądające jak egzotyczne ptaki kokoty zaczęły prześcigać się w okazywaniu czułości swojemu zawstydzonemu kochankowi, który tym był im droższy, że nigdy nie szczędził gotówki na ich szale, perfumy i pantofle. I dopiero Bretzdegger przerwał ten żenujący taniec godowy, wyrwał Kluga z objęć nachalnych zapłakanych kochanek, uściskał go po przyjacielsku i kazał wsiadać do powoli przebiegającego kołami pociągu („jedziesz podbijać świat, nie zostań więc na dworcu”). Kolorowe, pachnące olejkami eterycznymi ptaszyny opuszczały teraz dworzec ze smutną, ale jakże nieobcą im świadomością, że już wkrótce będą musiały poszukać sobie nowych, równie suto szastających gotówką adoratorów ich wątpliwej urody.

4. Warszawa

Pierwszy przystanek: cuchnąca wyziewami z zapchanych studzienek kanalizacyjnych, brudna, szara Warszawa. Plotkująca o rzekomej epidemii cholery na Pradze i wiecznie obawiająca się dyfterytu. Skąpana w błocie metropolia, gdzie pachnące fiołkami damy w żorzetach i elegancy panowie w żabotowych koszulach i szapoklakach mijali, ba, niemal rozjeżdżali swoimi fiakrami, berlinami, wolantami, resorowanymi koczami biegnących do pracy po nieprzespanej nocy bladych urzędników w poplamionych szynelach, mieszkających w ruderach suchotniczych studentów (którzy za cały dobytek mieli stęchłe piernaty i suche pajdy komiśniaka), wynędzniałych Żydów w dziurawych chałatach, zwykłych złodziei czy całe w czerwieni pulchne dziwki w aksamitach.

Jakub Klug, niezwykle elegancki i wypachniony (tak, chciał zrobić dobre wrażenie), zatrzymał się w mieszkaniu pana Marcina Rosberga, znanego warszawskiego kupca, właściciela trzech białych kamienic podpartych kariatydami, wielkiego miłośnika szachów. Pan Rosberg uchodził za gracza marnego, niewymagającego, ale za to hojnie płacącego za pojedynki z arcymistrzami. Poza tym pałał do gry w szachy tak wielką, choć niestety nieodwzajemnioną miłością, że nie szczędził także funduszy na organizację najrozmaitszych meczów pomiędzy najlepszymi szachistami, którym w swym dyletanctwie uwielbiał się przyglądać.

Tak więc już pierwszego dnia swojej wizyty w stolicy Królestwa Polskiego Jakub Klug rozegrał z Rosbergiem pięć partii, z których wszystkie wygrał w nie więcej niż czterdziestu posunięciach. Za pierwszym razem warszawski kupiec grał z dwoma pionami for, za drugim ze skoczkiem for, za trzecim ze skoczkiem i gońcem for, za czwartym z wieżą i skoczkiem for, a za piątym – najbardziej wyrównanym – z hetmanem for. Nazajutrz w jednej z zadymionych warszawskich kawiarni Klug rozegrał na ślepo (czyli bez spoglądania na szachownice) symultanę z dwunastoma silnymi amatorami. Wygrał dziesięć partii, a dwie zremisował. Najważniejszy był jednak mecz z Winawerem, który odbył się w gustownie urządzonej w mieszkaniu Rosberga w trzecim, czwartym i piątym dniu pobytu Jakuba Kluga w Warszawie. Mecz był szeroko komentowany w „Tygodniku Ilustrowanym” i skończył się nieznacznym zwycięstwem Kluga (+6, -4, =5). Podobno po meczu Winawer miał powiedzieć, że mimo porażki i tak cieszy się z tych czterech wygranych przez siebie partii, „urwać bowiem punkt tak

znakomitemu graczowi naprawdę nie jest łatwo – wieszczę mojemu przeciwnikowi prawdziwie wielką karierę”^[18].

^[18] „Tygodnik Ilustrowany”, 1871, 10 VII 1871.

5. Berlin

Po Warszawie przyszedł czas na Berlin, gdzie Klug był już dobrze znany (przed rokiem wziął tutaj udział w turnieju i zajął zaskakująco wysoką, czwartą lokatę). Na Munzstrasse 5 rozegrał dwie symultany, najpierw z sześcioma, potem z dziesięcioma graczami, a ich bilans to dwanaście partii wygranych, trzy zremisowane i jedna przegrana. Rozegrał też kilka niezobowiązujących gier z miejscowymi zawodnikami i wziął udział w skromnym czteroosobowym turnieju zorganizowanym przez „Neue Berliner Schachzeitung”, podczas którego zmierzył się z Zuckertortem, Jeanem Dufresne i sierżantem Richterem.

W pierwszych dwóch partiach Jakub Klug łatwo pokonał Richtera. Następnie, ku zaskoczeniu wszystkich, po długich i wyrównanych potyczkach ledwo wygrał, a potem tylko zremisował z Dufresne'em, by na samym końcu, pod wieczór, wprzód wspaniale zwyciężyć Zuckertorta, a następnie, w ostatniej partii turnieju, idiotycznie z nim polec i z bilansem 4,1 punktu uplasować się na drugim miejscu, tuż za Zuckertortem i jego pięcioma wygranymi.

Swoją nie najlepszą dyspozycję z Berlina Jakub Klug miał w przyszłości tłumaczyć hulaszczym trybem życia, jakie tam prowadził. W ciągu dnia grał na Munzstrasse 5 i zabawiał eleganckie panie w półmazarinach wyszukаныmi dykteryjkami o malarzach doby renesansu, nocami zaś, gdy eleganckie panie spały w ciepłych pierzynach u boku swoich nudnych, ale za to bogatych mężów, włóczył się od meliny do meliny z przyjacielem Wilhelmem Stieblitzem, który od kilku albo nawet kilkunastu dni opijał swój „niebываły sukces”, jakim było zebranie funduszy potrzebnych na zorganizowanie archeologiczno-awanturycznej albo awanturniczo-archeologicznej wyprawy do Egiptu, gdzie miał zamiar odkopać zaginione miasto Rabbask. Być może w pijackich eskapadach, burdelowych bankietach, bijatykach i upokorzeniach towarzyszył im Joachim Bretzdegger, który pod koniec lipca albo na początku sierpnia – sam Reks Aron nie jest tego pewien – pojawił się w Berlinie, by podobno dobić targu z pewnym mało szykownym baronem von X. Według Arona Bretzdegger miał za grubą forszę odsprzedać baronowi skrzynię złotych florenów z XV wieku, w której posiadanie wszedł w dziwnych, nie do końca jasnych okolicznościach. Bardziej prawdopodobna była jednak wersja pana Artura Rittera. Jego zdaniem Bretzdegger skrzynią złotych monet zapłacił baronowi von X. za zamordowanie kapitana

Hermann Glitztroppa, którego proces o zdradę i spiskowanie przeciwko władzom miał się rozpocząć na dniach, a dokładnie ósmego sierpnia. Bretzdegger obawiał się, że Glitztropp, który człowiekiem był słabym, histerycznym i łatwym do złamania, będzie za wszelką cenę starał się ocalić swoją skórę i na sali sądowej, siedząc naprzeciwko dziennikarzy oraz żądnych skandalu gapiów, nagle zacznie sypać i pogrąży całe stowarzyszenie Skarabeusz. Na to Bretzdegger nie mógł sobie pozwolić. Dlatego zdecydował się zlikwidować kapitana, a pomóc mu w tym mógł tylko baron von X., który mimo braku szykowności i wyjątkowo podłej urody miał równie dużo przyjaciół wśród niemieckich elit, jak wśród złodziei, morderców i sutenerów, a jego wpływy na podobieństwo naczyń włosowatych rozchodziły się od ulicznego rynsztoku aż po najbliższe kręgi samego Wilhelma I. Dla niego zlikwidowanie Glitztroppa nie stanowiło żadnego problemu, było – co tu dużo gadać – banalnie proste, domagało się tylko sówitej zapłaty, a tę przecież Bretzdegger uiszczył.

– Tylko po co Bretzdegger miał płacić baronowi von X. za zamordowanie Glitztroppa, skoro sam baron, ten, jak pan mówi, arystokratycznie urodzony berliński rzezimieszek, od lat należał do Skarabeusza? – zapytałem Rittera podczas jednej z naszych potyczek.

6. Anglia

Po Berlinie Lipsk, Drezno, Stuttgart i Frankfurt. Wszędzie Jakub Klug spotykał się z miejscowymi szachistami, rozgrywał symultany, uczestniczył w niewielkich turniejach, udzielał wywiadów, randkował z młodymi kobietami z *le monde à coté*, zauroczonymi jego manierami, ogładą i niepospolitym intelektem, który olśniewał równie często przy szachownicy, co podczas intymnych *tête-à-tête* z córkami kupców, fabrykantów, wysoko postawionych urzędników, mecenasów, lekarzy i bankrutujących arystokratów. I zanim pojechał do Londynu, gdzie stawiał czoło najlepszym brytyjskim szachistom i poznał Szkarłatną Scarlett, z którą miał go połączyć związek o tyle dziwny, ile niejednoznaczny, rozegrał około trzystu partii, z których gros wygrał, a jego sukcesy (czasem tak spektakularne jak zwycięstwo w dziesięciu posunięciach z mocnym amatorem, bankierem Loewem, którego córka jeszcze przez dwa lata pisała do niego nazbyt jak na damę wylewne listy) opisywały fachowe gazety po obu stronach kanału La Manche. Stopniowo rodziła się legenda Jakuba Kluga, szachisty niebezpiecznego, eksperymentującego z debiutami mistrza kontrataku, który czas wolny od potyczek dzielił pomiędzy dogłębne studia partii takich mistrzów, jak Louis Paulsen, Adolf Anderssen, Wilhelm Steinitz czy Paul Morphy, a przelotne, namiętne romanse z niezbyt ładnymi, ale za to w pełni oddanymi mu kobietami.

Londyn jak to Londyn przywitał go mżawką. Jeszcze silnik parowy nie ostygł w stojącym na dworcu Paddington turkusowym dwuosiowym parowozie (tzw. Stirling Single – z kołami o średnicy ośmiu stóp i z cylindrami parowymi umieszczonymi, niezgodnie z tradycją angielską, na zewnątrz), który przed kilkoma miesiącami na trasie Londyn–Jork osiągnął niebotyczną jak na tamte czasy prędkość 115 km/h, gdy pragnący podbić Anglię Jakub Klug zjawiał się w City of London Chess Club, gdzie na jego cześć urządzono całkiem wystawny bankiet. Wśród witających go gości byli najlepsi angielscy (i nie tylko) szachiści, z Blackburne’em, Birdem, Potterem i młodziutkim Cecilem de Vere na czele. Na kilka minut, jakby *en passant*, zjawiał się również sam Wilhelm Steinitz, na pojedynku z którym Klugowi, jak również nieznoszącym Steinitza i chcącym utrzyć mu nosa londyńskim szachistom najbardziej zależało. Przywitali się chłodno, chwilę porozmawiali, po czym poprzysięgli sobie, że dołożą wszelkich starań, by ich mecz mógł się odbyć. Stawką miało być czterysta funtów, które w równych

proporcjach wnieślioby obaj gracze.

– Przyślę do pana swoich sekundantów i wkrótce, mam nadzieję, spotkamy się przy stole – miał powiedzieć Steinitz.

Jednakże tym razem do meczu pomiędzy dwoma świetnymi szachistami nie doszło. Problem ze znalezieniem sponsorów, jak i chwilowe zdrowotne niedomaganie Steinitza zaprzepaściły szansę na ich pierwszą konfrontację.

Na Wyspach Jakub Klug rozegrał kilkanaście meczów z najlepszymi brytyjskimi szachistami. Z nadzieją angielskich szachów Cecilem de Vere wygrał po zaciętym starciu osiem do czterech, przy dwóch remisach, Blackburne już na samym starcie przegrał osiem partii z rzędu i musiał pogodzić się z porażką, zanim się jeszcze na dobre rozgrzał. Bird, którego gwiazda już w tamtych latach przygasła, wyrwał Klugowi tylko jeden punkt na dziesięć partii (!) i zniesmaczony swoją postawą podobno popadł w wielomiesięczną melancholię. Również Potter i Mason czy weteran szachów Owen (niegdysiejszy rywal Morphy'ego), z którymi Klug zagrał w Klubie Świętego Jerzego, nie byli równorzędnymi przeciwnikami dla młodego szachisty i w sumie zdołali pokonać go tylko trzy razy. Najtrudniej było wygrać z Wiskerem. Niemniej jednak obfity w zaskakujące posunięcia, pełen dramaturgii mecz, którego wynik ważył się do ostatniej partii, *summa summarum* skończył się szczęśliwie dla Kluga (+6, -5, =4)^[19].

^[19] Przed wyjazdem z Anglii Klug jeszcze raz spotkał się z Wiskerem i tym razem wygrał z nim bez większego problemu (+8, -2, =0).

7. Scarlett

Pomiędzy meczami, turniejami i przyjacielskimi potyczkami nasz mistrz brał udział w wielu imprezach promujących szachy, fetach i spotkaniach, podczas których, dla rozrywki i wygłupu, dawał pokazy gry symultanicznej na ślepo. Odwiedzał również uniwersytety, gdzie udzielał lekcji studentom i profesorom. Chodził na wystawy koni wierzchowych. Nudził się. Bankietował.

Swoimi sztytami na wiedeńską modłę surdutami, pantalonami, frakami ze złożonymi guzikami, kaszmirowymi krawatami zamęczał londyńskich krawców.

Dwa dni spędził na poszukiwaniu eleganckich, wywijanych skórzanych rękawiczek, które pasowałyby do jego dopiero co zakupionego haweloka i cylindra. Kupił lakierki. Kortowe spodnie. Nudził się. Wreszcie zaczął uganiać się za kobietami. Przesyłał im kwiaty. Całował ręce. Nudził się. Odpinał podwiązki. Marszczył pończochy z trykotu. Tonął w taftach. Rozgryzał gorsety. Wąchał tasiemki zaplątane w loki. Nudził się.

Aż w końcu na jednym z wystawnych bankietów, chyba u sir Randolpha Churchilla, gdzie pito whisky i palono cygara, poznał początkującą wodewilową aktorkę, uroczą, pełną życia, trochę głupiutką Szkarłatną Scarlett. Jej fioletowe usta, zielone oczy, blade policzki i duże piersi wywoływały w nim niepokojące, ledwie mu znane przyjemne uczucie wszechogarniającej czułości – to samo, które przed laty nie pozwalało mu zasnąć, gdy po pocałunku matki na dobranoc, podniecony ciepłem jej warg, przewracał się z boku na bok, we wciśniętym w kąt dusznej sypialni łóżku gdzieś na drugim piętrze piaskowej kamienicy i przypominał sobie przy tym zdobioną krostkami szyję służącej oraz jej pokryte meszkiem, wyglądające spod spódnicy łydki.

Szkarłatna Scarlett, szkar-łat-na-ład-na-Scar-lett, ciepło twoich ud, zapach włosów i smak języka, szkarłatna – moje spełnienie i troska, Scarlett, marzenie śnione gdzieś na rubieżach istnienia.

Początki ich znajomości są tyle banalne, ile sztamkowe. Pierwsze spotkanie, drugie, trzecie... Kwiaty, aksamit, biżuteria. Pocałunki, duszne noce, pijaństwa, awantury. Turniej, kolacja, miłość, turniej... Jakub Klug był wreszcie szczęśliwy. Towarzyszyło mu złudne poczucie, że w końcu wszystko zmierza w dobrym, wyznaczonym przez łaskawy los kierunku. Anglia bez dwóch zdań została zdobyta. Nie zmieniał tego fakt, że nie doszło

do najbardziej oczekiwanego meczu między nim a Steinitzem.

Ostatnie tygodnie spędzone w Londynie, ostatnie nudne, pachnące fiołkami, deszczowo-słoneczne tygodnie poświęcił kochance. Rzadko brał teraz udział w turniejach i meczach, nie pojawiał się na Downing Street w otwartym w 1828 roku przez Samuela Riesa Divanie, częściej zaś bywał w małym teatrze Quote, gdzie Szkarłatna Scarlett – jak utrzymuje pani Josephine Fine, autorka jej krótkiej biografii o nieco pretensjonalnym i jakże przewidywalnym tytule *Szkarłat* – „wśród pomruków i beknięć publiczności, w zapachu stearyny występowała w roli pobożnej Marlenne w dość trywialnej sztuce *Tłó*”^[20]. Klug pojęcie o teatrze miał takie jak Scarlett o szachach, ale nie przeszkadzało mu to w emfatycznym wychwalaniu – wątpliwego – talentu kochanki. Pochwały z ust przyszłego zwycięzcy Wielkiego Turnieju w Bayonne ta początkująca aktorka, być może miłość jego życia, inspiracja dla ruchów gońca, algorytm skoczka, spijała z prawdziwym ukontentowaniem. Do czasu.

W dniach od 7 do 14 czerwca 1872 roku w City of London Chess Club zorganizowano Klugowi pożegnalny turniej. Za kilka dni nasz bohater miał wsiąść na statek i ruszyć w dalsze szkarłatne tournée, między innymi do szkarłatnych Włoch, Francji, Hiszpanii, Austrii. Na turnieju pojawili się wszyscy najlepsi londyńscy szachiści, oprócz jakże nieszkarłatnego Steinitza. Stawką było sto funtów, które wyłożyli żądni szkarłatno-szachowych fajerwerków dwaj londyńscy bankierzy George T. Woods i Harold Resting. Klug nie bez trudu zwyciężył, ponosząc aż dwie porażki (z de Vere'em i Wiskerem) i dwa razy remisując (z Birdem i Gossipem).

Wieczorem ostatniego dnia turnieju odbył się wykwinny bankiet. Po wręczeniu nagrody głównej (jakieś okrągłej sumki i pucharu) wszyscy pokonani szachiści wzniesli toast na cześć Kluga, a potem pili jego zdrowie do upadłego, zamasyście się przy tym stukając kielichami. Następnie przyszedł czas pożegnań. Uściski dłoni, klepanie po plecach, siarczyste męskie pocałunki, i dopiero koło drugiej w nocy Jakub Klug, odurzony alkoholem, na wpół przytomny, znalazł się w swoim kremowym pokoju na trzecim piętrze jednego z londyńskich hoteli, gdzie w samej halce, skropiona perfumami czekała na niego Scarlett. To szkarłatnie płaczące maleństwo.

Na statek wsiadł 16 czerwca 1872 roku. Było ciepło, ale pochmurno. Ciśnienie 1005 hektopaskali. Najpewniej spadało. O godzinie 13.24 wciągnięto trap. O 13.30 statek odbił od nabrzeża. Siedzące dotąd na falochronach mewy wzbiły się do nieba. Jakub Klug stał na pokładzie

i spoglądał w stronę roztaczającego się przed nim bezkresnego morza. Za sobą zostawiał podbitą Anglię. I jej szkarłatną królową Scarlett.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ



Paul Morphy

[20] Josephine Fine, *Szkarłat*, tłum. R.R. Grauberg, 1992.

PIĘĆ KSIĄŻEK, Z KTÓRYMI NINIEJSZA BĘDZIE BIĆ SIĘ O MIEJSCE NA LIŚCIE BESTSELLERÓW

Czarodziej ze Smyrny

Wzruszająca i trzymająca w napięciu opowieść o przyjaźni bizantyjskiego malarza i nieprzejednanego kondotiera z Bari. Połączyła ich namiętność do piękna i przemocy.

Mężczyźni, którzy nie śpią

Skandynawski kryminał, którego akcja rozgrywa się w latach osiemdziesiątych XX wieku w Sztokholmie. Detektyw Ingmar Dahlin próbuje rozwikłać zagadkę morderstwa premiera Szwecji. Trop prowadzi go na Sycylię, gdzie w jednej z górskich wiosek żyje ostatni potomek Stauffów.

Katalońska wendeta

Awanturnicza, acz niepozbawiona sentymentalizmu historia Artura de Buyens, przyjaciela cesarza Andronika II Paleologa. Osnuta na prawdziwych wydarzeniach fabuła opowiada o spustoszeniu Tracji przez Kompanię Katalońską.

Uciekinier z San Marco

Bestseller. Thriller, który trzyma w napięciu od pierwszej do ostatniej strony!

Florencja. XIV wiek. Seria morderstw wstrząsa miastem. Ofiarami są członkowie stronnictwa Gwelfów. Do akcji wkracza podesta Guido Albizzani, bohater dwóch poprzednich części trylogii *Klątwa Dantego*.

Listopad

Poetycka opowieść o robotniku ze Skopje, który w wypożyczanych przez siebie książkach pewnego poczytnego pisarza odnajdywał listy miłosne.

CZĘŚĆ TRZECIA

1. Tako rzecze Jan Oskar Peb

„Dlaczego jest coś, a nie nic? Bo nic być nie może, a coś być musi. Konieczność istnienia zaklęta w języku. Pytajmy raczej: dlaczego jest to, a nie coś innego? Albowiem wszystko przecież mogłoby wyglądać zupełnie inaczej – i naturalność (naturealność) nie ma tutaj nic do rzeczy. Granicą naszego poznania jest konieczna niepowtarzalność tego właśnie – danego – istnienia, która wszystkie inne, możliwe, choć niezaimstniałe scenariusze pozostawia w sferze spekulacji. Dlatego możemy tylko domniemywać, jak potoczyłby się mecz Jakuba Kluga z Albertem Laufenbergiem, gdyby ten pierwszy nie został zamordowany w przeddzień swojego wyjazdu do Nowego Jorku.

Oczywiście jeśliby wierzyć w istnienie równoległych wszechświatów, w których wszystko to, co u nas jest jedynie spekulacją, wydarza się istotnie, jeśliby wierzyć w istnienie tych małych bąbelków pary w garnku wrzącej wody, tych świecących drobinek zadość czyniących wszelkiej możliwości, to, bez żenady, tak! bez żenady, nie ośmieszając się, moglibyśmy powiedzieć, że mecz Jakuba Kluga z Albertem Laufenbergiem gdzieś się jednak odbył, ba, że meczów takich było co niemiara, i w równej proporcji wygrał je Klug, co Laufenberg, przy niezliczonej ilości remisów. Ale dość już! Wiara w równoległe wszechświaty jest wiarą naiwną i większego sensu nie ma, bo skoro wszystko, co może się wydarzyć, wydarza się, to w rzeczy samej nie wydarza się nic. A przecież coś jest i coś być musi”^[21].

^[21] Jan Oskar Peb, *Szach w szachu*, op. cit., s. 45.

2. Florencja

Bodajże w kwietniu 1873 roku przez Antwerpię (stoczył tam między innymi dwa mecze ze swoim przyjacielem, miejscowym arcymistrzem Robertem Abominem), Utrecht (kilka symultan), Kempen (musiał zobaczyć kościół), Stuttgart, Karlsruhe, Bazyleę (dobry, wygrany mecz z Augustem Merowaldem), Fryburg (tydzień wypoczynku) i Mediolan (kilka niezobowiązujących partii w cieniu remontowanej katedry) dotarł w końcu do pachnącej akacjami Florencji, gdzie oprócz kilkunastu włoskich szachistów (na czele ze znakomitym młokosem, mistrzem gry obronnej Giovannim Sanzą) czekał na niego Wilhelm Stieblitz, który lada dzień miał ruszyć w swoją wielką wyprawę do Afryki.

Florencja była miastem eleganckich pań noszących skrynowiny, zubożałych arystokratów, którzy z niechęcią przyglądali się jednoczącym się Włochom i wspominali minione czasy prosperity, obszarpanych Żydów, zwykłych bandytów w czarnych hajdawerach, z byle powodu sięgających po ostre koziki, kolorowych kuglarzy, węgierskich prestidigitatorów, angielskich turystów, nostalgicznych poetów, w końcu żebraków chorych na trąd, cuchnących ścieków i niezwyčajnie wielkich szczurów.

Jeśli się nie mylę, jeśli się nie myli pan Artur Ritter i w błędzie nie jest Jan Oskar Peb, to Jakub Klug, we Włoszech nazywany raz Kalgim, innym razem Gluchiem, spędził we Florencji dwa miesiące, z czego tylko sto dwadzieścia godzin poświęcił grze w szachy. W wydawanej w Wenecji gazecie „Lo Scacco” w październiku 1873 roku zostały wydrukowane dwa diagramy, na których niejaki Kubaklug (bez wątpienia chodzi tu o naszego bohatera, którego imię i nazwisko za sprawą włoskiego niechlujstwa zostały połączone w jeden dziwnie brzmiący wyraz) zmierzył się z nadzieją italskich szachów, wyżej wspomnianym Sanzą^[22]. Pierwszą partię (30 IV 1873) wygrał w czterdziestu posunięciach Kubaklug, natomiast w drugiej (20 V 1873) padł remis, z tym że przez długi czas przewagę miał Sanza i gdyby przy dwudziestym drugim posunięciu nie przeoczył doskonałej okazji do ataku, z pewnością bez trudu wygrałby tę partię.

W tej samej gazecie w numerze ze stycznia 1874 roku autor podpisujący się inicjałami K.B. opisał bankiet w kawiarni La Gazza, podczas którego „dla zabawy i rozrywki znudzonych gości” pochodzący z Niemiec szachista o „nadzwyczaj miłej fizjonomii podkreślonej żabim (sic!) wąsikiem” dał popis gry na ślepo przeciwko szesnastu graczom. Miało to miejsce w upalny

czerwcowy wieczór 1873 roku^[23]. Tajemniczy szachista, którym z pewnością był Jakub Klug, wygrał trzynaście partii, dwie przegrał i jedną zremisował. „Na uwagę zasługuje fakt – pisze K.B. – że jegomość niespecjalnie koncentrował się na grze. Swoje posunięcia dyktował jakby od niechcienia w przerwie pomiędzy jedną a drugą konwersacją, jednym a drugim kieliszkiem wina”^[24].

^[22] „Lo Scacco”, 1873, s. 214.

^[23] „Lo Scacco”, 1874, s. 24.

^[24] Tamże, s. 25.

3. Świt nad miastem Rabbask

Jakub Klug zamieszkał w kamienicy niedaleko palazzo Pitti, w ciasnym pokoju, za którego cały wystrój robiło niewygodne łóżko o dębowym wezglowiu i mały stoliczek na krzywych nóżkach, z lichtarzem na wypolerowanym blacie. Wczesnym rankiem do zamkniętych drewnianym skoblem drzwi pukał jak zwykle w świetnym humorze Wilhelm Stieblitz i zabierał go na kilkugodzinny spacer po mieście, urozmaicony wizytami w kościołach i lekkostrawnym posiłkiem w kawiarni na placu Santo Spirito. Oprócz chęci zmierzenia się z włoskimi szachistami przyszedł pretendent do tytułu mistrza świata przyjechał do Florencji ze względu na wiszący w zakrystii kościoła San Lorenzo obraz Sebastiana Alfiera da Talamone zwanego *Il Gufo Odpoczynek przy szachach*, który był tematem jego zaniechanej ostatnio z powodu tournée po Europie pracy doktorskiej. Klug godzinami studiował to późnorenesansowe dzieło, które niewprawnemu obserwatorowi mogłoby się wydać dość tendencyjne i mdłe, choć w gruncie rzeczy skrywało w sobie wiele tajemnic, a techniką nie odbiegało od najlepszych dzieł cinquecenta.

Podczas jednego z długich, wręcz dłużących się spacerów Wilhelm Stieblitz pokazał Klugowi jeszcze inne dzieło *Il Gufa Świt nad miastem Rabbask*. Był to ponury (wypłowiały) fresk przedstawiający mapę nieba. Znajdował się pod kopułą przykrywającą ufundowaną przez florencką rodzinę Brocabuonich kaplicę Świętego Prawa w kościele Santa Maria della Boschiva. Nad wyglądającym na klasztorny dziedziniec witrażem wymalowane było wschodzące na nieboskłon krwawe słońce, nad którym złotą czcionką napisany był wers z poematu *Rabbask* greckiego poety Faradosa z Rodos (ur. ok. 24 r. p.n.e., zm. 28 r. n.e.), który w wieku trzydziestu trzech lat po wielu miesiącach mozolnej wędrówki trafił do tego tajemniczego miasta:

I tego dnia cień umarł,
a oczom ukazało się dno studni.

Jak przypuszczał Stieblitz, malowidło w kaplicy Świętego Prawa przedstawiało układ gwiazd nad miastem Rabbask w chwili, gdy zawitał tam Farados. Zresztą dzień przybycia poety z Rodos do tej zagubionej na skraju świata metropolii („dzień szczęśliwy i parny, zbyt odległy, by mógł wydać się prawdziwy”) jest głównym tematem jego pełnego dygresji poematu. Do dzisiaj przetrwały zaledwie dwie księgi dzieła Faradosa, i to niestety też nie

w całości. Znajdujemy w nich między innymi dokładny opis Rabbasku (domy błękitno-białe, świątynie za targ robiące, place tłumne i smutne), jak i zwykłą, potraktowaną z iście obyczajowym zacięciem miejską codzienność, „gdy kobiety zgięte nad ciemną kałużą szaty swym mężom w zmęczonych dłoniach prały”.

Pergamin z fragmentami dwóch ksiąg przypadkowo odnalazł lingwista Mikołaj Akielewicz w Bibliotece Laurenziana w połowie XIX wieku. Zdaniem Stieblitz w czasach, gdy żył Sebastiano Alfiero da Talamone, dostępne były obszerniejsze partie poematu, a być może znany był wręcz w całości. Stąd Stieblitz wywnioskował, że *Il Gufo* albo dzięki dokładnemu opisowi nieba, który mógł w którejs z swoich ksiąg popełnić Farados, albo dzięki starożytnym mapom astronomicznym dokładnie odwzorował wygląd gwiazdowego firmamentu z dnia opisanego w dziele. W swoich przypuszczeniach, opartych wciąż na dość wątpliwych, by nie rzec wyssanych z palca przesłankach posunął się jeszcze dalej. Uznał bowiem, że przywołany przez *Il Gufa* wers w rzeczy samej dotyczy chwili, w której słońce (będące w zenicie) jest dokładnie nad miastem, a jego promienie padają pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, albowiem tylko wtedy cień umiera i można ujrzeć dno studni. Następnie dzięki pomocy astrofizyków z uniwersytetu w Berlinie ustalił po pierwsze, jakiego dnia słońce wschodzi w gwiazdozbiornie Bliźniąt w ten właśnie sposób, w jaki przedstawił to *Il Gufo* (bodajże 18 VII), a po drugie: na jaką szerokość geograficzną jego promienie padają wtedy pod kątem prostym. Z poematu Faradosa wywnioskował również, że miasto Rabbask znajdowało się nad dużym zbiornikiem wodnym, najprawdopodobniej Morzem Czerwonym („wody błękitnej głębiny krwawe”), co istotnie ograniczyło jego poszukiwania. Z połączenia tych przesłanek wyszło mu, że miasto Rabbask znajdowało się około stu dwudziestu kilometrów na wschód od Asmary (Erytrea). I tam też w ciągu najbliższych tygodni zamierzał wyruszyć.

3. Ekspedycja Stieblitza

Ósmego sierpnia 1873 roku o godzinie 10.20 Wilhelm Stieblitz, ubrany w piaskowy garnitur, w lekkich trzewikach, w założonym na bakier, przypominającym trochę piracki kapeluszu i w czarnej, podszytej ałtarem pelerynie zjawił się wraz z Jakubem Klugiem na florenckim dworcu. Pociąg (szereg jasnobłękitnych wagoników, które od czarnej lokomotywy oddzielał zielony, przeładowany tendrzak) od pięciu minut był już podstawiony. Panowie pożegnali się wylewnie, nie szczędząc sobie przyjacielskich cmoknięć w policzki i serdecznego poklepywania po plecach, po czym elegancki i elastyczny Wilhelm Stieblitz, jakże uskrzydłony tą szaloną myślą, że lada dzień wyruszy do Afryki, by odkryć zaginione miasto Rabbask i tym samym dać powód potomnym do ochrzczenia jego nazwiskiem kilku ulic i jednego uniwersytetu, zniknął w wagonie pierwszej klasy, którego szyby zdobiły symetryczne desenie sadzy. Po jakichś kilku minutach, kilkuset sekundach, milionach obrotów rzeczy ruszył – via Rzym (zielony i słoneczny) – do malarycznego, skapanego we krwi i w gównie Neapolu, gdzie w jednym z szynkwasów miał się spotkać z kilkunastoma członkami swojej od dwóch lat planowanej ekspedycji. I by dopełnić formalności powiem, że kilkanaście dni później, kilkanaście bardzo upalnych i wyjątkowo dłużących się dni później, chyba 21 sierpnia 1873 roku, Wilhelm Stieblitz wraz z grupą równie walniętych jak on zapaleńców wsiadł na biały, wyglądający jak wielka porcelanowa filiżanka statek „Ventola”. W Asmarze znaleźli się niecałe dwa tygodnie później, drugiego września 1873 roku zaś niedaleko miejscowości Zula rozpoczęli kilkumiesięczne wykopaliska, które miały się okazać wielkim (tak wielkim jak uprzednie nadzieje Stieblitza) niewypałem.

4. Laufenberg i Klug

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy we Florencji przebywał Jakub Klug, który w przerwach pomiędzy kolejnymi jednostronnymi pojedynkami z miejscowymi mistrzami i uroczystymi kolacjami w renesansowych pałacach przechadzał się po mieście, oddając się przyjemnemu uczuciu kontrolowanej melancholii, Albert Laufenberg przeprowadzał się przez ocean wielkim, błękitnym transatlantykiem, na którego wypucowany przez sześciu majtków sosnowy pokład wszedł w wietrznym, stęchłym Rotterdamie.

Płynął na podbój Ameryki. Cudownej i odległej, gdzie szachiści wciąż żyli legendą genialnego Paula Morphy'ego.

Porównywanie Laufenberga z Klugiem jest zajęciem wdzięcznym, ale dość jałowym. Obaj panowie różnili się niemal zupełnie, tak w grze, jak i w życiu. Laufenberg był graczem bardziej wystudiowanym, ostrożnym, polegającym na taktyce. Grał konsekwentnie, nudno, ale przy tym bardzo skutecznie. Nie zależało mu na widowiskowości, na estetyce gry, nie podejmował nieprzemyślanych decyzji (co często zdarzało się Klugowi), nie wykonywał karkołomnych posunięć, które wśród publiczności wzbudzały aplauz, a u przeciwnika mocniejsze bicie serca. Przewagę zdobywał powoli, długo ją wypracowywał, nieistotnymi na pozór, a jednak przemyślanymi ruchami. Przy tym miał stalowe nerwy i choćby najbardziej zaskakujący ruch przeciwnika czy niekorzystny obrót sytuacji na szachownicy nie były w stanie wyprowadzić go z równowagi. Przy szachowym stoliku uchodził za dżentelmena, w kontaktach prywatnych zaś za gbura i mizantropa. Małomówny, opryskliwy na co dzień, zmieniał się w uprzejmego, szanującego przeciwnika mistrza, który po wygranej partii niejednokrotnie objaśniał publiczności swoje posunięcia. Przy czym był wtedy swobodny, dowcipny, zajmujący – krótko mówiąc: zupełnie inny niż w kontaktach codziennych.

W ciekawej, choć niepozbawionej mankamentów biografii Laufenberga *Arcyarcymistrz*, której autor, Terrence G. Gray, z tajemniczych dla mnie powodów nie pisze absolutnie nic o niedoszłym meczu jej bohatera z Jakubem Klugiem i ich wcześniejszej korespondencyjnej rywalizacji o prymat najlepszego szachisty na świecie, za to zbyt ostentacyjnie skupia się na rzekomym uzależnieniu urodzonego w Królewcu arcymistrza od onanii, możemy między innymi przeczytać, że był dzieckiem zamkniętym w sobie, „skłóconym ze światem zewnętrznym autystykiem, na którego osobowości

ogromne piętno odcisnęła przedwczesna śmierć matki i nachalna bogobojność ojca, dość nieporadnego sukiennika”^[25].

„Albert zaczął mówić dopiero w wieku pięciu lat. Dwa lata po śmiertelnym wylewie matki. Umarła nagle w dziecięcym łóżeczku syna, gdy pod wieczór w świetle lichtarza czytała mu bajkę. Ojciec Alberta był wtedy w Gdańsku. W interesach. Służąca zaś miała wychodne. Trzyletni Albert blisko dobę spędził w łóżeczku obok martwej matki, próbując – płaczem, krzykiem, chichotem – obudzić ją z trupiego snu, który wziął za zwykłe zaśnięcie. Znalazła go służąca Maria, gdy następnego dnia pod wieczór wróciła do mieszkania na Wilhelmstrasse 5 po swoich całonocnych latankach i całodziennych zakupach. Głodny i odwodniony spał wtulony w sztywne zwłoki. W jego dziecięcym pokoju pachniało gnijącą matką”^[26].

To traumatyczne doświadczenie zaważyło na osobowości przyszłego mistrza świata. Zapach rozkładającej się matki miał mu już towarzyszyć do końca życia. Życia, które było smutne i ponure.

Od wczesnych lat dziecięcych jedyną namiętnością Laufenberga były szachy. Potrafił w nie grać na długo przed tym, zanim nauczył się artykułować pierwsze dźwięki. W wieku trzech lat odniósł pierwsze ważne zwycięstwo. W klubie szachowym w Królewcu wygrał dwie partie ze słynnym mistrzem z Rygi Martinem Braeckiem. Było to wydarzenie na tyle bezprecedensowe, że w niektórych gazetach ośmielono się je przyrównać do biblijnej opowieści o wizycie małoletniego Jezusa w świątyni.

„Można było odnieść wrażenie – pisze Gray – że Albert Laufenberg przyszedł na świat z całą świadomością tego, co ma w życiu robić. Jak owad, jak nicień. Dojrzały. Jakby natura przez wieki pracowała na to, żeby akurat on grał w szachy. Niczego nie musiał się uczyć – od początku już wszystko wiedział”.

W przeciwieństwie do Kluga nie bankietował, nie wdawał się w przypadkowe romanse, nie uczęszczał na spotkania żadnych tajnych organizacji, nie trawił czasu na pijaństwach, tylko grał. Bez przerwy grał. Świat ograniczał się dla niego do sześćdziesięciu czterech pól szachownicy i w zasadzie nic poza tymi polami się nie liczyło.

W wieku osiemnastu lat, jeszcze z puchem pod nosem, wyjechał na studia medyczne do Berlina. Wymógł to na nim ojciec, który w pasji syna widział jedynie bezproduktywne dziecinne zajęcie, w perspektywie lat niemożące przynieść żadnych wymiernych korzyści. Dlatego resztki pieniędzy, jakie zostały mu z minionych złotych czasów, gdy na dość dużą skalę handlował

suknem sprowadzonym z krajów Lewantu, przeznaczył na edukację syna. Sam zaś sprzedał swoje duże mieszkanie na *piano nobile* neobarokowej kamienicy na Wilhelmstrasse 5 i przeprowadził się do ciasnej mansardy gdzieś na przedmieściach Królewca. Tam oddał się wkrótce religijnym medytacjom, długim i wyczerpującym rozmowom z Bogiem, rozmyślaniom o naturze bytu i pochodzeniu zła. Tam też, nieopłakiwany przez nikogo, zmarł. Miał czterdzieści sześć lat. Jego syn dobijał wtedy do dwudziestki i mimo młodego wieku i zaledwie kilku rozegranych prestiżowych partii uchodził już za jednego z najmocniejszych, a zdaniem niektórych najmocniejszego szachistę nad Sprewą.

Mogli spotkać się w 1870 roku na turnieju w Berlinie. Niestety Laufenberg, który początkowo zgłosił akces do zawodów, musiał się z nich wycofać z powodów zdrowotnych. Silny atak epilepsji, na którą przyszedł pogromca Steinitza cierpiał od piętnastego roku życia, długi pobyt w szpitalu i ponadmiesięczna rekonwalescencja uniemożliwiły mu udział w rozgrywkach. To był jedyny raz, kiedy było naprawdę blisko ich pojedynku. Potem notorycznie się rozmijali. Gdy Klug był w Kolonii i między partiami zabawiał uroczą pannę Loewe, poważny Laufenberg grał właśnie w Dublinie. Kiedy Klug bawił w Anglii, Laufenberg rozgrywał lipskich szachistów (z Minckwitzem na czele). A gdy Klug przebywał w Antwerpii (zima 1873), gdzie rozegrał kilka dobrych partii z tamtejszym mistrzem, Robertem Abominem, Laufenberg startował w turnieju w Lyonie, w którym odniósł komplet dwudziestu zwycięstw i daleko za sobą pozostawił takie sławy, jak Steinitz, Anderssen, Louis Paulsen, Zuckertort, Schallop czy Rosenthal. Po tym totalnym i bezprecedensowym zwycięstwie zaczęto nieoficjalnie mówić o Laufenbergu jako o najmocniejszym szachiście na świecie. Być może nie grał najbardziej widowiskowo, ale za to bardzo skutecznie. Niemal bezbłędnie. Swoją obronę (dziś zwaną obroną Laufenberga), zaczynającą się od G7–G6, jeszcze przed wyjazdem do Stanów Zjednoczonych – tak nagłym, tak niezrozumiałym – doprowadził do perfekcji. Warto wspomnieć, że pierwsze wzmianki o zastosowaniu przez niego tej nietypowej obrony pochodzą z początku lat pięćdziesiątych XIX wieku, gdy Laufenberg, jeszcze wtedy nieopierzony żółtodziób, dopiero wkraczał na szachowe salony.

W tamtych wspaniałych latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, gdy karkołomne, często przeczące logice ryzykowne zagrania przedkładano nad zgodne z teorią, skuteczne, ale asekuracyjne i bezbarwne, a mecze szachowe

cieszyły się podobnym zainteresowaniem jak dziś pojedynki bokserskie, Klug i Laufenberg, dwaj wielcy mistrzowie (obok Paula Morphy'ego i Steinitza najważniejsi dziewiętnastowieczni szachiści), wyznający zupełnie różne koncepcje gry koryfeusze, nie tylko w różny sposób, dopełniając się, uosabiali tamtą epokę, jej dwutorowość, ale niejako stanowili przeciwne sobie bieguny szachowego świata, wobec których – chcąc nie chcąc – musieli określać się inni szachiści. Oczywiście w chwili, gdy Laufenberg opuścił zepsutą – jak mówił – Europę i wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie prócz meczów z najlepszymi amerykańskimi szachistami popisywał się grą symultaniczną na ślepo (przeciwko czterdziestu graczom!), gdzie za namową podejrzanego milionera, niejakiego Legranda, stworzył coś, co wypadłoby nazwać panamerykańskim cyrkiem szachowym (konkurencyjnym do jakże nieszachowego cyrku Buffalo Billa), z którym przemierzył kontynent wszerz i wzdłuż, między innymi dając – z trzydziestoma dwiema dyrygowanymi przez niego kuso przyodzianymi tancerkami imitującymi bierki – pokazy tzw. Szachowego Kankana, inspirowanego najsłynniejszymi partiami (nawiasem mówiąc, najlepsze były występy z cyklu Anderssen-Morphy), gdzie w końcu pławił się w sławie i luksusie, tak na pozór obcym jego naturze, udzielał wywiadów, a czasem nawet pozwolił sobie mimo epilepsji wypić jakiegoś drinka. Oczywiście jeszcze wtedy, w tamtych latach, Jakub Klug mimo wielu swoich świetnych zwycięstw nie był na tyle znanym i poważanym szachistą, by rzucić wyzwanie takiemu mistrzowi jak Laufenberg. W powszechnym mniemaniu cały czas był daleko za Steinitzem, Paulsenem, Anderssenem, Minckwitzem i wieloma innymi świetnymi wówczas graczami. Musiało upłynąć jeszcze trochę czasu, wiele partii trzeba było wygrać, w wielu prestiżowych turniejach zwyciężyć, by móc rościć sobie prawo do bycia najlepszym na świecie i spróbować odebrać ten tytuł Laufenbergowi.

W 1873 roku Klug był zaledwie jednym z wielu wybitnych szachistów. Owszem, dobrze rokującym, z perspektywami, ale wciąż za słabym, zbyt nierównym, by pokonać niesamowitego Laufenberga, którego grę można było określić mianem kompletnej. Warto zauważyć, że dopiero w 1877 roku w Bayonne Klug wygrał swój pierwszy naprawdę ważny turniej. Czyli blisko cztery lata po wyjeździe Laufenberga do Stanów. Wcześniej musiał uznawać wyższość takich graczy, jak Winawer, Englisch, Bird, Zuckertort, Pitschel, Blackburne, Mackenzie, Anderssen, nie wspominając już o Steinitzu. Jako o pretencji do mistrzostwa świata zaczęto zaś o Jakubie Klugu mówić nie

wcześnie jak w 1884 roku, po jego zwycięstwach w turniejach w Dublinie i Paryżu. Wciąż jednak uchodził za gracza słabszego od Laufenberga, Steinitza czy Zuckertorta. Zresztą to właśnie ci dwaj ostatni rozegrają w 1886 roku wielki mecz o mistrzostwo świata, w którym miażdżące zwycięstwo odniesie Steinitz (+10, -5, =5). Ale tytułem mistrza świata ten pochodzący z Pragi szachista będzie cieszył się zaledwie rok – aż do słynnego pojedynku z Albertem Laufenbergiem. Urodzony w Królewcu arcymistrz wygra stosunkiem 10 do 8 (przy czterech remisach) i tym samym ukoronuje swoją szachową karierę. Mistrzem świata pozostanie przez trzy lata, aż do sensacyjnej porażki z Włochem Giovannim Sanzą.

[25] Terrence G. Gray, *Arcyarcymistrz*, London 1962, s. 14.

[26] Tamże, s. 26.

5. Powrót do Wrocławia

W styczniu 1874 roku, po blisko półtorarocznym pełnym sukcesów tournée po Europie, które ugruntowało jego wysoką pozycję wśród najlepszych szachistów świata, Jakub Klug wrócił w końcu do Wrocławia. Miasto było pogrążone w zimowym smutku. Wymarłe. Na skutym lodem dworcu, gdzie nerwowo kręciły się ciemne grupy zmarzniętych ludzi, którzy na podobieństwo lokomotyw wypuszczali z głębi płuc śnieżną, wyglądającą jak wata cukrowa parę, nikt nie witał zmęczonego Kluga. Żadna z gazet, które do niedawna prześcigały się w pochwałach dla zdobywającego kolejne laury i pokonującego kolejnych silnych przeciwników młodego szachisty, nie przysłała swojego dziennikarza, by go powitać. Wszyscy dawni przyjaciele albo już nie mieszkali we Wrocławiu, albo dokądś wyjechali, albo mieli ważniejsze sprawy na głowie niż sterczenie na peronie w kilkunastostopniowym mrozie i wyczekiwanie przyjazdu kogoś, kto – prawdę mówiąc – nie był dla nich nikim istotnym.

W klubie Adolfa Anderssena, dokąd Jakub Klug udał się zaraz po przyjeździe, przywitano go serdecznie, słyhać było nawet kilka oklasków, ale żadnego specjalnego bankietu na jego cześć nie urządzono. Kilku młodych buńczucznych szachistów, których imion nie pamiętał, a których nieciekawie fizjonomie kojarzył, chciało za wszelką cenę się z nim zmierzyć. Odmówił im jednak grzecznie, choć stanowczo, argumentując, że chwilowo odczuwa przesyt szachami.

– Cierpliwości, panowie, cierpliwości, jeszcze będziemy mieli okazję zagrać ze sobą. Teraz jednak muszę odpocząć i pobyć trochę sam ze sobą – powiedział wymijająco, po czym pożegnał się ze wszystkimi i wrócił do swojego ciasnego mieszkanka na Altbüßergasse 36 (tam rezydował za czasów studenckich), gdzie na nakrytym ażurowym obrusem stoliczku spoczywała – niczym jakieś ponure przypomnienie – skórzana szachownica (prezent od Roberta Abomina), na której błyszczących polach stały gotowe do frontalnego ataku bierki wzoru Stauntona. Obok, na niezasłanym tapczanie leżały porozkładane książki o florenckim renesansie i czarno-białych sztych, niezbyt udana reprodukcja *Odpoczynku* Il Gufa, który Klug kupił w ciasnym antykwariacie niedaleko pałacu Medyceuszy na Via Larga.

Tak, Jakub Klug postanowił na trochę odstawić szachy i w końcu napisać doktorat.

6. *Odpoczynek przy szachach*

Obraz Alfiera widziałem przed kilkoma laty na wystawie malarstwa włoskiego w berlińskiej Gemäldegalerie. Nie jest on już własnością kościoła San Lorenzo. Jeszcze przed wojną, bodajże w 1937 roku, został sprzedany do prywatnej kolekcji amerykańskiego potentata finansowego, właściciela największej w Stanach Zjednoczonych fabryki rynien i okuć Connora Kafera Juniora. Po jego bezpotomnej śmierci *Odpoczynek przy szachach* wraz z innymi eksponatami z domu milionera (w tym z monumentalną, bo blisko dwumetrową głową kolosa z Samos, przypisywanego czasem Lizypowi) stał się ozdobą National Gallery w Waszyngtonie.

Jest to jedno z trzech znanych dzieł Alfiera. Wizerunek nieba w kaplicy Brocabuonich w kościele Santa Maria della Boschiva we Florencji, przejmująca dynamicznym realizmem pieta, ozdoba watykańskich muzeów, i wspomniany *Odpoczynek przy szachach* – to wszystko, co pozostało po tym wybitnym, tajemniczym artyście. Ciekawe, że *Odpoczynek przy szachach* wzbudza najwięcej kontrowersji wśród historyków sztuki co do autorstwa Alfiera (zresztą jako pierwszy tę kwestię chciał podnieść w swoim doktoracie Klug). Nie ulega wątpliwości, że artysta pracował nad dziełem o takim tytule (między innymi Vasari w *Żywotach najświetniejszych malarzy, rzeźbiarzy i architektów* przywołuje list Francesco Pazziego do malarza z początku 1478 roku, w którym hrabia prosi o jak najszybsze dokończenie obrazu *Il Riposo*), jednakże wielu historyków sztuki uważa, że już w 1480 roku obraz został przemaalowany na rozkaz Wawrzyńca Wspaniałego. Hipoteza ta wydaje się na pozór bardzo prawdopodobna, szczególnie gdy zdamy sobie sprawę z tego, co przedstawia dzieło. We wnętrzu kamiennego, przypominającego świątynię budynku, który przecina sześć rzędów lapisowych kolumn, siedzą naprzeciwko siebie dwaj mężczyźni w różnym wieku i grają w szachy. Starszy z nich, ściskający w dłoni białego hetmana, którego przed chwilą łąpczywie zabrał pionem (e6:d5), to Jacopo Pazzi. Natomiast jego młodszy, nienaturalnie zgarbiony nad szachownicą przeciwnik to słynny Lorenzo „il Magnifico”. Na drugim planie w kierunku Wawrzyńca biegnie ujadający czarno-biały pies. W przeciwną stronę zaś ucieka po kamiennych schodach trzymająca się za głowę ruda kobieta. Niebo jest zachmurzone. Na horyzoncie, który ograniczają dwa cyprysowe zagajniki, widać flotę wojenną i płonąca galerę.

Obraz powstawał w latach 1477–1478 na zamówienie Francesca

Pazziego. Nie dziwi zatem jego tematyka. *Odpoczynek* jest artystyczną prefiguracją spisku Pazzich (z 25 kwietnia 1478 roku), mającego na celu pozbawienie rodziny Medyceuszy dominacji we Florencji. Głównym pomysłodawcą spisku był właśnie Francesco Pazzi. Razem z siostrzeńcem Sykstusa IV Girolamem Riariem, który w niedalekiej, kupionej od Taddea Manfrediego Imoli (pożyczki na zakup księstwa udzielili mu Pazzi) tworzył zagrażające Florencji państewko, zmierzali do eliminacji Medyceuszy. Obu zresztą przyświecał ten sam cel: przejęcie władzy nad miastem, a w niedalekiej perspektywie być może i nad całymi środkowymi Włochami. Gdyby spisek Pazzich się powiódł, to najprawdopodobniej sprytny Riario w niedługim czasie wykończyłby usłużnych Pazzich i połączył ziemie należące do Florencji ze swoją Imolą, stając się tym samym jednym z najpotężniejszych władców na Półwyspie Apenińskim.

Wróćmy jednak do tematu pracy doktorskiej Kluga, czyli do *Odpoczynku przy szachach*. Zdaniem Vasariego miał on zostać podarowany Riariemu po pomyślnym zakończeniu spisku. Dlaczego Klug (a z nim wielu historyków) przypuszczał, że obraz ten nie jest oryginalnym dziełem Il Gufa? Że został przemaalowany jeszcze w 1480 roku przez innego florenckiego artystę?

Otóż zarówno data powstania, temat, jak i samo przedstawienie jednoznacznie wskazują, że jest to dzieło obrazujące koniec dominacji Medyceuszy. Szczekający pies to symbol upadającej potęgi, uciekająca kobieta to personifikacja szczęścia opuszczającego młodego Medyceusza, a zarazem i jego zmierzchającej władzy, biały – ścięty – hetman ściśnięty grubymi palcami Pazziego wydaje się zapowiedzią śmierci Wawrzyńca, flota na horyzoncie to potężny, zwycięski wróg, natomiast płonąca galera symbolizuje dom Medyceuszy. Wszystko jasne. Pazzi zamówił u artysty obraz, który miał wieścić jego wielki – niedoszły – triumf, niejako zakłąć rzeczywistość. Życie miało naśladować sztukę.

Jednakże w tej konsekwentnie jednoznacznej symbolice obrazu (jej przykładów jest jeszcze więcej: puszczyk nad głową Wawrzyńca, zdeptana korona w rogu obrazu, zwiędnięty kwiat) jedna rzecz się wszak nie zgadza, a mianowicie partia szachów. Z układu bierek na szachownicy wynika, że Lorenzo w dwóch ruchach zamata Pazziego.

Przyjęcie hetmana jako ofiary było samobójczym posunięciem łapczywego Pazziego, karygodnym błędem, który zostanie wykorzystany. Mimo ujadającego psa, płonącej galery i straty hetmana partię szachów wygra Wawrzyniec.

Klug domniemywał, że szachownica wraz z układem bierok została przemalowana po upadku spisku Pazzich. Kilka tygodni albo miesięcy po nieudanym zamachu na życie Wawrzyńca, jakiego spiskowcy dopuścili się 26 kwietnia 1478 roku podczas mszy w katedrze Santa Maria del Fiore.

7. Spisek Pazzich

Już w sobotę 25 kwietnia wszystko było przygotowane do przewrotu. Z okazji wizyty wyniesionego niedawno do godności kardynała ciotecznego wnuka Sykstusa IV Raffaele Sansoniego, który mianowany legatem Perugii, postanowił wiosną 1478 roku objąć swój urząd, Medyceusze wydali wielką ucztę w podflorenckim Fiesole. Właśnie uczta wydawała się świetną okazją do zabicia Lorenza i Giuliana Medicich. Niestety dla spiskowców ten ostatni nie mógł w niej uczestniczyć, bo od ostatniego polowania leczył ranę na nodze i całe dni spędzał w łóżku w pałacu we Florencji.

Już kilka dni wcześniej Francesco Pazzi i wtajemniczony w spisek arcybiskup Pizy Francesco Salviati, który towarzyszył młodemu legatowi w drodze do Perugii, zebrali kilka osób odpowiedzialnych za przebieg przewrotu. Na czele grupy postawili godnych zaufania awanturnika Bernardo Bandiniego Baroncella, Jacopa Braccioliniego (syna humanisty Poggio Braccioliniego) i dwóch kapłanów: Antonia Maffei i Stefana di Bagnone. Osobnym elementem spiskowej układanki był zaufany kondotier Sykstusa IV Gian Battista di Montesecco. Wraz ze swoimi ludźmi miał on wspomóc spiskowców, gdyby podczas przewrotu coś poszło nie po ich myśli, gdyby ktoś coś zawalił. Wawrzyniec, który darzył Montesecca niekłamaną przyjaźnią, był przekonany, że kondotier pomoże mu w ponownym nawiązaniu normalnych stosunków z rodziną Riariów, a w szczególności z papieżem Sykstusem IV. Dlatego przyjął go po królewsku i nic nie podejrzewając, zgodził się nawet na stacjonowanie w mieście jego wojsk, które w niedługim czasie miały przystąpić do oblężenia Montone.

Z powodu nieobecności Giuliana na sobotniej uczcie w Fiesole spiskowcy postanowili, że dokonają zamachu nazajutrz. Jeszcze podczas bankietu ustalono, że młody kardynał będzie głównym celebrantem sumy w Santa Maria del Fiore, po której wraz ze świtą (i wchodzącymi w jej skład spiskowcami) weźmie udział w kolejnej wystawnej uczcie wydanej na jego cześć przez goszczącą go rodzinę Medyceuszy. To właśnie podczas tej uczytymieszani w orszak kardynała spiskowcy zamierzali uśmiercić Wawrzyńca i Juliana. W nocy z soboty na niedzielę podzielili się rolami. Francesco Pazzi i Bernardo Bandini mieli zabić młodszego z braci, Giuliana Medici, natomiast Montesecco – Lorenza. Darzący sympatią Medyceusza kondotier wymówił się jednak i zastąpili go dwaj kapłani: Antonio Maffei i Stefano di Bagnone. Zadaniem arcybiskupa Salviatego i Jacopa Braccioliniego było

zawładnięcie przy pomocy części wojsk Montesecca pałacem Signorii. Mieli oni przegonić priorów, ustanowić rząd insurekcyjny i doprowadzić do jego jednogłośnego uznania przez zgromadzonego na placu tłum.

Jednakże plany spiskowców po raz kolejny zostały pokrzyżowane. Okazało się, że z powodu złego stanu zdrowia Juliana Medyceusza znów nie będzie na uczcie. Miał się pojawić tylko na mszy, a potem wrócić do domu. Powzięto zatem karkołomną decyzję: jeżeli obaj Medyceusze mają zginąć, to trzeba morderstwa dokonać po zakończeniu mszy, gdy będą wychodzić z kościoła.

W tę ostatnią kwietniową niedzielę w katedrze, jak i na otaczającym ją placu zebrały się tłumy florentyńczyków. Z pewnością był wśród nich Sebastiano Alfiero da Talamone, popularny Il Gufo. Jako jeden z niewielu wiedział zapewne, co się święci. Dwa dni temu skończył zamówiony przez Francesca Pazziego obraz, który niejako przepowiadał przyszłe wydarzenia. Florencja pachniała akacjami.

Trzydziestu kuszników i pięćdziesięciu żołnierzy piechoty torowało młodemu kardynałowi drogę do chóru, gdy wchodził do katedry, w której za chwilę miało dojść do zabójstwa. Nie wiadomo, czy już wtedy w pierwszym rzędzie naprzeciwko ołtarza siedział Wawrzyniec Wspaniały, czy może zjawiał się dopiero potem, już po dostojniku. Nie wiadomo też, czy kardynał dał po sobie coś poznać, gdy rozglądając się nerwowo po nawach, zdał sobie sprawę, że wśród zgromadzonych nie ma Juliana, że Wawrzyniec jest sam. Osłupienie spiskowców było niezwykle. Młodszy z braci nie nadchodził. Trzeba było działać. Francesco Pazzi i Bernardo Bandini wyszli zatem z kościoła i udali się do znajdującego się nieopodal pałacu Medyceuszy. Zapewne żartem, pochlebstwami, dobrym słowem skłonili Juliana, by przybył do katedry. Młody Medyceusz ubrany był lekko. Nie zabrał ze sobą sztyletu. Pod pretekstem przyjacielskiego uścisku Francesco Pazzi dotknął jego piersi, by sprawdzić, czy nie chroni jej przypadkiem kolczuga. Z pewnością zaskoczyło to nieco Giuliana, znał bowiem wrogie uczucia Pazzich wobec Medicich. Sądząc jednakowoż, że przybycie kardynała Riario jest zapowiedzią pokoju i zgody między rodzinami, pozwolił zaprowadzić się do chóru.

Ledwie *Ite, missa est* wybrzmiało pod stropem katedry, gdy Wawrzyniec z Julianem zaczęli kierować się ku wyjściu. Giuliano był właśnie obok kaplicy Świętego Krzyża, gdy błyszczące ostrze sztyletu jak flesz błysnęło spod kaftana Bernarda Bandiniego i zatopiło się w jego piersi. Giuliano

zachwiał się i runął na twarz. Wtedy do jego ciała dopadł oszalały Francesco Pazzi. Zaczął dźgać je w morderczym szale, tak że aż sam poharatał sobie nogę. Po drugiej stronie chóru Wawrzyniec szarpał się teraz z obydwojma kapłanami, którzy poprzedniej nocy zostali wyznaczeni, by go zamordować. Miał więcej szczęścia niż brat. Niedoświadczony Antonio Maffei, nim uderzył go sztyletem, położył mu rękę na ramieniu, co pozwoliło Wawrzyńcowi w ułamku sekundy odwrócić się i zrobić unik. Został niezbyt groźnie draśnięty w szyję. Momentalnie uwolnił się z uścisku spiskowców, rękę przewiązał płaszczem, by lepiej móc parować ciosy, i umknął do zakrystii, gdzie wraz z grupą zaufanych ludzi zamknął się za brązowymi, ciężkimi drzwiami autorstwa Della Robbii.

Dalej sprawy potoczyły się nadzwyczaj szczęśliwie dla Medicich. Zgromadzony w katedrze tłum zlinczował dwóch kapłanów, którzy chcieli zabić Lorenza. Arcybiskupowi Salviatemu i Braccioliniemu nie udało się opanować pałacu Signorii. Schwytani przez strażę wkrótce zawiśli w jego oknach. Bernardo Bandini, gdy zrozumiał, że spisek się nie powiódł, wsiadł na konia i uciekł z Florencji. Schronienia szukał w Konstantynopolu. W 1479 roku został przekazany Wawrzyńcowi przez Mehmeda II. Dwudziestego dziewiątego grudnia powieszono go w oknie Bargello. Francesco Pazzi, ranny w nogę, schronił się w pałacu swojego stryja. Tutaj dotarły do niego wieści o nieprzewidzianym obrocie wypadków i nieubłagane zbliżającej się klęsce. Nie bacząc na poharataną nogę i brak sił spowodowany znacznym wpływem krwi, rozkazał posadzić się na konia w nadziei, że jeszcze nie wszystko stracone i uda mu się zachęcić wiernych sobie ludzi do ostatniej próby zapanowania nad miastem. Daremnie. Francesco nie był w stanie nawet o własnych siłach utrzymać się na nogach. Opadł na łożo. Z przerażeniem w oczach ubłagał stryja Jacopa, by ten go zastąpił. Stary bankier, choć już doskonale wiedział, że wszystko było przegrane, że wszystko diabli wzięli, w przyływie dzikiej odwagi, jaką daje rozpacz, dosiadł konia i na czele setki wiernych jeźdźców zaczął wąskimi ulicami krążyć w okolicach Signorii, wznosząc okrzyk: „Naród i wolność!”. W odpowiedzi słychać było tylko gwizdy. Cała Florencja wiedziała już, że Pazzi ponieśli klęskę.

Wawrzyniec bez szwanku wy dostał się z zakrystii. Dotarł do swojego pałacu, gdzie dowiedział się, że Signoria wzięła stronę Medyceuszy. Teraz zewsząd dało się słyszeć okrzyk: *Palle! Palle!* Z całego miasta ściągali ludzie, zbierając się pod heraldycznym symbolem Wawrzyńca: kulami. Gdy

tłum liczył grubo ponad dwa tysiące, ze wszystkich gardeł wydarł się nagle okrzyk: „Śmierć zdrajcom!”. I tak rozpoczęła się rzeź spiskowców. Obaj kapłani, którym nie udało się zamordować Wawrzyńca, już wcześniej zostali zlinczowani. Ciżba zalała teraz dom Pazzich. Bładego, przerażonego i wyczerpanego Francesca wyciągnięto z zakrwawionego posłania i zawleczono bez odzienia do pałacu Signorii. Po chwili zawisł w tym samym oknie co arcybiskup Salviati.

Taki był koniec spisku. Kilka następných tygodni trwało wyłapywanie Pazzich i ich sprzymierzeńców. Wszyscy spiskowcy zostali zabici. Montesecco dał głowę. Uciekającego Jacopa Pazziego rozpoznali chłopci z Apeninów. Schwytali go i przewieźli do Florencji. Tam został powieszony. Pochowano go w rodzinnym grobowcu. Jednak już po miesiącu wykopano jego zwłoki i zakopano pod murami miasta. Stamtąd wywlekły go dzieci i ciągały po ulicy na powrozie, by ostatecznie wrzucić do Arno. Kilka kilometrów dalej wyłowiono jego szczątki. Powieszono je na przybrzeżnej wierzbie i obito kijami, po czym na powrót utopiono w rzece. Resztki zostały odnalezione pod murami Pizy.

Członków rodziny Pazzich, którzy nie przyłączyli się do spisku, skazano na wygnanie albo więzienie. Większość bogactw Pazzich zostało zarekwirowanych albo przez Signorię, albo przez samych Medyceuszy. W ten właśnie sposób Wawrzyniec Wspaniały wszedł w posiadanie obrazu *Odpozynek przy szachach*. Il Gufo jeszcze 26 kwietnia zdołał zbiec z Florencji i po kilkunastu dniach pieszej wędrówki znalazł się w Rzymie. Zdawał sobie sprawę, że obraz zamówiony przez Francesca Pazziego jest dowodem jego winy i jednoznacznie wskazuje, że znał knowania spiskowców. Obawiając się o swoje życie (zostałby zapewne powieszony albo poćwiartowany), postanowił schronić się u największego wroga Wawrzyńca Medyceusza, Sykstusa IV.

8. Odpoczynek przy szachach

Jak już wspomniałem, Jakub Klug przypuszczał, że pierwotnie układ na szachownicy z *Odpoczynku* był zupełnie inny i dopiero po tym, jak obraz stał się własnością Medyceuszy, Wawrzyniec kazał go przemalować, tak by zwycięstwo w grze przypadło jemu. Większość historyków sztuki zgadza się z tą tezą. Wskazywać by na to miały inne symbole dzieła, „z którymi – jak gdzieś pisze krytyk Tadeusz Lobo – partia szachów nie jest koherentna”. „Wszystko na obrazie zmierza do nieuchronnej klęski Medyceusza, dlaczego zatem na szachownicy przegrywa Pazzi?” – pyta w jednym ze swoich esejów pisarz modernistyczno-marynistyczny Modest Modest (ten od *Kota w kodzie*). Historycy, sztukmistrze, zegarmistrzowie – głównie z Bostonu i Hongkongu – dowodzą w nieprzejednany, naukowo-kolorowy sposób, że szachownicę przemalował sam Da Prato albo Malocchio, a biały hetman w dłoni Pazziego symbolizuje w tym wypadku zabitego Giuliana Medici. Na pozór owa hipoteza może wydawać się kusząca (zresztą jak każda tego typu hipopotamowa hipoteza), ale mnie osobiście, drogi Jakubie Klugu, Gulku, Kubakługu, Goldenbugu, Kaktublaku, Blablublubu, wydaje się mało prawdopodobna. Bzdurna. Niemożliwa. Nietrafiona. Niestrawna. Kubakotyńska.

Myślę, że tak wielki malarz, zielarz, mistyk i szachista jak Sebastiano Alfiero da Talamone z całą premedytacją namalował taki właśnie układ na planszy (i tym samym, Jaklugubaku, wyprowadził cię w pole i zaszachował!). Ani Jacopo Pazzi, ani Lorenzo Medici nie byli wybitnymi szachistami. Trudno zatem podejrzewać, by zdawali sobie sprawę z tego, co w istocie zostało przedstawione na szachownicy. Gdyby Wawrzyniec rzeczywiście chciał przemalować obraz Il Gufa, myślę, że zaczęłyby od tych bardziej oczywistych symboli, jak ujadający pies, więdnący kwiat, uciekająca kobieta, a nie od partii szachów, których dogłębna znajomość – szczególnie w tamtych czasach – była domeną kilkudziesięciu Arabów i kilkunastu Europejczyków. Dlatego wydaje mi się, że to bufiasty Il Gufo namalował ten obraz. I zrobił to z pełną premedytacją, przeczuwał bowiem, jak skończy się spisek. Pozornie stworzył dzieło pochlebające swojemu mecenasowi, ale prawdziwe jego przesłanie zaszyfrował w szachach, o których Francesco Pazzi nie miał przecież bladego pojęcia. I w tym wypadku wydaje się, że istotnie biały hetman w dłoni starszego z graczy jest Giulianem Medici, którego śmierć w jakimś sensie była takim zainicjowanym przez los

gambitem, pozwalającym przeżyć Lorenzowi. Tyle tylko, że w tym wypadku, panowie z Bostonu, panowie z Hongkongu i panowie z Hong-Bostonu, nie możemy w żadnym razie mówić ani o symbolach, ani o symbo Lolach, ani o reifikacji, ani o reniferacji, ale o genialnie arbitralnej przepowiedni wielkiego artysty (nie jest tajemnicą, że Alfiero posiadał dar jasnowidzenia i szarosłyszzenia).

Nie mam wątpliwości, że *Il Gufo*, *Il Gufino* od początku wiedział, że maluje nie zaranie potęgi Pazzich, ale ich zmierzch, który przeczuwał końcem swojego cienkiego pędzelka. I jestem przekonany, że tajemnicę tego obrazu poznał również Wawrzyniec Wspaniały (być może wyjawiał mu ją któryś z uczonych przyjaciół). Dlatego zabronił ingerencji w jego symbolikę, w te wszystkie semiologiczne pułapki i semiotyczne zapadnie. Cieszył się przewrotnością dzieła, raz za razem rzucając okiem na układ bierek na szachownicy i zawarte w nim jego (Wawrzyńca) zwycięstwo. A więc jednak życie odzwierciedliło obraz. *Chapeaux bas, il Gufo!* Pokonałeś Kluga.

9. Woodrow W. Weiss

Oczywiście Jakub Klug nigdy nie ukończył swojego doktoratu. Zresztą nawet nie popełnił jednej strony, nie skreślił słowa wstępu. Po wielu godzinach lektur, zastanawianiu się nad obraniem najodpowiedniejszej taktyki do napisania rozprawy o obrazie Il Gufa, dręczony we śnie przez powracające wizje najrozmaitszych otwarć szachowych, zmęczony i zniechęcony, po dwóch jałowych tygodniach zrezygnował ze swoich naukowych ambicji, spakował się i wyjechał do Berlina. Wrocław, który był miastem jego młodości, a który teraz, po jego europejskim tournée, wydał mu się prowincjonalny i mało urodziwy, opuszczał bez żalu. Miał tam już nigdy nie wrócić. Przed samym wyjazdem rozegrał niepasjonujący mecz z Adolfem Anderssenem, zakończony sprawiedliwym remisem. Obaj wygrali po dwie partie i zremisowali jedną.

W Berlinie, jakże w tamtych latach wspaniałym, tętniącym życiem, kolorowym, czekał już na Jakuba Joachim Bretzdegger i baron von X. W swoim dużym, zapuszczonym pałacu niedaleko Unter der Linden, z którego okien w zimowe poranki (gdy ogołocone platany i jesiony przypominały obumarłe naczynia krwionośne) dojrzeć można było Sprewę, baron von X. wydał przyjęcie na cześć – jak się wyraził podczas toastu – „największej nadziei pruskich (sic!) szachów”. W rzeczy samej ów bankiet był zakamuflowanym spotkaniem stowarzyszenia Skarabeusz, podczas którego kwestowano na rzecz tej podejrzanej i od pewnego czasu niepozbawionej ambicji politycznych organizacji. Wśród zaproszonych gości byli między innymi wysoko postawieni urzędnicy cesarscy, naczelnik policji, kilku arystokratów, dwóch generałów (bohaterów spod Metzu), kilku bankierów i kupców, jakiś były szambelan jakiegoś byłego księcia, pastor z Moguncji, znany aktor, karzeł i trzy filigranowe brunetki, akrobatki z Baku, mistrzyni gry w serso. Słowem nie było nikogo (oprócz Bretzdeggera i barona von X.), kogo nasz przyszły pretendent do tytułu mistrza świata, miłośnik gambitu Evansa i atlasowych podwiązek, na którego cześć ten wystawny bankiet urządzono (ostrygi, włoskie wina, gęsi w kasztanach, sarna w czekoladzie, godzinny pokaz sztucznych ogni w wykonaniu trupy cyrkowej z Marrakeszu, występ kobiety gumy, zapasy Murzynów), by znał.

W nieocenionej i wielokrotnie już przeze mnie przywoływanej książeczce *Skarabeusz wśród ludzi* czytamy, że rok 1874 był dla stowarzyszenia Skarabeusz rokiem przełomowym^[27]. Założona przez Bretzdeggera

organizacja stawała się coraz bardziej wpływowa i nadszpiewanie dobrze radziła sobie w warunkach zjednoczonych Niemiec, działając – jak byśmy to dzisiaj powiedzieli – na styku scentralizowanej władzy i biznesu^[28]. Wśród członków Skarabeusza było coraz więcej kupców, przedsiębiorców, fabrykantów, dyplomatów, polityków, policmajstrów i sufrażystek.

Od jakiegoś czasu jedną z ważniejszych postaci stowarzyszenia był Woodrow W. Weiss, ambasador Stanów Zjednoczonych w Berlinie. Ten niewysoki, szpakowaty mężczyzna o pociągłej twarzy przystał do Skarabeusza na początku 1873 roku. Nie bez znaczenia było tutaj jego pochodzenie. Rodzina elokwentnego, eleganckiego i elementarnie poczciwego Weissa wywodziła swój rodowód od niejakiego Gustawa Weissbauera, sudeckiego aurumisty, wieloletniego skarbnika Wielkiej Rady Światła. Weissbauer należał do tej niewielkiej grupy szczęśliwców, którym w 1606 roku udało się zbiec przed zainspirowanym przez biskupów linczem. Uciekł do Wielkiej Brytanii. W 1607 roku, trzynaście lat przed tym, jak ojcowie założyciele ruszyli na statku „Mayflower” na podbój nowego lądu, Weissbauer wraz z kilkoma innymi członkami tak zwanych odszczepieńców (wśród których był również Gustaw Käfer) wsiadł na pokład należącego do Virginia Company of London żaglowca „Booblebee” i popłynął do Ameryki. Tam, nad rzeką Appomattox, u podnóża Piedmontu, założyli pierwszą na ziemiach amerykańskich osadę (trzy młyny, huta szkła, mydlarnia), którą w sposób aż nazbyt infantylny (a ich zdaniem uroczy) nazwali Little Beetle (dzisiejsze Littbattlehood).

Przywiązanie do rodzinnej legendy i chęć uczestniczenia w czymś tajemniczym, niemal średniowiecznym, skłoniły Woodrowa W. Weissa, domorosłego historyka i miłośnika cygar z Dominikany, do przystąpienia do Skarabeusza. Dzięki jego kontaktom i nadzwyczajnej wręcz gorliwości założone przez Bretzdeggera stowarzyszenie wkrótce zaczęło robić interesy po obu stronach Atlantyku. Uprzedzając fakty, powiem, że już na początku lat osiemdziesiątych XIX wieku dzięki swoim rozlicznym koneksjom w świecie amerykańskiej plutokracji (byli to głównie senatorowie, plantatorzy, fabrykanci i właściciele kopalń złota – bogaci naiwniacy, którzy na samą myśl o tym, że mogliby należeć do jakiejś nieformalnej, tajnej organizacji wpadali w stan erotycznego podekscytowania) kontrolowało cały transatlantycki handel bawełną i lnem, jak również dyktowało ceny złota na europejskich rynkach. Aż dziesięć największych kopalni złota w Stanach Zjednoczonych było w rękach członków Skarabeusza. Awanturnicy

i marzyciele, którzy kilkanaście lat wcześniej wyruszyli na Alaskę i na zachód Ameryki w poszukiwaniu cennego kruszcu, a którzy teraz byli bogatymi przedsiębiorcami bez korzeni, nieprzyznającymi się do swojej łotrzykowskiej przeszłości, nadzwyczaj chętnie przystępowali do stowarzyszenia (nazywanego przez nich firmą), które dawało im złudne poczucie bezpieczeństwa. W pojedynkę wciąż byli nikim, to wiedzieli – ot, szczęściarzami, którym udało się trafić na żyłę złota, przybłędami ze smykałką do interesów, razem zaś, co uświadomił im Bretzdegger, stanowili siłę, z jaką każdy musiał się liczyć.

[27] *Skarabeusz...*, op. cit., s. 71.

[28] Tamże, s. 74.

DODATEK I. TABETYK W TUMBIE

Kilka miesięcy temu mój arcyrywal, arcyarcymistrz pan Artur Ritter przyniósł mi do teatru niedokończony kryminał autorstwa Charlesa Riska o niepokojącym tytule *Tabetyk w tumbie*. Byłem właśnie po próbie do przedstawienia *Miliardy Milady*, gdy zawiniętą w papier pakowy książkę wręczyła mi kasjerka, u której Ritter był ją łaskaw zostawić. Pamiętałem, że już kiedyś wspominał mi o tej książce („dziwnym połączeniu prozy detektywistycznej z melodramatem”, jak się wyraził). Było to podczas jednego z naszych dłużących się szachowych pojedynków, gdy przypominające renetę słońce prześwitywało zza cienkiej warstwy chmur, a ja znów nie miałem pomysłu, jak odpowiedzieć na szelmowski gambit mojego przyjaciela.

Bohaterem tej niedokończonej powieści jest chorujący na suchoty zgorzkniały Jonathan Bishop, który za sprawą pięknej wdowy po amerykańskim milionerze, Frau Leer, zostaje wplątany w niebezpieczną intrygę. Frau Margaret Leer zjawia się u Bishopa w piątkowe upalne przedpołudnie, prosząc go o pomoc w odnalezieniu skradzionego jej przed paroma dniami inkunabułu zdobionego miniaturami Alfiera Il Gufa. Detektyw obiecuje zbadać sprawę i przyjmuje drobną sumę zaliczki, za którą wkrótce kupi dwadzieścia butelek whisky.

Przez następnych kilka dni Bishop próbuje wywiedzieć się czegoś w mieście o zaginionym inkunabule. Jego informatorzy – najgorsze męty – w żaden sposób nie potrafią mu jednak pomóc. Pojawia się zatem na kilku aukcjach sztuki, by sprawdzić, czy drogocenny druk nie został gdzieś wystawiony na sprzedaż. Nadaremnie. Zresztą pewien marszand, stary siwy mężczyzna o dziwnie brzmiącym nazwisku Quax, z którym Bishop zamienił kilka słów podczas jednej z licytacji w galerii na Piątej Alei, kategorycznie twierdzi, że taki inkunabuł nigdy nie istniał, bo istnieć nie mógł, gdyż Alfiero – z tego, co on się orientuje – nie zajmował się miniaturowym malarstwem.

Wszystko to wydaje się Bishopowi coraz bardziej podejrzane. Do tego ma wrażenie, że od kilku dni śledzi go mężczyzna w kremowym płaszczu i niemodnym białym kapeluszu z bordowym otokiem, w który wetknięte jest pawie pióro. Gdy po rozmowie z marszandem wraca do biura, czarny błyszczący telefon drze się wniebogłose Bishop podnosi słuchawkę. Po drugiej stronie słychać roztrzęsiony głos Frau Leer: „Proszę tu natychmiast przyjechać! Proszę! Stała się rzecz straszna! Fatalna!”.

„Dom Margaret Leer jest trójkondygnacyjnym pałacem z szerokim na kilkanaście metrów westybulem, który z dwóch stron oskrzydlają białe kaskady schodów, biegnące po symetrycznym łuku od marmurowej podłogi na parterze do niewielkiej galeryjki na pierwszym piętrze – pisze Risk. – Bishop stanął w drzwiach i przyglądał się górującej nad hallem kryształowej kopule, która wieńczyła dach pałacu i widoczna była z odległości kilku kilometrów, gdy nagle z jednych z ośmiu wychodzących na westybul drzwi wybiegła Frau Leer i rzuciła się na szyję detektywowi.

– Tak się bałam – kwiliła. – Tak się bałam.

Po chwili wzięła za rękę Bishopa i zaprowadziła go do swojej sypialni, gdzie na białym puszystym dywanie leżał zastrzelony mężczyzna.

– Strzeliłam do niego! Przyszedł po inkunabu! Tak mówił! Tak się bałam.

Bishop sprawdził puls mężczyzny, po czym spojrzał na sine końcówki palców i dokładnie przyjrzał się białkom oczu.

– Co my teraz zrobimy? – zapytała Frau Leer.

– Odwiozę panią do mojego mieszkania, a potem znów tu przyjadę i pozbędę się ciała – oschle odparł Bishop^[29].

Do pałacu Frau Leer Bishop wrócił po kilku godzinach. Chwilę mu zajęło, zanim otworzył dobre drzwi w westybulu i długim na kilkadziesiąt metrów korytarzem i bocznymi marmurowymi schodami dostał się do sypialni swojej klientki. „Na dywanie nie było śladu ciała, jedynie czerwona zaschnięta plama przypominająca Wielką Brytanię. Rozejrzał się dokładnie po pokoju. Nic szczególnego nie zauważył. Zajrzał pod łóżko. Leżały tam tylko pończochy Frau Leer i paczka francuskich papierosów Matraquage. Bishop schował papierosy i pończochy do kieszeni swojej przydużej marynarki i wyszedł z pokoju. Miał wrażenie, że oprócz niego ktoś jeszcze znajduje się w domu. Nie mylił się^[30]. W jednym z pokoi, do których zajrzał, penetrując pałac, spotkał trzech dwudziestoletnich chłopców i cztery nastoletnie dziewczyny. Grupka grała w Monopoly – jak powiedzieli – ulubioną grę tragicznie zmarłego wujaszka Leera^[31]. Okazało się, że byli to siostrzeńcy męża Frau Leer z kurewkami. Przyjechali w odwiedziny do ciotki kilka tygodni temu i zamierzali zostać tu jeszcze kolejnych kilka tygodni. Oprócz nich, przyrzekali, w pałacu nie ma nikogo. No może prócz kamerdynera Schloessa, którego od kilku miesięcy nikt nie widział, od śmierci wujaszka Leera chował się bowiem po pokojach tego olbrzymiego domostwa, tak by nikt go nie mógł odnaleźć i zagonić do obowiązków.

Do swojego mieszkania Bishop wrócił wściekły. Miał pretensje do Frau Leer, że nie powiedziała mu ani o siostrzeńcach swojego męża, ani o kamerdynerze. Frau Leer błagała go o przebaczenie, o wyrozumiałość. „– Myślałam, że to nie ma znaczenia”^[32] – łkała. Potem podeszła do Bishopa i przytuliła się do niego. Chwilę później było już po wszystkim. „Leżeli obok siebie na łóżku. Przykryci brudną narzutą”^[33]. Bishop zaproponował Frau Leer papierosa. Odparła, że nie pali. A więc matraquage’ e nie należą do niej – pomyślał, po czym wstał i podszedł do okna zaciągnąć zasłony. Po drugiej stronie ulicy stał w świetle trzech latarni mężczyzna w kremowym makintoshu i kapeluszu z pawim piórkiem...”^[34].

^[29] Charles Risk, *Tabetyk w tumbie*, tłum. T.T., s. 32.

^[30] Tamże, s. 39.

^[31] Tamże, s. 40.

^[32] Tamże, s. 42.

^[33] Tamże, s. 45.

^[34] Tamże, s. 46.

DODATEK II. CHARLES RISK

Na tym urywał się maszynopis Riska. Do książki dołączony był jeszcze suplement, składający się z ostatniego wywiadu z autorem *Tabetyka w tumbie* i kilkustronicowego biogramu, w którym dokładnie opisano tajemnicze okoliczności jego śmierci. Charlesa Riska znaleziono martwego na peronie dworca w Chicago szóstego czerwca 1915 roku. Pierwsze pobieżne oględziny zwłok nic nie wykazały. Żadnych poważnych uszkodzeń ciała: zadrapań, siniaków, rozcięć, poparzeń. Wykluczono też zawał serca czy udar. Uwagę śledczych przykuła natomiast czerwono-fioletowa kropka na łydce pisarza. Przypominała wyciśnięty pryszcz. Była to w rzeczywistości niewielka rana kłuta. W jej wnętrzu, tuż pod naskórkiem, znaleziono mikroskopijną ampułkę. Po jej zbadaniu okazało się, że zawierała silną substancję toksyczną, pochodną jadu ryby fugu. Tak, Charles Risk został otruty. Sprawców nigdy nie wykryto. Motyw też pozostał tajemnicą. W każdym razie wykluczono morderstwo na tle rabunkowym. Nic bowiem nie zginęło z osobistych rzeczy denata.

W kieszeni jego haweloka znaleziono portfel z kilkoma dolarami, ususzonego chrabąszcza i paczkę papierosów Matraquage...

Kilka miesięcy po śmierci Riska wyszło na jaw, że od 1876 roku należał on do stowarzyszenia Skarabeusz.

KONIEC CZĘŚCI TRZECIEJ

SZEŚĆ FILMÓW, KTÓRE WARTO OBEJRZEĆ W NADCHODZĄCYM TYGODNIU

Spóźniony pociąg ★★★★★

Film kostiumowy, NRD 1984,

Reż. Fritz Ruhe

Wismar 1899. W małoletniej prostytutce Annie (świecna Tonia Mitte) zakochuje się pięćdziesięcioletni piekarz Jorg (Alexander Frei). Ich szczęście nie trwa jednak długo. Na horyzoncie pojawia się demoniczny Rudolf Voegel, właściciel domu schadzek, w którym ongiś pracowała Anna. Pouczające.

Nad szczeliną ★★★★★

Amerykańsko-duńsko-japońsko-szwedzko-angielsko-niemiecko-holendersko-belgijski melodramat s.f. 2004,

Reż. Max Page

Konceptualny majstersztyk. Max Page wskazuje drogę światowemu melodramatowi. Jest wiosna roku 2089, gdy popularny reżyser filmowy Connor Judd odkrywa przypadkowo, że jest cyborgiem. Miotany sprzecznymi uczuciami w końcu postanawia popełnić samobójstwo. Zanim to jednak uczyni, przemontuje wszystkie zrobione dotąd przez siebie filmy w jedno spójne arcydzieło. Równocześnie wzruszająca opowieść o wyalienowaniu artysty i hymn na cześć życia.

Pięści ★★★★★

Dramat, Polska 2006,

Reż. Prakseda Aksamit

Udany debiut młodej reżyserki. Niepozbawiona humoru kameralna opowieść o pochodzącej z robotniczej rodziny dziewczynie, która za wszelką cenę chce zwyciężyć w organizowanym przez osiedlowy dom kultury konkursie stepowania. Ale czy aby na pewno gra jest warta świeczki, a cena za zwycięstwo nie okaże się zbyt wysoka? Film nie daje łatwych odpowiedzi.

Sycylijskie impresje ★★★★★

Włosko-francuski film dokumentalny,

Reż. Felix Réard

Film jest próbą odpowiedzenia sobie na pytanie, czy w dniu 10 lipca 1933 roku w hallu Hôtel des Palmes w Palermo doszło do tajnego spotkania

między Raymondem Russelem a Giuseppe Tomassim di Lampedusa, który według świadków jako żywo przebywał wtedy w zamku swojej żony w Stomersee na Łotwie. Frapujące.

Przemoczeni przemocą ★★

Horror, USA 1999

Reż. Rod Usher

Młody informatyk William Willson wprowadza się wraz z żoną i trzyletnim synem do ponurej willi na przedmieściach amerykańskiej metropolii. Przed stoma laty doszło tam do rytualnego morderstwa dwójki dzieci. Duchy umarłych za swoją krzywdę chcą się zemścić na nowych lokatorach. Będzie krwawo i przewidywalnie. Film tylko dla wytrwałych.

Noisy Day ★★★★★

Western, USA 1963,

Reż. Ted H. Milestone

Klasyka westernu. Laureat trzech Oscarów Mike Mahoney jako Henry „Doc” Holliday, niegdysiejszy dentysta z miasteczka Tombstone, teraz szczwany pokerzysta i szybki rewolwerowiec. Do tego wspaniałe zdjęcia Torstena Griega i niezapomniana scena pojedynku „Doca” z najlepszym rewolwerowcem w Arizonie Stanleyem „Daredevil” McCormackiem (Robert Lanza). Plus Paul Newman jako szeryf miasteczka Tombstone John Harris Beham. Wielki sukces Moonlight Studio i braci Krantzbergów. John Huston uznał *Noisy Day* za najlepszy western w historii kina.

CZEŚĆ CZWARTA

1. Stany Zjednoczone

W lutym 1877 roku Jakub Klug wraz z Bretzdeggerem i baronem von X. wyszli na ląd w nowojorskim porcie. Zaśnieżone gałęzie drzew na Battery przypominały skaliste żleby gór, a wiejący znad Atlantyku zimny wilgotny wiatr, przenikający najgrubsze warstwy ubrania, drażnił wargi i policzki. Mogło się wydawać, że nie ma mniej przychylnego przybyszom miejsca niż Nowy Jork, ale przyjazd do Ameryki – tak upragniony, tak wyczekiwany – był dla Jakuba Kluga radosną odmianą po trzyletnim pobycie w Berlinie.

Na trzech nierzucających się w oczy przybyszów czekali przy zejściu z trapu Woodrow W. Weiss i Louis Kafer wraz z szoferem. Ten amerykański tajkun, który był pierwowzorem postaci Henry'ego Leera, ojca Margaret Leer z niedokończonej powieści Charlesa Riska *Tabetyk w tumbie*, poznał Bretzdeggera przed kilkoma miesiącami, gdy jako przedstawiciel swojej produkującej lokomotywy firmy przyjechał do Berlina, by osobiście podpisać z cesarzem Wilhelmem kontrakt na produkcję trzydziestu parowozów, które miały obsługiwać najważniejsze trakcje w dopiero co zjednoczonym cesarstwie. Zachwycony wizją uczestniczenia w czymś tajnym, pewny szlachetnych (no, może nie tyle szlachetnych, ile opłacalnych) zamiarów Bretzdeggera, który już na pierwszym ich wspólnym spotkaniu w ambasadzie Stanów zjednoczonych w Berlinie wyjątkowo przypadł mu do gustu, bez chwili wahania przystał do stowarzyszenia Skarabeusz i wkrótce stał się jego najhojniejszym donatorem. Natomiast dla ambitnego Bretzdeggera bogaty Kafer był co najmniej w trójnasób atrakcyjnym kąskiem: ze względu na swój ogromny majątek, rozliczne kontakty w amerykańskim biznesie i pochodzenie. Amerykański milioner był w prostej linii potomkiem ostatniego mistrza Wielkiej Rady Światła Gustawa Käfera, a tego rodzaju niuanse niepomierne ekscytowały założyciela Skarabeusza.

Cała trójka (Klug, Bretzdegger i baron von X.) zatrzymała się w dużej, przypominającej średniowieczny zamek rezydencji Kafera (spadzisty zielony dach z kwiatonami i ponurymi strzelistymi pinaklami, cztery baszty z hurdykami, otoczony krążankiem dziedziniec z marmurową fontanną, wychodzące na Central Park arkadowe okna), gdzie było około pięćdziesięciu przypominających pustelnicze cele pokoje, rozrzuconych niesymetrycznie wzdłuż ośmiu oświetlonych kandelabrami korytarzy, które wieńczyły – jak by napisał Risk – „kaskady marmurowych schodów”, zbiegające się w znajdującej się pod dziedzińcem jadalni, gdzie przy długim

na kilkanaście metrów stole odbywały się zarówno słynne w całym Nowym Jorku przyjęcia, jak i tajne spotkania amerykańskich członków Skarabeusza.

2. Abomin

Już na drugi dzień po przybyciu do Ameryki Jakub Klug wybrał się na spacer po okolicy, podczas którego – niby to mimochodem – zajrzał do Manhattan Chess Club. Wśród kilkunastu graczy, którzy przy dębowych stolikach toczyli ze sobą zacięte pojedynki, i tłumy gapiów popijających mocniejsze alkohole Jakub Klug ku własnemu zdziwieniu wypatrzył swojego przyjaciela, miłośnika Partii Hiszpańskiej, wielkiego Roberta Abomina. Belgijski mistrz przechadzał się między trzema szachownicami, co rusz wykonując na któreś posunięcie wprawiające w zachwyt bardziej zorientowanych w szachowych tajnikach widzów. Czwarty stół był niezajęty. Czekał na kolejnego śmiałka, który za pięćdziesiąt centów odważy się zmierzyć z Europejczykiem. Jakub Klug przeszedł za plecami kibicujących Abominowi widzów, tak aby przypadkiem przyjaciel go nie zauważył, i usiadł przy pustym stoliku. Na blacie obok skórzanej szachownicy położył wysupłane z kieszeni pięćdziesiąt centów i w charakterystyczny dla siebie, flegmatyczny sposób zaczął układać bierki, poczynając od króla, a kończąc na zajmującym pole E2 pionie, którym od razu wykonał ruch o dwa pola do przodu. Abomin nawet nie mrugnął, gdy zobaczył Kluga przy czwartym stoliku. Szybko odpowiedział tylko na jego posunięcie (E5) i podszedł do kolejnej szachownicy.

Niecałą godzinę zajęło Belgowi pokonanie amatorów. Bogatszy o półtora dolara usiadł teraz przy stoliku Kluga i skoncentrował się na tej jednej rozgrywce, którą dotąd, gdy równocześnie grał trzy inne partie, prowadził w sposób nazbyt asekuracyjny. Przy dwudziestym piątym posunięciu Klug podwoił stawkę, co wprawiło w euforię zebranych wokół szachownicy kibiców. Chwilę później jednak popełnił poważny błąd pozycyjny, stracił wieżę i zmuszony był poddać partię. Obaj gracze bardzo oficjalnie podali sobie rękę nad szachownicą, dziękując za emocjonujący pojedynek, po czym, ku zaskoczeniu zebranych w manhattańskim klubie gapiów, uściskali się serdecznie.

Okazało się, że Abomin przyjechał do Stanów Zjednoczonych przed kilkoma tygodniami. Miał tu rozegrać kilka meczów z amerykańskimi szachistami (między innymi Maurianem, Buckiem, Bartonem, Hyattem, Crossem). Były one niejako uwerturą do wielkiego, zaplanowanego na 10 kwietnia w Saint Louis pojedynku z Laufenbergiem, którego stawką były trzy tysiące dolarów.

Wieczorem obaj panowie poszli razem na kolację do jednej z wytworniejszych restauracji na Piątej Alei. Klug nie chciał zdradzić Abominowi celu swojej podróży do Ameryki (zresztą do dzisiaj nie wiadomo, dlaczego Bretzdegger i baron von X. zdecydowali się zabrać go ze sobą) i tylko przebąkiwał coś niewyraźnie, że nie ma on nic wspólnego z szachami. Przez cały wieczór wypytywał przyjaciela o Laufenberga, aż w końcu, gdy się rozstawali, poprosił go o umożliwienie skontaktowania się z mistrzem.

3. Zniknięcie Abomina

Cztery tygodnie później do zamku Kafera przybył posłaniec z listem do Jakuba Kluga. Nadawcą był Abomin, który od czasu ich ostatniego przypadkowego spotkania w Manhattan Chess Club i suto zakrapianej kolacji w restauracji Il Braccio di Zanzara przepadł bez wieści. Przestał pojawiać się w klubie szachowym na Manhattanie, gdzie długie popołudnia spędzał teraz Jakub Klug, nie widywano go na bankietach, nie odwiedzał swoich ulubionych restauracji, kilkakrotnie nie przyszedł na umówione wcześniej mecze czy pokazy gry na ślepo, co więcej, wymeldował się z pokoju hotelowego, a na pytanie portiera, dokąd wyjeżdża, odburknął tylko: *Quiet!*

Wszystko to było co najmniej dziwne i w wypadku tak uporządkowanej, grzecznej i ułożonej osoby, jaką był Robert Abomin, raczej niespotykane. Co prawda kilku ludzi mówiło, że widywało go w mieście w towarzystwie tajemniczych śniadych mężczyzn o twarzach zupełnie pozbawionych wyrazu, ale Klug puszczał te rewelacje mimo uszu. Był przekonany, że Abomina na pewno nie ma w Nowym Jorku. Prawdopodobnie wyjechał do Chicago albo Bostonu, żeby rozegrać mecz z którymś z miejscowych arcymistrzów – myślał. Zresztą podczas wspólnej kolacji Abomin wspominał przecież o maratonie meczów z amerykańskimi szachistami, jaki rzekomo czekał go przed pojedynkiem z Albertem Laufenbergiem.

DODATEK I. LUCA CUBE

W nowojorskim kwartalniku „Chess After Check” (w drugim numerze z 1877 roku) możemy przeczytać artykuł pana Jamesa S. Zone’a pt. 12:0. Jest to w zasadzie krótka relacja z dość osobliwego zdarzenia, jakie miało miejsce w klubie na Manhattanie, gdy nieznany nikomu szachista Luca Cube (z całą pewnością mamy tutaj do czynienia z przejęzyczeniem autora, który z Kuby Kluga zrobił Lucę Cube’a) postanowił zastąpić nieobecnego Abomina w meczu z dwunastką śmiałków, z którymi tego dnia belgijski szachista miał się zmierzyć w grze symultanicznej:

„– Nie ma co się denerwować – Luca Cube próbował załagodzić podszyte rozczarowaniem wzburzenie tuzina graczy, którzy w piątkowy wieczór pojawili się w Manhattan Chess Club, by rozegrać kilkugodzinną symultanę ze słynnym Abominem. – Na pewno nie przyszedł z jakichś ważnych powodów. Jeśli są jednak państwo bardzo zawiedzeni, że nie będzie wam dane pograć dzisiaj w szachy, to służę pomocą. Postaram się jak najlepiej zastąpić mojego przyjaciela i dać wam niezły wycisk na tych dwunastu szachownicach”.

Kuba Klug vel Luca Cube wygrał wszystkie dwanaście partii, czym wprawił w niemale zdziwienie przeciwników, a wśród publiczności wywołał burzę oklasków. „Zagadkowy jegomość, któremu w meczu z grupą silnych amatorów nie dawano większych szans, zastąpił nieobecnego Abomina nadspodziewanie dobrze, kontrolując przebieg wszystkich partii, od początku aż do samego końca – pisał Zone w swoim artykule. – Potem włożył swój podszyty wełną kozuch, z niemałym wysiłkiem wcisnął za ciasny cylinder na głowę i ukłoniwszy się wszystkim w iście prestidigitatorski sposób, opromieniony świetnym zwycięstwem opuścił klub”.

„Od tamtej pory ten gigant szachów, wychowanek Adolfa Anderssena, błyskotliwy i nieprzejednany mistrz kontrofensywy, cieszył się wśród nowojorskich szachistów ogromną estymą, a przy jego ubrudzonym okruciami ciastek stoliku, nad którym unosiły się kłęby tytoniowego dymu, siadali już tylko najlepsi miejscowi gracze. Niepozbawieni talentu, dobrzy technicznie, ale bez tej krzty błysku, który z gry poprawnej czyni doskonałą, nie mogli w żadnym razie zagrozić bezwzględnie wykorzystującemu każdy błąd swojego przeciwnika niedoścignionemu Jakubowi Klugowi”.

4. List

Tak więc w czasie gdy Bretzdegger i baron von X. spotykali się w zamku Kafera z coraz to bardziej wpływowymi osobami w Stanach Zjednoczonych i ustalali szczegóły skupu i przemytu złota amerykańskimi statkami handlowymi do Europy, gdzie chcieli sprzedawać je po sztucznie zaniżonych, na granicy opłacalności cenach, dzięki czemu mieli nadzieję w krótkim czasie doprowadzić do bankructwa większość i tak już dogorywających kopalni tego kruszcu w Niemczech, Rosji i na Bałkanach (i tym samym przejąć kontrolę nad całym europejskim rynkiem złota), Jakub Klub przesiadywał w klubie szachowym, gdzie w dłużących się przerwach pomiędzy poszczególnymi partiami zajmował się studiowaniem zagran Laufenberga i sprawdzał różne warianty obron przeciwko najczęściej stosowanym otwarciom królewieckiego arcymistrza. I w końcu wyszukiwał jakieś słabe punkty w tej na pozór bezbłędnej szachowej maszynerii. Klug liczył, że za sprawą Abomina być może niedługo będzie mógł się spotkać oko w oko z Laufenbergiem. I kto wie, co się wtedy wydarzy. Może mistrz zaprosi go do stołu, rzuci mu wyzwanie, zaproponuje mecz. Musiał być przygotowany na taką ewentualność. Ucieczka od gry z Laufenbergiem byłaby nie tylko zaprzepaszczeniem wielkiej szansy, ale i równałaby się kompromitacji, natomiast ewentualne zwycięstwo (jakże upragnione, tak wiele razy już dokonane w snach!) niepodważalnie umiejscowiłoby naszego Kluga, Jakuba Kluga, Kubakluga, Gulkabuka, Lucę Cube'a wśród trójki najlepszych szachistów na świecie.

Ale Abomin – jak już mówiłem – przepadł. Z czasem zaczęło to coraz bardziej niepokoić Kluga. W gazetach nie było śladu informacji o jego pojedynkach z amerykańskimi szachistami. Żadne wieści o tym, że gdzieś w innym stanie Abomin dał pokaz gry symultanicznej czy rozgromił jakiegoś pośledniego arcymistrza, nie docierały do Nowego Jorku. Luca Cube zaczął coraz bardziej się niecierpliwić. Chodził teraz poirytowany, łatwo wpadał w złość. Nie potrafiąc skoncentrować się na grze, popełniał na szachownicy proste błędy. A gdy przesuwiał bierki prawą, nieprzyjemnie pachnącą od ciągłego nabijania gilz tytoniem dłonią, to nawet chwili nie poświęcał na analizę swoich posunięć, tylko po prostu robił je automatycznie, zapewne będąc myślami zupełnie gdzie indziej, przy innym stoliku, naprzeciw wielkiego Laufenberga, który w jego szalonej wyobraźni z całkiem realnego gracza zaledwie w kilka dni przemienił się w nieuchwytnego, natrętnie

dręczącego go diabła.

Dlatego list od Abomina, który Klug otrzymał w marcowy, dość ciepły jak na tę porę roku poranek, gdy razem z Bretzdeggerem zakutani w koce spożywali w ogrodzie posilne (składające się głównie z jajek) śniadanie, był jak nagłe, ale jakże oczekiwane przebudzenie z koszmaru. W ledwie kilku skreślonych chybotliwym pismem zdaniach, w których pozornej martwocie dało się słyszeć charakterystyczne grasejowanie ich autora, Abomin nic nie wspominał o swoim zniknięciu, o swoim nieistnieniu. W tej chwili nie miało to jednak większego znaczenia, drugi bowiem akapit pospiesznie skreślonego listu otwierały tak oczekiwane przez Jakuba Kluga słowa: „Kilka dni temu widziałem się z Laufenbergiem, który podczas naszej krótkiej rozmowy wyraził chęć spotkania się z Tobą”. Jak wynikało z kolejnych zdań, Laufenberg nie tylko wiedział, kim jest Klug, ale również słyszał o jego europejskim tournée i od kilku lat uważnie śledził jego sportowe dokonania, widząc w nim jednego z najsilniejszych szachistów na świecie. Dalej Abomin pisał, zjadając po drodze kilka błękitnie brzmiących samogłosek, że Laufenberg będzie w Nowym Jorku już za dwa dni, gdzie w rezydencji pana Legranda (noszącej niepokojącą nazwę Octopus) wystawi dla kilkudziesięciu wybrańców z wyższych sfer spektakl pt. *Immortal game*, na który „serdecznie zaprasza swojego młodszego przyjaciela, mając jakże naiwną nadzieję, że pokaz kuso ubranych niewiast odgrywających nieśmiertelną (ha, dobre sobie!) partię Anderssena z Kieseritzkym przypadnie mu do gustu”.

Podekscytowany Klug jeszcze kilka razy przeczytał list, rozkoszując się każdą koślawą literą napisaną przez Abomina czarnym (po wysuszeniu przechodzącym w szarość) inkaustem, wciąż jeszcze nie mogąc uwierzyć, że za dwa dni spotka się z wielkim Laufenbergiem.

5. „Blitz”

Zaiste musiało to być prawdziwie kuriozalne widowisko. Szesnaście półnagich Murzynek i tyle samo równie roznegliżowanych białych dziewczyn (wszystkie w wieku od piętnastu do dwudziestu dwóch lat), odgrywających dramat nieśmiertelnej partii szachowej, w rytm monotonnej, ale skocznej muzyki, w tle stojący na podeście, przebrany za sędziego starca Laufenberg, komentujący na gorąco przebieg rozgrywki, śliniące się nad kilkunastoma stolikami gęby amerykańskich tajkunów, którym jędrne ciała tancerek przywodziły na myśl bezpowrotnie utracone niewinne czasy dojrzewania; rozrzedzona przez świece ciemność; w końcu wszechobecny nastrój tajemnicy, podkreślany przez dobiegające zewsząd poufałe szepty – wszystko to sprawiało na zdeorientowanym Jakubie Klugu wrażenie, jakby brał udział w jakimś zakazanym misterium, którego uczestnicy (wyłącznie mężczyźni) pożą na sam koniec prężące się na olbrzymiej szachownicy (osiem na osiem metrów) dziewczyny, tak jak pożerali zalegające na srebrnych talerzach przynoszone przez dwunastu Murzynów w sztruksowych liberiach wieprzowe szaszłyki.

Już sama rezydencja Legranda wzbudziła delikatny niepokój w jakże niedelikatnej duszy Jakuba Kluga. Miała bowiem w sobie coś z tych tajemniczych budowli wznoszących się gdzieś na krańcach świata, na krańcach języka, o których przed laty zaledwie kilkunastoletni Jakub czytał w jakimś nie do końca poważnym, za to bardzo popularnym periodyku poświęconym między innymi relacjom nawiedzonych globtroterów, którzy w swym szaleństwie zwiedzili tuziny nieistniejących miast i krain. Na poszatowanej kanałami płachcie równo przystrzyżonej zieleni, którą z dwóch stron otaczały ponure szpalery wiązów, stał wysoki, zbudowany na planie węgielnicy eklektyczny pałac, z którego ośmiu przypominających gniazda kominów wznosiły się do nieba kity szarego dymu. W odległości około dwudziestu metrów od pałacu, w miejscu, gdzie zazwyczaj znajdował się gazon, stała wysoka na kilka metrów kopuła z przeszklonym u szczytu oculusem. Na początku lat trzydziestych XX wieku w jednym z pism poświęconych architekturze („Architecture Now”) w długim na kilka szpalt artykule (ozdobionym zdjęciami i planami) opisano zrujnowaną już wtedy rezydencję Legranda jako przykład „estetycznego szaleństwa amerykańskich pionierów przedsiębiorczości”. Na marginesie dodam jeszcze, że przez całe lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte (jakże szalone, jakże naiwne) młodzież

z pobliskiej dzielnicy Queens traktowała ruiny pałacu jako wprost doskonałe miejsce na wszelkiego rodzaju schadzki i inicjacje.

Wyobrażam sobie, jak dorożka stępem okrążyła tę przypominającą etruskie tumulusy kopułę i zatrzymała się przed podtrzymywanym przez dwanaście kolumn portykiem. Tam na spóźnionego Jakuba Kluga czekał czarnoskóry lokaj, który skłonił się jedynie na widok gościa, po czym poprowadził go do pałacowych podziemi, gdzie w jednej z niedużych nieumeblowanych sal kłębiła się ciżba czekających na spektakl gości. Przypuszczam też, że kilka minut po dwudziestej pierwszej (tak, ta godzina wydaje mi się odpowiednia) zamknięte dotąd dwuskrzydłowe drzwi (znajdujące się dokładnie na wprost tych, przez które wszedł Klug) otwarły się z jękiem. Po chwili (a niech to będzie pięć sekund) w czarnym opisanym framugą prostokącie pojawił się sam Legrand (w turbanie i długiej drapowanej szacie) i zachęcającym gestem ręki (jak opisać gest?) zaprosił gościa w rozciągającą się za nim ciemność. Myślę, że szli długim wilgotnym korytarzem (bo jakież inne mogły być wtedy korytarze?) w stronę rozrzedzonego, ale coraz to silniejszego światła, w którym lada moment ich ponure sylwetki miały się roztopić. Znajdująca się na końcu korytarza prostokątna sala była wielkości dwóch kortów tenisowych, a wieńczyła ją – bingo! – kopuła, którą przed kilkunastoma minutami okrążyła dorożka wioząca Kluga. Być może (a wykluczyć tego nie potrafię) w chwili, gdy Jakub Klug Pierwszy – ten właściwy, ten jedyny nas interesujący – wchodził do wielkiej oświetlonej sali, gdzie zaraz na ogromnej szachownicy miało się odbyć premierowe przedstawienie monsieur Laufenberga *Immortal game*, inny Jakub Klug, powiedzmy: Jakub Klug Drugi albo Kubłaj Bukaj Gulk (ten znacznie mniej nas interesujący spóźniony bohater lustrzanej opowieści), niecierpliwie wiercił się na obitej skórą kanapce fiakra, który właśnie mijał stępą przypominającą kobiecą pierś ogromną, rozświetloną od wewnątrz setkami świec kopułę. Między kolumnami pałacowego portyku (tak bajecznie kremowymi, tak śmiesznie nierealnymi) czekała zaś na niego pierwsza (z setek możliwych), najwierniejsza zresztą odbitka nieznanego nam z imienia i nazwiska, zupełnie nieistotnego czarnoskórego lokaja, który został powołany do życia tylko po to, by dla dobra narracji, dla dobra obrotu ciał niebieskich przeprowadzić Kluga do podziemi.

Gdy przedstawienie dobiegło końca i na szachownicy zostały już tylko frenetycznie oklaskiwane przez samców dwa długonogie konie (jakże apetyczne były te ich kopytka), siedzący samotnie przy wciśniętym w róg sali

stoliku Jakub Klug, który dotąd uważnie śledził nader osobliwy spektakl Laufenberga, zaczął nerwowo rozglądać się po pomieszczeniu w poszukiwaniu swojego przyjaciela Abomina. Jego nagłe zniknięcie (tak do niego niepodobne, tak nieabominowe), w żaden sposób nieskomentowane w liście, w ciągu ostatnich tygodni zdołało już wystarczająco zaniepokoić Kluga. Dlatego teraz nasz nieco neurotyczny, zbyt przywiązany do form przyszły zwycięzca turnieju w Paryżu domagał się wyjaśnień (bo jak to tak bez słowa można zniknąć?) albo przynajmniej przeprosin (bądź co bądź Klug przecież bardzo liczył na tych kilka niezobowiązujących partii z Abominem w miłej atmosferze Manhattan Chess Club, a tu ni stąd, ni zowąd przyjaciel znikł). Ale Abomina nie było wśród gości. Co więcej, wyprzedzając trochę narrację, powiem, że Jakub Klug miał się już nigdy nie spotkać z belgijskim arcymistrzem.

Za to po kilku minutach, gdy Jakub Klug przestał już wypatrywać wśród tłumu czarnych fraków i kolorowych fontazi charakterystycznej kwadratowej sylwetki Abomina (przyodzianej, jak przypuszczał, w przymały surducik oraz białą koszulę z riuszkami) i zdenerwowany chwycił za stojący przed nim kieliszek czerwonego wina, by zwilżyć spierzchnięte wargi, do jego stolika powolnym, wyniosłym krokiem podszedł ten upudrowany upiór, ten diabatyczny diabeł, ten niepokonany i nieodgadniony Albert Laufenberg.

O tym spotkaniu krążyło (i krąży) wiele niejednokrotnie przeczących sobie legend. Według jednej z nich Laufenberg podszedł do Kluga z madżongiem i zaproponował mu partię, którą następnie gładko wygrał. Jan Oskar Peb utrzymuje natomiast, że był to backgammon i zwyciężył Klug. Ja zaś przypuszczam, że były to szachy. Co więcej: padł remis. W jednym z ostatnich numerów „Chess Monthly” z 1878 roku natrafiłem na wyczerpujący, analityczny komentarz Laufenberga do pewnej remisowej partii, którą kilka miesięcy wcześniej ten pochodzący z Królewca arcyarcymistrz rozegrał z pewnym europejskim szachistą, ukrywającym się w tej krótkiej rozprawce pod wieńczącą początek i inaugurującą Koniec, przypominającą źródło wytryskujące ze skały literą K. Agresywny, niestety nie bezbłędny styl gry, uporczywe nękanie pozycji króla, kilka fantastycznych gambitów, wreszcie odważna gra kombinacyjna każą mi przypuszczać, ba, każą mi być pewnym, że pod literą K, a właściwie w literze K (w jej zagłębieniu, przez które płynie zielona, lodowata rzeka) jest zanurzony po pas nie kto inny jak nagi Jakub Klug.

Ale mniejsza o to, w co grali i kto wygrał. Wszystko, co określone

i istniejące, potrzebuje punktów odniesienia i od razu nasuwa na myśl pytania: co potem i co poza tym? I choć nicość wydaje się tak bardzo prawdopodobna, niemal jedynie możliwa, tylko ona bowiem pozwala uwolnić się od zrodzonych z charakterystycznej dla ludzkiego umysłu dychotomii „tu i tam” pytań, to budujmy nasze mitologie na przekonaniu, że jednak coś było (i coś jest). I choćby przypominająca matryoszkę wizja kosmosu wydawała się co najmniej naiwna i wątpliwa, to przyjmijmy ją – przynajmniej na potrzeby tej opowieści – z dobrodziejstwem inwentarza i cieszymy się jakże błogim przekonaniem, że wtedy, w rezydencji Legranda, odbyła się jakaś konkretna partia jakiejś konkretnej gry i wynik jej był równie konkretny (choć dla nas, żyjących tu i teraz, kompletnie nieznany). Zawsze przecież pozostaje wiara w prawdę i istotność każdego zdarzenia, z czym łączy się nadzieja na istnienie czegoś „poza”. I choćbyśmy na sądzie ostatecznym trafili do piekieł i cierpieli tam wieczne, niewyobrażalne męki, to przecież myśl (jakże szczęśliwa, jakże zbawcza, naprawdę nie z piekła rodem), że gdzieś poza miejscem naszej kaźni jest niebo, nie tylko byłaby dla nas pocieszeniem, ale także unieważniałaby nasze cierpienia.

W każdym razie po rozegraniu partii w szachomadżongammona (jej wynik dośpiewać sobie można według własnego widzimisie), gdy sala, w której jeszcze przed chwilą półnogie tancerki odgrywały nieśmiertelny pojedynek Andersena z Kieseritzkym, zaczęła pustoszeć, Albert Laufenberg wziął pod rękę Jakuba Kluga i przez znajdujące się za jego plecami mosiężne drzwi wprowadził do idealnie sześciennego pomieszczenia, gdzie na środku, w świetle kilkunastu dopalających się świec jaśniała przypominająca biurko maszyna do gry w szachy. Był to słynny „Blitz”.

„Na pokrytym zielonym suknem blacie znajdowała się szachownica z rozstawionymi bierkami – tak «Blitza» opisuje Jan Oskar Peb. – W przeciwieństwie do słynnego «Mechanicznego Turka» pionów nie poruszała żadna przypominająca człowieka kukła. Również w środku maszyny nie znajdował się gracz, który za sprawą magnesów mógłby przemieszczać figury. Zresztą mechanizm «Blitza» do dziś pozostaje tajemnicą. Przypuszcza się, że bierki poruszane były po szachownicy dzięki falam elektromagnetycznym, a ich ruch nadzorował siedzący w innym pomieszczeniu szachista. Dzięki nadajnikom umieszczonym w figurach przeciwnika ukryty za ścianą gracz mógł śledzić przebieg partii na składającej się z sześćdziesięciu czterech czerwonych diod tablicy. Paliły się tylko te diody, które odpowiadały zajmowanym przez figury polom na

blitzowej szachownicy. Jednak zdaniem wielu historyków tak zaawansowana technologia była niemożliwa pod koniec siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych lat XIX wieku. Ich zdaniem albo bierki przesuwane były przez znajdującego się w pomieszczeniu szachistę, który posiadał zdolność telekinezy, albo – co wydaje się bardziej przekonujące – dzięki jakimś iluzjonistycznym sztuczkom ze zwierciadłami udało się w maszynie ukryć jednak szachistę. Jest to wielce prawdopodobne również dlatego, że wynalazca maszyny, maharadża Ram Shri Dabinogyjajinam, podobno przez kilkanaście lat jeździł po Europie i dawał ciesząc się dużym powodzeniem (głównie w Anglii, Hiszpanii i Francji) pokazy magii”.

Możemy domyślać się, że Jakub Klug rozegrał tej nocy partię z maszyną. Możemy domniemywać, że przerznął ją z kretesem. Przymuszczalnie oszołomiony winem (i tym wszystkim, co dotąd zobaczył, usłyszał, przeżył i strawił w rezydencji Legranda) popełnił dużo błahych błędów i po dwudziestym którymś posunięciu (niech będzie po dwudziestym piątym) poddał się. Oprócz Laufenberga jego mecz z „Blitzem” zapewne obserwował także maharadża Dabinogyjajinam, który jeszcze podczas spektaklu zwrócił uwagę Kluga swoją pomnikową posturą i niecodziennym pstrokatym ubiorem (zdobioną cekinami, przypominającą szlafrok turkusową szatą, czerwonym turbanem i złotymi trzewikami). Jak przystało na iluzjonistę, bezszelestnie wpełznął do pokoju, gdy Klug siadał właśnie do szachownicy. Potem wraz z przebiegiem gry jego buraczane usta wykrzywiały się w niewyraźnym grymasie zadowolenia, unosząc nieznacznie elegancko przystrzyżone wąsy, które jakby od niechcienia rozchodziły się pod jego zadartym nosem, by za chwilę swobodnie opaść na kąciki ust i na wydatnym podbródku na powrót zwrócić się ku sobie.

Gdy było już po wszystkim, maharadża podszedł do Kluga i pogratulował mu przegranej partii.

Wszak był on pierwszym szachistą, który miał zaszczyt zmierzyć się z „Blitzem”.

6. Ostatnie dni w Stanach Zjednoczonych

Przez ostatnie lata życia Jakubowi Klugowi towarzyszyło na przemian poczucie pełni i przerażenia. Chwile dziecinnego entuzjazmu, nacechowane niemalże maniakalnym dostrzeganiem w każdym przejawie istnienia ukrytego sensu i mnogości znaczeń, przeplatane były ciemnymi tygodniami smutku. Wszechogarniająca świadomość tego, że każdy gest, słowo, ruch na szachownicy jest w swej ostateczności nieodwracalny i niepowtarzalny, że wszystko, co się zdarza, zdarza się tylko raz i przez to na zawsze pozostaje w jakiś sposób nierealne, poza weryfikacją, słowem świadomość permanentnej utraty świata paraliżowała go.

Ostatni miesiąc w Stanach Zjednoczonych spędził na podróżach. Razem z baronem von X. i Bretzdeggerem przemieszczali się pociągami od miasta do miasta, od stanu do stanu. Przygnębiony Klug godzinami oglądał przez okna przemijające nieznanym krajobrazy, te rzucone mu przez los obietnice szczęścia (wznoszące się pośród wiązków białe domostwa, płaskie, nieruchome przestrzenie, rozczesywane przez wiatr trawy, samotne stacyjki, na których zawiadowcy, żując gorzki tytoń, opalali się we wschodzącym słońcu). Tam, gdzie nas nie ma, jest tajemnica. Być może w ogóle nie myślał wtedy o szachach, o Laufenbergu, o „Blitzu”, o Abominie. Być może po raz pierwszy umysł miał czysty. Choć smutny. Być może w deseniach światła zdobiącym tafle jeziora, który nagle dojrzał zza monotonnej palisady świerków, przeczuł coś dogłębnie tragicznego, coś, czego do końca nie potrafił nazwać, a co na wskroś przeszywało kosmos i stanowiło o jego istocie. Jakaś mroczna plamka wewnątrz całego istnienia.

Jakub Klug był w Chicago, gdy dowiedział się, że mecz Abomina z Laufenbergiem się nie odbędzie. Oficjalnie mówiło się, że Abomin i jego sekundanci nie zdołali uzbierać półtora tysiąca dolarów, które belgijski szachista miał wnieść do meczowej puli. Fiaskiem zakończyły się także rokowania dotyczące ewentualnego zmniejszenia stawki. Dlatego, jak pisały gazety, niepokieszony Abomin miał wsiąść na pokład transatlantyku „King Henry” i wrócić do Europy. Klug podejrzewał jednak, że wersja oficjalna niewiele ma wspólnego z prawdą. W klubie szachowym w Chicago przypadkiem usłyszał rozmowę dwóch brodatych jegomościów, nad którą unosiła się delikatna mgiełka niewyraźnej wprost sugestii, że Abomin został zamordowany, czego gazety nie mogły napisać – jak mniemali panowie – ze względu na dobro prowadzonego śledztwa. W Detroit, gdzie Klug rozegrał

dwie kilkugodzinne symultany (z piętnastoma i dwudziestoma dwoma graczami), mówiono o samobójstwie Belga, w Filadelfii (tam nasz bohater dał srogą lekcję szachów weteranowi wojny secesyjnej generałowi Smithowi) o porwaniu, a w Bostonie (kilka pojedynków z niewymagającymi arcymistrzami i jedna symultana na ślepo przeciwko dziesięciu graczom) sugerowano nawet, że Abomin nigdy nie istniał i został wymyślony przez Laufenberga. Co prawda na ostatnich stronach „New York Timesa” i „Chicago Tribune” wraz z informacją o odwołaniu meczu zostało opublikowane niewyraźne zdjęcie Abomina machającego z pokładu statku „King Henry” do swoich kibiców i dziennikarzy, ale jego sylwetka była na tyle niewyraźna, zamazana, że aby dostrzec w niej choćby zarys belgijskiego szachisty, naprawdę nieodzowny był spory upór i dużo, bardzo dużo dobrej woli.

Wszędzie, gdzie się zatrzymywali Bretzdegger, baron von X. i będący niejako na doczepkę Jakub Klug, urządzano na ich cześć przyjęcia. Amerykańscy politycy i milionerzy prześcigali się w wystawności bankietów, na których fetowano tych trzech przybyszy z Europy, wznoszono toasty za ich zdrowie, zabiegano o ich względy, co, prawdę mówiąc, Klugowi od początku wydawało się dosyć podejrzane. Nigdy nie dowiemy się, jak wielu członków miało stowarzyszenie Skarabeusz w Stanach Zjednoczonych, ale przypuszczam, że ich liczba szła w setki. Mój przyjaciel pan Ritter uważał wręcz, że Skarabeusz był najbardziej wpływową nieformalną organizacją w Stanach Zjednoczonych przed pierwszą wojną światową.

– Nigdy nie mogłeś być pewien tego, czy twój konkurent, pracownik, ba, służąca nie należą do stowarzyszenia – mówił podczas jednej z naszych szachowych potyczek. – I ten rodzaj psychozy powodował, że coraz więcej osób w obawie przed wykluczeniem i ze względu na swoje bezpieczeństwo chciało przystać do Skarabeusza, wśród samych członków zaś wywoływał irracjonalne niemalże poczucie lojalności wobec wielkiej, zdawałoby się nie do ogarnięcia organizacji. Reks Aron, jak wiesz zapewne, podejrzewa, że sam Bretzdegger oprócz niebywałego talentu zjednywania sobie ludzi miał ponadnormalną, hipnotyczną moc sugestii. Natomiast ja jestem zdania, że tak naprawdę pierwsze skrzypce w Skarabeuszu grał baron von X., ten szarlatan, mag, okultysta, okularnik, łotr, łobuz, hipnotyzer, syjamski brat papieża, w końcu bankrut, morderca, uzależniony od opium pijak, który na pierwszym roku studiów teologii w Heidelbergu podpisał cyrograf, a Bretzdegger był tylko pionkiem, małym czarnym bauerem z pola C7 w jego łapczywych,

niezadbanych dłoniach.

7. Ocean

Była ostatnia majowa niedziela roku 1877. Przypominające sople obłoki rozpuszczały się w świetle księżyca, gdy Jakub Klug stał na pierwszym pokładzie największego ówczesnego transatlantyku „Ironic”. Wracał do Europy. Białe ostrze statku rozcinało nieskończenie nudny, nieruchomy płat oceanu. Być może myślał wtedy o idealnym, bezbłędnym rozegraniu partii (żadnego kluczenia, żadnych domysłów, radosna wszechwiedza). O algorytmie, od którego nie byłoby odstępstw. Wzorze na zwycięstwo. A może zastanawiał się nad nieprzeniknioną zagadką liter. Nad znaczeniami kryjącymi się w przypadkowych na pozór (w rzeczywistości jedynych możliwych) ciągach kilku, kilkudziesięciu, kilkuset znaków. Nad Abominem. Nad objawieniem przyczajonym w tym wspaniałym górzystym krajobrazie z jeziorem w środku, nad którym świeci ponura gwiazda kropki.

KONIEC CZĘŚCI CZWARTEJ

**DWA PRZEPISY (Z ZESZYTU
KUCHARZA PRZYGOTOWUJĄCEGO
POTRAWY DLA WIDZÓW SPEKTAKLU
IMMORTAL GAME W REZYDENCJI PANA
LEGRANDA), Z KTÓRYCH WARTO
SKORZYSTAĆ W PRZERWACH POMIĘDZY
KOLEJNYMI ROZDZIAŁAMI KSIĄŻKI**

Panna cotta con lamponi

Składniki na cztery porcje

Na panna cotta:

3/4 l śmietany

3 łyżki cukru

1 laska cynamonu

skórka z cytryny

65 g substancji zagęszczającej

trochę masła

Na sos malinowy:

300 g malin

3 łyżki cukru pudru

trochę likieru malinowego

świeża mięta

- Żeby przygotować panna cotta, należy w garnuszku wymieszać śmietanę z cukrem, dodać laskę cynamonu i skórkę cytrynową. Potem mieszankę trzeba powoli podgrzewać i gotować bez przykrycia przez 5–10 minut, tak żeby wyparowała ociupinka płynu.

- Śmietanę przecedzić przez sito. Stopniowo dodawać i rozpuszczać w niej substancję zagęszczającą.

- Teraz należy napełnić foremki wysmarowane cieniutko masełkiem i pozwolić im ostygnąć. Potem foremki wstawiamy do lodówki na 3–4 godziny, aby nasza masa zastygła.

- Żeby przygotować sos malinowy, trzeba zmiksować owoce z cukrem pudrem (a może z cukrem i z pudrem) i niewielką ilością likieru malinowego.

- Teraz wyjmujemy panna cotta z foremek foremnych, polewamy sosem malinowym, dekorujemy listkami mięty i podajemy!

Szaszłyczki wieprzowe

Pork Satay

4 porcje, ok. 40 min

Składniki:

30 dag polędwiczek wieprzowych

1 łyżka słodkiego sosu sojowego

1 łyżka soku z cytryny

1 łyżka oleju

1 ząbek czosnku

1 cebula

sól

pieprz

- Mięsko należy pokroić w kostkę 1,5×1,5 cm. Cebulę i czosnek posiekać, zrumienić na oleju, zmielić z mięsem, wymieszać z sosem sojowym i sokiem z cytryny, doprawić solą i pieprzem.

- Uformować kotleciki, nadziać na szpadki i piec 15 minutek, obracając kilka razy.

- Podawać z ryżem i sosem z orzeszków ziemnych.

CZEŚĆ PIĄTA

1. Turniej w Bayonne

Pod koniec 1877 roku odbył się w Bayonne Wielki Turniej Szachowy. Spośród światowej czołówki zabrakło na nim jedynie Laufenberga, który wraz ze swoim spektaklem *Immortal Game* podróżował po środkowym zachodzie Stanów Zjednoczonych, oraz Wilhelma Steinitza, który co prawda pojawił się w Akwitanii, lecz nie w roli gracza, lecz komentatora magazynu „British Chess Magazine”. Turniej w Bayonne był wyjątkowy pod wieloma względami. Partie remisowe powtarzano, z tym że ze zmianą kolorów i dopiero trzeci kolejny remis traktowany był jako wynik ostateczny. Tempo gry wynosiło dziesięć posunięć na godzinę. Rundy rozpoczynały się o jedenastej rano. O czternastej ogłaszano trzygodzinną przerwę, podczas której surowo zakazane było konsultowanie czy analizowanie pozycji bierek, pod groźbą usunięcia z turnieju. O siedemnastej wznowiano zawody i kontynuowano grę aż do dwudziestej pierwszej. Niezakończone partie odkładano.

Poszczególne rundy rozgrywano w poniedziałki, wtorki, środy i piątki. Natomiast w czwartki i soboty powtarzano partie remisowe i dogrywano te niedokończone. Niedziela była dniem odpoczynku.

Od samego początku turnieju Klug prezentował się nadzwyczaj dobrze. Błyskotliwe zwycięstwa w dwóch pierwszych partiach z Blackburne'em i Czigorinem uplasowały go na początku stawki, a komentatorzy, korespondenci i zwykli kibice zaczęli upatrywać w nim głównego kandydata do triumfu w całym turnieju. Przełomowym momentem turnieju była jednak piąta runda, w której Klug zmierzył się z Winawerem. Warszawski szachista od pierwszych posunięć grał bardzo agresywnie, a przy tym błyskotliwie. Przez trzydzieści ruchów niezwykle śmiałego, nieprzerwanego ataku ustrzegł się błędów i wyglądało na to, że Jakub Klug poniesie pierwszą porażkę w turnieju. O godzinie czternastej, gdy ogłoszono trzygodzinną przerwę w rozgrywkach, pozycja białych, którymi grał Winawer, była o niebo lepsza od pozycji czarnych. Zatem przegrana Kluga wydawała się teraz tylko kwestią czasu. O siedemnastej wznowiono rozgrywki. Większość kibiców – jak również wielu zawodników, którzy równolegle rozgrywali swoje turniejowe partie – skupiła uwagę na stoliku numer 1, przy którym walczyli Klug i Winawer. Wydaje się, że po trzygodzinnej przerwie Klug usiadł do gry znacznie bardziej skoncentrowany od swojego rywala. Już w trzydziestym trzecim posunięciu (koło godziny siedemnastej dziesięć)

Winawer popełnił dramatyczny błąd pozycyjny i zaprzepaścił wszystko, na co od początku partii pracował. Klug nie wahał się ani chwili. Zwiertżywszy szansę na odwrócenie losów partii, postanowił wykorzystać słabość przeciwnika. Momentalnie z defensywy przeszedł do ataku. Rozbity psychicznie Winawer zaczął mylić się teraz raz za razem i w czterdziestym ruchu poddał tę najeżoną błędami i w gruncie rzeczy dość brzydką partię. Miesiąc po zakończeniu turnieju we francuskim periodyku „L'échiquier” ukazała się dogłębna analiza potyczki Kluga z Winawerem, gdzie młody, dobrze zapowiadający się hiszpański szachista Raul Raiz wykazał, że przy dwudziestym ósmym posunięciu Winawer przeoczył szansę na mata w pięciu ruchach.

Turniej w Bayonne Klug zakończył z dorobkiem dwudziestu trzech punktów w dwudziestu pięciu partiach. Dwie przegrane partie (z Zuckertortem, Minchinem) były ostatnimi, jakie zagrał w zawodach, będąc już pewnym zwycięstwa w całych rozgrywkach. Na finiszu drugi Blackburne tracił do zwycięzcy aż trzy punkty, natomiast zajmujący ostatnie miejsce na podium Zuckertort miał od Kluga mniej o cztery oczka. Był to największy sukces w jego dotychczasowej karierze. Prasa nie mogła nachwalić się „niespotykanej śmiałości”, „zimnej perfekcji” i „niebywalej wszechstronności” jego gry. Nagrodę główną (cztery i pół tysiąca franków) i złoty medal z wygrawerowanym na awersie koniem szachowym wręczył Klugowi Wilhelm Steinitz. Wygłosił przy tym okolicznościowe przemówienie chwalcące styl gry zwycięzcy za – jak się wyraził – „mistrzowską perfekcję posunięć w obronie i błyskotliwą intuicję w ataku”. Podobno podczas odbywającego się w ratuszu szampańskiego bankietu, który z istic królewską pompą kończył turniej w Bayonne, Klug między jednym a drugim wznoszonym na jego cześć toastem zagadnął pochmurnego, stroniącego od alkoholu Steinitza o ich ewentualny pojedynek.

– Cierpliwości, synu, cierpliwości. Na wszystko przyjdzie czas – miał mu odpowiedzieć Steinitz, co w środowisku szachistów uznano za godną pożałowania rejteradę. Jakiś czas później nie omieszkał mu tego wypomnieć Zuckertort, który w prowadzonej przez siebie gazecie „Chess Monthly” zasugerował, że Wilhelm Steinitz już od wielu lat trzyma się z dala od niebezpiecznych ścieżek i teraz w sposób niegodny arcymistrza uchyla się przed ich wspólnym pojedykiem, tak jak niegdyś za wszelką cenę starał się uniknąć konfrontacji z Jakubem Klugiem.

2. W Rabbasku

Kilka miesięcy po turnieju w Bayonne Jakub Klug wraz ze swoim przyjacielem Wilhelmem Stieblitzem wyjechał do Sudanu – w drugą ekspedycję, której celem było odnalezienie zaginionego miasta Rabbask. Pierwsza, jak już wspominałem, okazała się zupełną klapą. W okolicach miejscowości Zula (Erytrea) kilkunastoosobowa grupa archeologów pod wodzą Stieblitza przez trzy miesiące bezowocnie dłubała łopatami. Poza jednym glinianym garnkiem i srebrnym widelcem z inicjałami KB nie udało im się nic więcej odkopać. Ponadto podczas drogi powrotnej do Europy aż sześciu członków ekspedycji zachorowało na febrę i wkrótce zmarło. Sam Stieblitz po przybyciu do Berlina stał się przedmiotem niewybrednych żartów ze strony kolegów po fachu. W gazetach porównywano jego wyprawę do takich historycznych, lecz ze względu na swoją nieistotność już dawno zapomnianych klap, jak podjęta przez Helmuta Homlla i zakończona bolesnym upadkiem próba przelecenia Sprewy w przypominającej ważkę, napędzanej siłą mięśni maszynie (rok 1855) czy jakże brawurowa, acz niezbyt rozsądna penetracja dna Bałtyku, której wiosną 1864 roku podjął się ten sam Homell. W skonstruowanym przez siebie stroju do nurkowania, który możemy dziś podziwiać w hamburskim Muzeum Techniki i Technokracji, ten pochodzący z Kilonii śmiałek, Bogu ducha winna ofiara rewolucji przemysłowej, wskoczył bodajże o godzinie szóstej rano pięć kilometrów na północ od Rostoku do nieprzyjaźnie chłodnego Bałtyku. Planował przespacerować się po dnie morza i równo w południe wynurzyć się na plaży, gdzie mieli oczekiwać go, jak sądził, dziennikarze i kibicujący mu tłum gapiów. Nie muszę chyba mówić, że się nie wynurzył. Zresztą na jego szczęście. Na plaży bowiem oprócz żony Anny i dwójki jego nastoletnich pociech, Helmuta juniora i Eriki, nikt go nie oczekiwał. Dopiero dwa lata później zapuszkowany w blaszanym kombinezonie szkielet Homlla morze wypłuło niedaleko Kłajpedy.

Ale dość dygresji. Wracajmy do Stieblitza. Żadne przytyki archeologów ani niewybredne żarty gazetowych gryzipiórków nie zachwiały w nim przekonania, że miasto Rabbask, brzask jego i zmierzch, nie było tylko wytworem niespokojnej wyobraźni Faradosa, ale istniało naprawdę (czymkolwiek to prawdziwe istnienie miałoby być) i odnaleźć je można na podstawie danych z poematu *Rabbask* i znajdującego się w kościele Santa Maria Boschiva fresku Il Gufa zatytułowanego *Świt nad miastem Rabbask*,

który swego czasu z takim oddaniem podziwiał ze swoim przyjacielem Jakubem Klugiem. Ta wznosząca się na dwóch w gruncie rzeczy niezbyt stabilnych filarach teoria nigdy nie przestała być jego *idée fixe*. Dlatego po powrocie z nieudanej ekspedycji, którą co bardziej wyrywni profesorowie archeologii z Lipska i Kolonii nazywali archeologiczną wpadką stulecia, Stieblitz przez ponad rok zastanawiał się, gdzie popełnił błąd, co zrobił nie tak. Aż pewnego dnia, gdy w celu odpędzenia natrętnych myśli udał się wczesnym popołudniem do jednej z pachnących imbirem kawiarni Charlottenburga, los pod postacią ponurego studenta filologii klasycznej z kruczą szczeciną na okrągłej brodzie zostawił na stoliku obok sfatygowane pismo, w którym jeden z artykułów był nieudolną próbą rekonstrukcji życia Hipparcha. Nie będę tutaj zagłębiał się w formalne zawłości, którymi posługuje się przypadek, i powiem tylko, że znużony długim czekaniem na turecką kawę i słodkie ciastko z kremem Wilhelm Stieblitz otworzył (jakże nonszalancko) naukowy periodyk właśnie na tym kilkustronicowym *résumé* życia astronoma, a tam po trzech wersach pobieżnej kawiarnianej lektury natrafił na termin „precesja”, i jakby doznał olśnienia.

Wszystko było już jasne. A więc tu tkwił błąd. Nieszczęsnego 18 lipca (w dniu, który na podstawie fresku pomogli mu wyznaczyć zaprzyjaźnieni berlińscy astrofizycy) słońce (karminowe, grubym pędzlem malowane) w sposób, w jaki przedstawił to Il Gufo, wschodziło za czasów Stieblitza, a nie dwa tysiące lat wcześniej. A przecież za sprawą oddziaływania grawitacyjnego Słońca i Księżyca oś Ziemi nie jest niezmienna. Nie zachowuje stałego położenia w przestrzeni. Kreśli na niebie okrąg, zmieniając tym samym pozornie jego widok. Ale dość! Nie będę wdawał się głębiej w astrofizyczne zagadnienia (z których zresztą niewiele rozumiem) i powiem tylko, że za czasów Faradosa słońce – tak jak przedstawił to Il Gufo – nie wschodziło wcale 18 lipca, tylko kiedy indziej (jeśli się nie mylę: wcześniej), a co za tym idzie – miejsce poszukiwania miasta Rabbask zostało również źle wyznaczone. Znajdowało się bowiem znacznie bardziej na północ. Gdzieś na wysokości dwudziestego pierwszego południka. Stieblitz, co więcej, postanowił nie kopać w okolicach Morza Czerwonego (uznał wszakże, że w poemacie Faradosa jest za mało wzmianek o bliskim sąsiedztwie tak dużego akwenu wodnego, nie było również słowa o porcie, który przecież w takim wypadku na pewno znajdowałby się w Rabbasku), ale przy brzegach Nilu. Doszedł do wniosku, że wers „wody błękitnej głębiny krwawe” mówi w istocie o tej najdłuższej afrykańskiej rzece, a nie, jak

wcześniej mniemał, o dzielącym dwa kontynenty, przypominającym skorka morzu (zapewne zmyliło Stieblitza określenie „krwawe”, które jest skutkiem zbyt dosłownego tłumaczenia). Przewidywał tym razem miasto Rabbask zlokalizował w miejscu, gdzie współcześnie zaczyna się kiszka Jeziora Namera. Otoczone Pustynią Nubijską czekało, jak mniemał, na odkrycie.

3. Żuk

Drugą wyprawę w poszukiwaniu mitycznej metropolii sfinansował niezawodny i zawsze wypłacalny, skrzący się złotem Joachim Bretzdegger z pieniędzy, które przywiózł ze Stanów Zjednoczonych. Jak zdobył te pieniądze, kto był darczyńcą i jaki istotnie miał w tym interes, by powierzyć je stojącemu na czele Skarabeusza szarlatanowi – nie wiem. Zresztą nie leży to w obrębie zainteresowania tej niepozornej biografii. Już dawno temu pogodziłem się z tym, że są rzeczy, które nie tyle nie śniły się naszym filozofom, ile – co bardziej interesujące – nawet naszym księgowym i skrybom. Zresztą ochoczość, z jaką Bretzdegger finansował awanturnicze wyprawy swojego przyjaciela na Czarny Ląd, także nie może zostać logicznie wytłumaczona i musi pozostać w mglistej sferze spekulacji i błędnych bądź celnych (kto wie?) domniemań. Poprzestańmy jedynie na tym, że całkiem okrągła sumka powędrowała z kieszeni Bretzdeggera do kieszeni Stieblitza i pozwoliła temu ostatniemu wyruszyć na północ Sudanu, by tam, nad brzegiem Nilu, cuchnącym i nieprzyjaznym, w kłującym drobinkami piasku wietrze znad pustyni szukać swojego Rabbasku, swojego przeznaczenia.

Nie można wykluczyć, że wszystko, co się dzieje, dzieje się po coś, i że cała ta ekspedycja, te długie, suche dni i rozgorączkowane noce, spędzone wpraw na chybotającym się na morzu parowcu, który wieńczył czarny pióropusz dymu, a potem w targanych przez wiatr namiotach, leniwe i puste godziny spędzone na grzbiecie wielbłądów, niepotrzebne kłótnie i bijatyki, jak i równie niepotrzebne śmierci kolejnych uczestników wyprawy, że wszystko to zdarzyło się tylko po to, by pewnego poranka, gdy słońce przeglądało się w każdym ziarenku piasku, a na bezbrzeżnym horyzoncie gorące powietrze pulsowało w zetknięciu ze zmarzniętym po nocy gruntem, Kubaklug, emir niepodległych szachowych przestrzeni, odnalazł spacerującego na swoich czterech mechanicznych nóżkach (wśród niedbale rzuconych łopat, kilofów, dłut, wiader, roboczych ubrań), wśród konturów wynurzających się z podziemi ruin Rabbasku, czterocentymetrowego czarno-złotawego żuka (znanego dziś pod łacińską nazwą *Carabus klugi*), tak podobnego, jak mówiła mi pani Matyllda (Panie, świeć nad jej duszą!), do skarabeuszy z rodziny *Caput homini*. Tego naprawdę wykluczyć nie można! Przyznam się, że kilka lat temu widziałem tego poetyckiego nietola w Muzeum Historii Naturalnej w Berlinie. Istotnie cudowne,

nieprzypadkowe stworzonko. Leżał w małej, przypominającej trumnę gablotce. Jakby maska pośmiertna Jakuba Kluga.

4. Szkarłatny Londyn

W 1880 roku Jakub Klug przeprowadził się do Londynu. Od powrotu ze Stanów Zjednoczonych nosił się z zamiarem opuszczenia Berlina. Niemniej na ten wywracający do góry nogami dotychczasowe życie, dotychczasową taktykę ruch zdecydował się dopiero dwa lata później, kilka miesięcy po zwycięstwie w turnieju w Baden-Baden (1879), gdzie oprócz dwudziestu rund z przeciwnikami z Europy i Stanów Zjednoczonych rozegrał także za pomocą telegrafu pokazową – wygraną – partię z Wilhelmem Steinitzem, którą gazety i czasopisma szumnie nazwały „starciem tytanów”, a która w istocie była błahą potyczką dwóch znudzonych arcymistrzów, jakże nieciekawym pokazem asekurancja. Partia ta jest warta odnotowania z tego tylko powodu, że była jedną z dwóch, jakie rozegrali ze sobą ci dwaj szachiści. Następna miała miejsce na turnieju w Paryżu w 1884 roku i gładko wygrał ją Steinitz. Na obronę Kluga możemy powiedzieć, że była to ostatnia runda paryskich zawodów i gdy nasz bohater siadał do stolika, to miał już zapewnione pierwsze miejsce w klasyfikacji generalnej, toteż być może do gry specjalnie się nie przykładał.

Pierwsze miesiące po przeprowadzce spędził, grając pokazówki w klubach, knajpach i pałacach oraz bankietując. Podobno – tak przynajmniej utrzymuje autorka *Szkarłatu* Josephine Fine – Klug znów zaczął romansować ze Szkarłatną Scarlett, która od kilku lat była szanowaną żoną lorda Brentforda i właścicielką rewiewego teatru Jaspis. Oczywiście są to tylko plotki, bulwarowe wymioty, cuchnące ściekiem sensacje (tak ubóstwiane przez pannę Fine), ale wolno nam przypuszczać, że lord Brentford, z którym Klug w każdą pierwszą środę miesiąca rozgrywał okraszoną whisky i cygarami partyjkę szachów, niestrudzony eksplorator dalekich lądów afrykańskiej Republiki Onanii, miłośnik gibkiego ciała Zulusów i ich czarnych oczu, nie miałby nic przeciwko temu, by jego żona (przyodziana w taftę, upudrowana, uśmiechnięta fasada dla jego pedalskich ekscesów) zabawiała się z tym „przeuroczym arlekinem”, jak go nazywał. „Nie ma wątpliwości – pisze w swoim dziełku Fine – że na początku lat osiemdziesiątych szkarłatny szkarłacik przychodził na premiery wystawianych w Jaspisie wodewili nie ze swoim mężem, który większość roku spędzał w Afryce, gdzie za dnia polował na lwy, nocą zaś na lwiatka, ale z tajemniczym jegomościem o szarych oczach, który siwiejące skronie próbował zakryć gęstą czarną pomadą. Nazywał się podobno Jack Jacob

Click, był awanturnikiem i pokerzystą, który w najpośledniejszych londyńskich spelunach maniakalnie oddawał się grze w tryktraka. Co w tym łajdaku (do tego Żydzie!) widział nasz koci szkarłacik, nie wiem – i co więcej: wiedzieć nie chcę!”. Tyle subtelna panna Fine.

5. Klug vs. „Blitz”

Już do końca życia Klug mieszkał w Londynie. Wyjeżdżał teraz tylko sporadycznie: na turnieje (do Ulm, Sztokholmu, Poznania, Rzymu, Dublinu, Paryża, Poczdamu). Grał na nich dobrze, czasem wybitnie, ale w jego grze, pozbawionej już agresji, wykalkulowanej, niejednokrotnie czuć było znużenie.

W 1883 roku, na zakończenie turnieju w Rzymie, ponownie zmierzył się z mechanicznym „Blitzem”. Przez kilka lat maszyna zdołała zyskać miano niepokonanej. Wygrała wszystkie turnieje w Stanach Zjednoczonych, dwukrotnie pokonała Laufenberga, spuściła także manto wielu wybitnym europejskim szachistom. Niemniej jednak nie była bezbłędna. Kilka z rozegranych przez nią partii dokładnie przeanalizowano w amerykańskich i brytyjskich pismach szachowych. Okazało się, że „Blitz” także bywa omylny. Maszyna często przeoczała najskuteczniejsze ruchy, dogodne pozycje, niekiedy nawet zdarzało się jej niepotrzebnie poświęcić figurę. Słowem, na kartce papieru wydawała się graczem dość przeciętnym, jak to się mówi: do ogrania. Jednak gdy przychodziło co do czego i najwybitniejsi arcymistrzowie siadali przy tajemniczym pudle z metalową szachownicą na wieku, jakby wszystkie ich atuty, umiejętności, spryt przestawały się liczyć i raz za razem byli obijani.

Klug wygrał turniej w Rzymie, nie przegrywając ani jednej partii. Uzyskał bezprecedensowy wynik dwudziestu punktów w dwudziestu rundach. I jako zwycięzca, „najlepszy szachista na świecie” (tym mianem ochrzciło go pismo „Il Scacco”), mógł zmierzyć się z niepokonanym dotychczas „Blitzem”. Anonsowany jako wielki pojedynek człowieka z maszyną, mecz odbył się na początku czerwca 1883 roku w palazzo Quallo i był zwieńczeniem kilkutygodniowych zmagania szachowych w stolicy Włoch. Gra miała toczyć się do pięciu zwycięstw. Partie remisowe uznawano za nierozegrane.

Pierwsze trzy partie wyraźnie wygrał „Blitz” i zanosilo się na to, że maszyna po raz kolejny łatwo upora się z człowiekiem. Jednak czwartą partię Klug postanowił rozegrać na innych zasadach niż dotychczasowe. Nie usiadł do szachownicy „Blitza”, zaszył się natomiast w małym pokoiku na zapleczu sali balowej, w której rozgrywany był mecz. Między jednym pomieszczeniem a drugim krążył teraz posłaniec noszący – wte i wewte – dobrą nowinę kolejnych posunięć. Publiczność była zgromadzona wokół

„Blitza”. Na jego srebrno-miedzianej szachownicy śledziła ten absurdalny pojedynek. Cała zaś procedura wyglądała mniej więcej tak: „Blitz” robił ruch. Zapisywano go na stojącej obok tablicy (wśród pomruków zachwyconej publiczności, a czasem też niewybrednych komentarzy). Następnie posłaniec w białych rękawiczkach szedł do pokoiku, gdzie zamknięty był Klug, i dyktował mu posunięcie maszyny. Tam, w towarzystwie dwóch świadków (pilnujących, by arcymistrz nie dokonywał na swojej szachownicy żadnych symulacji, słowem: nie oszukiwał) Klug myślał nad odpowiedzią. Gdy był już gotów, jeden ze świadków, bodajże książe Quallo – uroczy młody człowiek, który nad księżne przedkładał królowe – pukał w drzwi. Po chwili zjawiał się posłaniec. Książe wręczał mu w białej kopercie zapisany na liliowej papeterii ruch Kluga. Pod ciekawskimi spojrzeniami publiczności i niespokojnym baczeniem maharadży Dabinogyajinama posłaniec podchodził do „Blitza”, otwierał kopertę, robił ruch i zapisywał go na tablicy obok. Szepty, wątpliwości, oklaski.

W ten sposób czwartą partię Klug zremisował.

W piątej zagrał agresywniej. Zaczął od Partii Włoskiej wariantu Gioco Pianissimo, w środkowej zaś fazie gry zastosował kilka niestandardowych gambitowych zagrywek, na pozór chaotycznych, a w rzeczywistości bardzo przemyślanych – tak że bezbłędny „Blitz”, ta anonimowa hinduska zabawka, zaczął popełniać rażące nawet amatorów błędy i w rezultacie, po dwudziestu kilku posunięciach (niecałych dwóch godzinach gry), przegrał z kretesem swoją pierwszą partię. Odtąd nie był już niepokonany. „«Blitz» padł”; „«Blitz» na kolanach”; „«Blitz» nie blitzował” – takie tytuły pojawiły się następnego dnia na pierwszych stronach włoskich gazet. A gdy po błyskotliwym zwycięstwie Jakub Kubłaj Klug wyszedł ze swojej pustelni, by ukłonić się zgromadzonej w pałacu publiczności, przywitała go burza oklasków, która trwała z różnym natężeniem dobrych kilka minut.

W kolejnych partiach Klug nie dał już szans „Blitzowi”. Wygrał je nadspodziewanie gładko. Niestety nie dane mu było w pełni zatriumfować. Przy stanie cztery do trzech dla Kluga (przy jednym tylko remisie), w noc poprzedzającą dziewiątą, przypuszczalnie ostatnią partię meczu w marmurowo-mauretańskim pałacu Quallo, doszło do włamania. Dwóch niezidentyfikowanych mężczyzn (jeden ze świadków, bodajże pochodzący z Maremaremmy ogrodnik Marco, zarzekał się na matkę, Boga, pieniądze, że byli to smagli i wąsaci Hindusi) wybiło szybę w znajdującej się na tyłach budynku oranżerii i boczną klatką schodową dostało się do sali balowej,

gdzie w nieruchomej księżycowej poświacie spał nakryty granatową płachtą nieruchomy „Blitz”. Niepokojeni jedynie przez komary i ćmy, wynieśli maszynę z pałacu. I w akompaniamencie ujadania psów, które zagłuszały potężne szarpnięcia sirocco, rozpuścili się w ciemności gęsto zadrzewionego parku.

6. Ku końcowi

Jeżeli Jakub Klug gdziekolwiek i kiedykolwiek istniał, to nudne i smutne były jego ostatnie – londyńskie – lata życia. Naznaczyła je przenikliwa, zimna rozpacz, której nieodgadnionych źródeł daremnie szukać w psychologicie. Wkrótce przestały go cieszyć sportowe sukcesy – te małe zwycięskie bitwy w skazanej na porażkę wielkiej wojnie. Co z tego, że wygrał jeszcze kilka turniejów, że przed tragiczną śmiercią osiągnął niebywały jak na owe czasy ranking 2745 punktów, skoro wszystko dokoła wydawało mu się teraz takie bezsensowne, a jego biografia, ach! biografia! mogłaby posłużyć za scenariusz ckliwego wodewilu wystawianego w takiej podrzędnej tancbudzie jak Jaspis.

Czuł teraz oddech bezkresnych lodowatych przestrzeni rozciągających się ze wszystkich stron ponurej planszy jego życia. I choć niekiedy intuicyjnie przeczuwał, że czas nie jest linearny, a raczej przypomina jakiś dziwny, pączkujący organizm i każde zdarzenie wydarza się w nieskończoność, wyczerpując tym samym wszystkie niemożliwe możliwości istnienia (wszystkie warianty rozegrania partii), to w chwilach zwątpienia, w przygnębiających bezsennych godzinach dopadała go melancholia i głowę nawiedzała mu uporczywa myśl, że każda sekunda, każdy fakt, każda osoba, każda rozgrywka są absolutnie niepowtarzalne i że wszystko, co zaistniało, musi bezpowrotnie przeminąć, toteż właściwie już w chwili swoich narodzin jest unieważniane przez czas. Robiło mu się wtedy słabo. Niedobrze. Dni spędzał zamknięty w ciemnym pokoju, a jego rozpaczliwego smutku, który był w jakiś sposób pokrewny nieprzezwykłalnemu poczuciu zaprzepaszczenia darowanego przez ślepy traf życia („ach, być kimś innym, czymś innym – Abominem, kamieniem, drzewem, sroką”), nie potrafił zagłuszyć nawet szkarłatny aksamit szkarłatnych pocałunków uroczej Scarlett.

DODATEK I. *NOC I RARYTAS*

Być czymś. Czymś zupełnie innym. Być gdzie indziej. Wszędzie. Tylko nie tu.

Między ideą a spełnieniem wyziera blade światło możliwości. Potencjalne jest tylko Teraz. Teraz ustanawia przeszłość. Jakże błędne zdaje się przekonanie, że terażniejszość jest skutkiem przeszłości. Gdy jest dokładnie na odwrót. To, co wczoraj było tylko przypuszczeniem, dziś będzie prawdą albo fałszem.

Jakże okrutne bywa życie dla takich ludzi jak Jakub Klug. Jakże okrutne bywa życie dla złotych żuczków, co po piaskach ziemi toczą do przodu obły kamyczek swojej egzystencji. Ależ niesprawiedliwe bywają losy ludzi do szpiku sprawiedliwych.

Przede mną na biurku leży *Noc i rarytas*, wydana przed kilkoma miesiącami w niedużej oficynie wydawniczej Gemini (zresztą w tej samej, w której ukazał się nieoceniony, choć niedoceniony *Koc satyra*) fabularyzowana monografia stowarzyszenia Skarabeusz, autorstwa znawcy tematu, współpracownika niszowego miesięcznika „Inkaust” pana Reksa Arona. Od dłuższego czasu próbowałem skontaktować się z panem Aronem, który w wielu interesujących mnie kwestiach mógłby udzielić mi pomocnych wskazówek, naprowadzić na źródła, podsunąć tropy, ale ten, jak wynika ze zdjęcia na czwartej stronie okładki, elegancki jegomość, bliżej końca życia aniżeli jego początku, albo nie odbierał telefonu, albo gdy już podniósł słuchawkę i wymamrotał lękliwie „halo”, to słysząc mój głos, w try miga odkładał ją z powrotem na widełki. Dlatego też lektura doskonałej *Nocy i rarytasu* stała się dla mnie niejako erzacem nigdy nieodbytej rozmowy z jej autorem.

Wspaniałe opisy przyrody („Leśne runo jak zmierzwiony atlas kobiecej sukni”), które na zasadzie kontrastu Aron zderzył z kreślonymi fizjonomiami ludzkimi („oczy miał jak czarne paciorki, twarz kubistyczną, kubaturę twarzową”), są jedną z wielu zalet tej grubej na półtora cala książki. Nie będę ukrywał, że piszę to z zazdrością, moja mała biografia Jakuba Kluga, można powiedzieć nic nieznacząca errata do wielkiego, bogato udokumentowanego dzieła pana Reksa, wydaje się bowiem rzeczą nadzwyczaj błahą, o tyle istotną, o ile istotne mogą być kwiatony na niedosiężnej konstrukcji katedry.

Przewertowawszy indeks nazwisk, skonstatowałem jednak ku własnemu wielkiemu rozczarowaniu, że w *Nocy i rarytasie* nie ma słowa o Jakubie

Klugu. Na stronach 353, 354, 361–369 co prawda pojawia się jegomość o nazwisku Krugg („sprytna bestia, podobno kuzyn Bretzdeggera, niegdyś pionek, dzisiaj już królowa”), ale z pewnością nie jest to nasz szachista, w rozdziale ósmym zaś przemyka przez kilka kart tajemniczy Jacob Cluge, lecz on – jak dowiadujemy się z narracji – jest „francuskim dyplomata, znanym w kasynach całej Europy utracjuszem, saintsimonistą z krwią na rękach, miłośnikiem wista i wiwisekcji”. O naszym Kubłaj Klugu atoli ani słowa.

Czy jest to zabieg celowy, czy niedopatrzenie? Chciałem zapytać o to pana Reksa Arona podczas jego wieczoru autorskiego, który w lutym miał się odbyć w glauberskim zamku, gdzie na pierwszym piętrze jest centrum kultury (zaduch i nuda), na drugim zaś kulturystyki (klimatyzacja i techno). Niestety sroga tego roku zima (zerwane trakcje kolejowe, zamarznęte szyny, oblodzone drogi) przeszkodziła autorowi *Nocy i rarytasu* w dotarciu na miejsce promocji swojej książki. Zresztą, jak przypuszczam, zbyłby moje pytanie milczeniem bądź – jak to podobno ma w zwyczaju – nazwał je nieistotnym i odesłał do swoich poprzednich książek.

Ze wszystkich rozdziałów doskonałej *Nocy i rarytasu* najciekawsze wydają się dwa pierwsze, które są poniekąd preludium do właściwej części książki, choć szczerze mówiąc, już same w sobie stanowią osobne dziełka naukowo-literackie.

Poświęcone są one sekcje aurumistów i najrozmaitszym perypetiom jej członków. Wśród niezliczonych imion, nazwisk, przezwisk, wyzwisk, inicjałów i kordiałów odnaleźć można skromną postać genialnego malarza Sebastiana Alfiera da Talamone, zwanego Il Gufo.

Z lektury książki Arona dowiadujemy się, że już kilka miesięcy po tym, jak Il Gufo – po upadku spisku Pazzich – schronił się na dworze Sykstusa IV, został wyznaczony przez papieża do tajnej misji. Jej cel po dziś dzień pozostaje tajemnicą, ale można domniemywać, że chodziło o nawiązanie nieformalnych kontaktów z aurumistami, natenczas najbogatszą sektą w Europie, której majątek (notabene cały w rękach wielkiego mistrza Venegora) szacowano na dwieście tysięcy dukatów. Jak przypuszcza Aron, Il Gufo miał przedstawić Venegorowi ofertę papieża, wedle której Watykan miał wstrzymać się z potępieniem sekty i tolerować jej działalność w zamian za finansową zapomogę (w postaci jednorazowej daniny wysokości pięćdziesięciu tysięcy dukatów), którą Pius IV przeznaczyłby na opłacenie najsłynniejszego wówczas kondotiera Federica Montefeltro, „Polifema

z Urbino”, by wraz ze swoimi wojownikami stanął na czele papieskiej armii w wojnie z Medyceuszami. Natomiast resztę należących do aurumistów pieniędzy Venegor miał powierzyć antwerpskiej filii banku należącego do zaprzyjaźnionej z papieżem rodziny Brocabuonich, która po klęsce spisku Pazzich podobnie jak Il Gufo uciekła z Florencji do Rzymu. Sykstus miał również nadzieję, że dzięki dobrym kontaktom z sektą uda mu się ugrać coś, na czym w rzeczy samej najbardziej mu zależało, a mianowicie nakłonić flandryjskich kupców do importowania ałunu wyłącznie z papieskich kopalni. W ten sposób nie tylko podreperowałby stan papieskiego skarbcza, ale również znacząco zubożył swoich największych wrogów Medyceuszy, których lwia część dochodów pochodziła właśnie ze sprzedaży – między innymi na północ – cennego minerału.

„Kilka miesięcy trwała podróż Il Gufa do Antwerpii – pisze Aron. – Statek, którym płynął z Ostii do Genui, złupili sycylijscy piraci z wężami do ramion i warkoczami ozdobionymi muszlami. Załogę pojмали, jego zaś, papieskiego emisariusza, który od początku podróży cierpiał na wysoką gorączkę, wyrzucili na plażę między Orbetello a Castiglione. Wygłodzony i schorowany, dochodził do siebie w stojącym nad morzem, przypominającym basztę domostwie pewnej rybackiej rodziny – w malarycznej, pełnej komarów i much bagiennej okolicy, dwanaście kilometrów na zachód od Grosseto. Podczas sztormów, gdy szaroseledynowa woda, która z właściwym sobie lenistwem wdzierała się w głąb lądu, płosząc czaple i flamingi, i obmywała fundamenty starego domu, Il Gufo wychodził na wielogodzinne spacerory. Brodząc po kostki w błocie, spacerował z córką rybaka po dzikiej, wysłanej szczątkami okrętów plaży i – jak można przypuszczać – na ciemnym, wilgotnym piasku kreślił kijem jej ulotne wizerunki.

Il Gufo dotarł do Antwerpii dopiero w czerwcu 1479 roku. Jego przygody podczas podróży do Venegora (między innymi awantura ze zbójnikami w Alpach czy długa rozmowa w karczmie w Bergamo z pochodzącym z Aosty bratem Guidem Pupillą, oskarżonym w 1485 roku o herezję astronomem, który na setki lat przed Einsteinem udowodnił [na przykładzie słynnego eksperymentu z atłasową rękawiczką księżnej Chiaro] nie tylko, że czas i przestrzeń są względne, ale, co więcej, domyślił się także istnienia czegoś takiego jak ciemna – przez niego nazwana: szarą [*grigia*] – materia, „która – pisał – jak dno camera obscura jest tłem [*sfondo*] – w innym tłumaczeniu: ekranem [*schermo*] – na którym ukazują się – gdzie indziej:

wyświetlają się [*si proiettano*] – bez końca wszystkie zdarzenia [*fatti*]...”^[35]) zasługiwałyby na osobną książkę.

Jeszcze w połowie lipca 1479 Il Gufo kreśli list do Sykstusa, w którym pokrótce opisuje swoją podróż oraz pobyt w Antwerpii („o świcie przechadzam się z księgami w cieniu porozwieszanych wszędzie, suszących się w porannym słońcu splechci wielokolorowego sukna”), jak również zaręcza, że ich sprawy idą w jak najlepszym kierunku i z pewnością lada dzień wyruszy z dobrą nowiną do Rzymu.

Niemniej Alfiero Il Gufo da Talamone nigdy nie wrócił do Włoch. Został w Antwerpii i stał się jednym z najbliższych ludzi Venegora. „Oczywiście – pisze autor *Nocy i rarytasu* – aurumiści nie powierzyli swoich oszczędności Brocabuonim (wszak ufali tylko swoim skarbcom) ani nie zaczęli skupować ałunu z papieskich kopalni (być może dlatego, że król Neapolu, Ferrante I, złożył im znacznie korzystniejszą ofertę). Niemniej z sobie tylko znanych pobudek Venegor zdecydował się podarować Watykanowi na wojnę z Medyceuszami ową okrągłą sumkę pięćdziesięciu tysięcy dukatów. Wpłacono ją – jak uściśla Aron – w dwóch ratach w antwerpskiej filii banku Brocabuonich. Było to posunięcie niefrasobliwe i krótkowzroczne. Owszem, zdołało ono choć częściowo załagodzić gniew papieża i na jakiś czas zapewniło aurumistom względny spokój, ale w niedalekiej przyszłości miało się przyczynić do ich końca. Odtąd Venegor i jego sekta mieli potężnych przeciwników w osobach Medyceuszy. A gdy tylko Giovanni di Lorenzo de Medici został wybrany na papieża i przyjął imię Leona X, rozpoczął dintojrę przeciwko aurumistom, niegdysiejszym wrogom swojego ojca Lorenza, wśród których ostatnich dni dożywał twórca *Odpoczynku przy szachach*, Alfiero, zwany Sową”.

Wśród wielu legend dotyczących Il Gufa ta dotycząca jego śmierci jest najczęściej przywoływana. Podobno gdy do Antwerpii wkroczyły wojska papieskie, by raz na zawsze rozprawić się z będącymi solą w papieskim oku aurumistami, Il Gufo kończył właśnie swoje ostatnie – zaginione zresztą – dzieło, nad którym pracował przez dwadzieścia lat. Gdy żołnierze wpadli do niewielkiej klasztornej celi, będącej, odkąd przybył do Antwerpii, jego domem i pracownią, Il Gufo miał powiedzieć: „Panowie, wstrzymajcie się jeszcze chwilę, muszę postawić ostatnią kreskę na skrzydle tego oto żuka, który spaceruje po mojej szyi”. Zaskoczeni mężczyźni przystanęli na moment. Il Gufo pociągnął pędzlem i padł przebity zimną włócznią. A gdy mordercy rzucili okiem na obraz, podobno osłupieli. Przedstawiał on bowiem

dokładnie sytuację z celi. Na kamiennej podłodze leżało starcze ciało Il Gufa, spod którego wypływał bordowy jęzor krwi. Po szyi zabitego spacerował tęczyowy żuk, mieniący się we wpadającym przez okno porannym słońcu. Nieopodal, przy drzwiach, stało trzech uzbrojonych żołnierzy. W milczeniu przyglądali się rozpiętemu na ścianie płótnu, które, podobnie jak oryginał, powtarzało zaistniałe przed chwilą zdarzenie. I tak bez końca.

^[35] Korzystałem ze współczesnych tłumaczeń (z łaciny na włoski) pism Pupilla, które na początku lat osiemdziesiątych ukazały się w Rzymie w wydawnictwach Farfalla i Colosso.

7. Agabus

Och, gdybym ja wiedział, jak to skończyć?! Gdzie szukać pomocy? Do kogo się zwrócić?

W kieszeni miałem tom wierszy Charlesa Riska. Dostałem go w spadku od pana Rittera, który kilka tygodni wcześniej zmarł w swoim niedużym, skromnie urządzonym mieszkaniu na ulicy Pikowej (dawniej Mannheimstrasse) w nadrzecznej dzielnicy Graubergu przy rytualnej przedpołudniowej lekturze prasy. Cierpka krew napłynęła mu do mózgu przy drugim łyku kawy i eksplodowała wraz z pierwszymi promieniami słońca, które do znajdującej się na tyłach oficyny kuchni wdarły się koło jedenastej. Wpierw zadzwoniło mu w uszach, a potem ciepło, niebezpieczne ciepło wypełniło mu czaszkę, zasnuło oczy i sparaliżowało język, by w końcu – po kilku sekundach – wypchnąć go poza cudzysłów, którym jest życie. Niewątpliwie pan Ritter spodziewał się śmierci, choć z pewnością nigdy nie przypuszczał, że dopadnie go w tak prozaicznych okolicznościach. Wszyscy jednak oczekujemy zawsze czegoś więcej.

W sekretarzyku, wśród rachunków, notatek i kilku wyrwanych z gazet zadań szachowych, rodzina pana Rittera (o której istnieniu podczas wszystkich naszych spotkań nie wspomniał ani razu) odnalazła zwinięty w rulon testament. Mieszkanie, meble, kilka obrazów zapisał córkom, dwie srebrne zastawy i spore – o dziwo – oszczędności wnuczętom, stopy książek zaś, które zalegały w jego gabinecie, podarował swojemu kuzynowi, doktorowi mediewistyki na grauberskim uniwersytecie. Wyjątkiem był tylko wydany w 1978 roku tomik wierszy Charlesa Riska *Agabus* (tutaj idiotycznie przetłumaczony na *Halawnik*), który nieodżałowany pan Ritter, mój wielki przeciwnik, Botwinnik, sangwinik, znawca Obrony Berlińskiej w Partii Hiszpańskiej, zapisał mi w ostatnim punkcie testamentu.

8. St. James's Park

Siedziałem na ławeczce w St. James's Park w cieniu ponurej topoli i przyglądałem się biało brzuchej białorzytce, która skubała sobie piórka w zachmurzonej kałuży, tuż nieopodal trzech migających latarni. Od czasu do czasu otwierałem na przypadkowej stronie tomik Riska i czytałem jedną lub dwie linijki, zupełnie się na nich nie koncentrując. Nawet okropne tłumaczenie (w którym między innymi rym „Dreams/jeans” zamieniono na: „marzenia senne/sztruksy wiosenne” czy „litter/glitter” na „zasp/blask”) ani nieznośne aliteracje („absurdalnie abuliczny absztyfikant” albo „diagonalnie diamentowy *Dicentrachus*”) albo takie zwroty jak „skarabeuszowy Machabeusz”, „bałamutny bławatek”, „nałożnica małżoraczka” czy „gwiazdzista kościenica” – nie robiły na mnie większego wrażenia i pozostawiały mnie niewzruszonym w stanie dziwnego odrętwienia.

Kilka godzin wcześniej byłem na cmentarzu Brompton, gdzie – jak jeszcze przed śmiercią zdradził mi pan Ritter – został pochowany Jakub Klug. Dziwne, ale jego grób nigdy nie stał się miejscem pielgrzymek szachistów z całego świata. Jeszcze w 1920 roku litewski arcymistrz Rajmund Knightowt pisał w wydawanym w Rydze rosyjskim piśmie „Szachmatnyj Koń”, że mogła „niejakiego Jamesa Cluge’a (cóż za błaha pomyłka!), autora kilku błyskotliwych zadań, który na swoim koncie miał również niejedno wspaniałe zwycięstwo”, znajduje się w trzy czwarte drogi między kaplicą a stadionem Chelsea Londyn na Stamford Bridge. Kamień nagrobny podobno miał wyrytą inskrypcję:

**PAMIĘCI JAMESA CLUGE’A,
SZACHOWEGO MISTRZA
(1846–1886)**

„Napis jest czytelny – pisał Knightowt – niestety malachitowa płyta jakiś czas temu pękła wszerek i zapadła się w głąb ziemi, przypominając złamaną szachownicę”.



Niestety grobu nigdy nie odrestaurowano, o czym świadczy powyższa fotografia, na której domniemane miejsce spoczynku wielkiego Jakuba Kluga zaznaczyłem czterema kijkami.

Przypuszczam, że z czasem płyta zapadała się coraz głębiej i głębiej, aż w końcu znikła w fałdach gleby. Zapewne niebezpieczne zapadlisko zostało wkrótce przysypane przez pracowników cmentarza, którzy następnie kilka godzin uklepywali łopatami ziemię, by można było na niej posiać trawę. Tak znikł ostatni materialny ślad po Jakubie Klugu. Tak znikł Jakub Klug.

Co prawda księgi cmentarne podają, że J. Cluge został pochowany

w mogile zbiorowej, która znajdowała się z dala od głównej alei Brompton Cemetery, ale jest to zapewne zwykła pomyłka bądź przypadkowa zbieżność nazwisk.

9. – – –

Siedziałem na ławeczce w St. James's Park. Przysłonięta szarą woalką chmur karminowa żrenica słońca chowała się właśnie za budynkami Buckingham Palace. Błękitno-zielona ważka (być może *Anax imperator*), która wcześniej pijanie błędziła wśród liści niedalekiej akacji, usiadła teraz na oparciu mojej ławki, trzepocząc skrzydełkami. Żółty, przedwcześnie zmarły liść odpadł od gałęzi i z determinacją godną samobójcy zmierzał w stronę ziemi. Kilkanaście metrów dalej u wylotu alejki stał wysoki mężczyzna w makintoszu i beżowym kapeluszu z piórkiem. Co pewien czas zerkał w moją stronę. Wydawało mi się, że to wszystko już się kiedyś wydarzyło, że ten układ: trzy latarnie, liść zawieszony między gałęzią a wilgotną trawą, białorzytka kąpiąca się w kałuży, ważka, mężczyzna w makintoszu – powtórzył się. To musiało mieć jakieś znaczenie – myślałem. Ale teraz już naprawdę nie miało.

Dziesięć tysięcy metrów nade mną przeleciał boeing, zostawiając na niebie dwie żółte smugi. Stewardesy właśnie rozdawały posiłek. Kilkuletni chłopiec przykleił nos do szyby i wypatrywał ludzi na ziemi. Gdzieś daleko przejechał motor. Na przedmieściach jakaś kobieta upuściła siatkę z zakupami i stłukła butelkę z oliwą. W szpitalu w Berlinie urodził się Thomas König. Ważył trzy kilogramy i sześćset pięć gramów. Miał pięćdziesiąt pięć centymetrów długości. Nad jedną z alpejskich polan, którą przecina granatowa rzeka, mający przed sobą zaledwie kilka godzin życia bielinek kapustnik przysiadł na złotawym jaskrze. W Ligurii rybacy wypłynęli w morze.

– 2010 –
Londyn

KONIEC CZĘŚCI PIĄTEJ I OSTATNIEJ

COU-COU

1. Życie

Cou-cou, właśc. Rachela Knecht (ur. 16 kwietnia 1899 w Tomaszowie Mazowieckim, zm. 9 maja 1939 w Nowym Jorku) – amerykańska aktorka żydowskiego pochodzenia.

Zaczynała jako gwiazda warszawskich wodewili. W 1920 roku przeprowadziła się do Paryża ze swoim ówczesnym kochankiem, baronem Ludwikiem Predethières, bliskim przyjacielem marszałka Focha. Występowała w teatrach na Montmartrze i w Dzielnicy Łacińskiej. Pierwszym filmem, w którym wystąpiła, był *Pan Jérôme* (reż. Paula Douai), francusko-hiszpańska koprodukcja obliczona na sukces finansowy. Następnie wcieliła się w rolę niewidomej Emmy w *Oldenburskiej opowieści* (reż. Clark Gilty), za którą została uhonorowana nagrodą miesięcznika „Cinema”. W 1925 przeprowadziła się do Nowego Jorku. Po kilku nieznaczących rolach drugoplanowych wystąpiła w *Niebieskiej lamówce* i w *Smutku panny J.*, kontrowersyjnej biografii znanej pisarki Jane Austen. Szybko stała się ulubienicą krytyków i publiczności. „Piękna i naturalna” – pisał o niej Orson Greg w recenzji z filmu Ariela Agadoux *Czteropalczasty Metys*. Była to historia człowieka nazwiskiem Varennes de la Verandrye, który w 1731 roku wraz z rodziną i blisko sześćdziesięcioosobową grupą śmiazków przedostał się przez lasy Ontario i założył francuską osadę nad Rivière Rouge. Następnie wystąpiła w takich przebojach kinowych, jak *Srebrna eskadra*, *Czas Czejenów*, *Moodsy* i *Karnawał*.

W 1934 roku Cou-cou wróciła do Europy, żeby zagrać we francuskim dramacie *La Femme Incomprise* reżyserowanym przez samego Pierre’a Montanta. Była to oparta na faktach kameralna opowieść o pisarce Lucienne de Terne (1865–1922), która w dzieciństwie była wykorzystywana seksualnie przez swojego ojca barona de Terne, w dorosłym życiu zaś dręczona przez męża, zawziętego antydreyfusistę księcia Ludovica de Pignarta. Film był o tyle nowatorski, że z jednej strony polemizował z wyidealizowaną wizją Belle Époque, z drugiej zaś w sposób na wskroś nowoczesny skupiał się na emocjach bohaterów. Było to doskonale przeprowadzone studium psychiki uzależnionej od mężczyzny-oprawcy kobiety-ofiary, która za wszelką cenę – wbrew wszystkiemu i wszystkim – próbuje wyrwać się z matni paternalistycznego świata. Ostatnia scena, w której widzimy, jak grana przez Cou-cou Lucienne de Terne biegnie plażą ile sił w nogach, ciągle oglądając się za siebie (nie wiemy, przed kim ucieka),

aż w końcu przypadkowo wpada w ramiona obłęsnego, wielkiego jak drzewo, szczerbatego marynarza-troglodyty, była odbierana jako manifest wszystkich francuskich kobiet, którym aż do 1944 roku przyszło czekać na prawa wyborcze.

Jednak filmem, który ugruntował sławę Cou-cou i przyniósł jej nominację do Oscara za drugoplanową rolę kobiecą (wtedy, w 1936, po raz pierwszy przyznawano statuetkę w tej kategorii), był western *Dead Man's Hand* w reżyserii Johna Forda, epicka opowieść o życiu słynnego Dzikiego Billa Hickoka (w tej roli Clark Gable), najprawdopodobniej najdoskonalszego rewolwerowca ze wszystkich, którzy po wojnie secesyjnej włączyli się w poszukiwaniu przygód i złota po tzw. Starym Zachodzie, szybszego od Buffalo Billa Codye'go, Toma Horne'a, Bena Wade'a, Texas Jacka Omohundro, California Joe, braci Earp, a nawet Doca Hallowaya, wielkiego blagiera.

W *Dead Man's Hand* Cou-cou w koncertowy sposób wcieliła się w rolę Calamity Jane, kobiety-rewolwerowca, którą Hickok poznał podczas podróży z Cheyenne do Deadwood.

Sława miała jednak swój ciężar, z którym, jak się zdaje, Cou-cou nie potrafiła sobie poradzić. Życie prowadziła cały czas nieustatkowane – „od księcia Lamparta do bodyguarda” – a jej miłosne przygody, z pikantnymi szczegółami przytaczane przez zdradzonych kochanków w salonach i na kartach obraźliwych biografii (w tamtym czasie powstało ich blisko tuzin), obok wojny w Hiszpanii i Jesse Owensa były głównym tematem niewybrednych rozmów na wytwornych bankietach w Paryżu i Nowym Jorku. Gazety, które wprawdzie wnosyły ją pod niebiosa („Cou-cou, gwiazdo północy!”), za chwilę zwęszyły w niej ofiarę i bez ogródek zaczęły pisać o jej domniemanej nimfomanii i legionie chłopców „najróżniejszej maści i gabarytów (sic!)”, których wynajmowała do zaspokajania własnych niezaspokajalnych żądz.

Nie wiem, czy pochodząca z Tomaszowa Mazowieckiego Cou-cou była nimfomanką. Zresztą mówienie o tym jest, moim zdaniem, *mauvais genre*. Jedno natomiast nie ulega wątpliwości: Cou-cou, tę piękną, tę ukochaną, tę jedyną Cou-cou, brązowooką, bladą, świetlną Cou-cou, uwielbianą przez tłumy Cou-cou, Cou-cou-cou-cou-cou-cou-coouuu! – pokonała jej własna, wyśniona kiedyś w warszawskim fotoplastykonie sława. Sława, która nieoczekiwanie spadła na nią jak dar, jak kwiat, jak obietnica lepszego jutra, i oszołomiła. Cou-cou zniszczyła popularność. Zbyt łatwa i bezrefleksyjna,

zabójcza i ciemna. Przez całe życie samotna, zdana na siebie, Cou-cou nie potrafiła uporać się z otaczającym ją światem. Ze strzałami lamp błyskowych, bankietami do białego rana, zbyt pewnymi siebie mężczyznami. Jej miłostki – szybkie i nieważne – o których rozpisywały się gazety, były, jak się zdaje, ekwiwalentem czegoś bardzo dawno temu utraconego.

Była uzależniona od morfiny i być może także od opium. Na planie ostatniego filmu, który nie tylko miał potwierdzić jej status gwiazdy i przynieść Oscara, ale również przejść do historii jako największe widowisko w dziejach kina, a ją samą pchnąć w nieśmiertelność, na planie doskonale się zapowiadającego, a jednak kompletnie zepsutego przez Cecila Blount de Mille'a historycznego fresku o malarce Artemisii Gentileschi pt. *Judyta*, gdzie zagrała główną tytułową rolę, aż czterokrotnie musiano ją reanimować z powodu przedawkowania. Podczas zdjęć sprawiała gigantyczne kłopoty swoimi niekontrolowanymi reakcjami, gwiazdorskimi zachciankami, zmianami nastrojów, awanturami, wreszcie romansami („przespała się z całą ekipą, tylko nie ze mną!” – wspominał po latach jej filmowy partner John Johnny O'Connor, aktor niezbyt wiarygodnie wcielający się w rolę Agostina Tassiego, nauczyciela malarstwa, do którego Artemisia jako nastolatka została oddana na naukę, a który przy pierwszej lepszej okazji ją zgwałcił).

Była skłócona z reżyserem i producentami. Nikomu prócz operatora nie pozwalała zwracać sobie uwagi. „To cud, że ten film w ogóle został ukończony” – zwierzał się po premierze, na której zresztą zabrakło Cou-cou, Blount de Mille.

Judyta była ostatnim filmem Cou-cou. I szczerze mówiąc, tylko dzięki jej tytułowej roli to dziełko się jeszcze jakoś broni. Film warto obejrzeć wyłącznie dla kulminacyjnej sceny („brutalnej, naturalistycznej, skrzęcej się od czerwieni”), w której Artemisia, malując obraz *Judyta i Holofernes*, wyobraża sobie siebie, drobną, niezwykle pociągającą kobietę, jako silną i bezwzględną Judytę, a brodatego Holofernesa utożsamia z Agostinem Tassim. Moment, w którym Cou-cou (szał w oczach, siła w rękach) morduje śpiącego Johna O'Connora, jest najmocniejszym punktem filmu i w wielu podręcznikach dla młodych, ambitnych, pragnących podbić świat filmowców po dziś dzień przywoływany jest jako przykład jednej z najlepszych w historii kina sekwencji pokazujących morderstwo.

Niespełna trzy tygodnie po ostatnim klapsie *Judyty*, w duszny wiosenny nowojorski wieczór policjanci z trzeciego posterunku na Manhattanie znaleźli

martwą Cou-cou w pojemniku na śmieci przy Central Parku. Była naga. Miała wydłubane oczy, poderżnięte gardło, wycięte wnętrzności. Obok leżała zdarta z niej pokrwawiona sukienka w kolorze lila i czerwone pantofelki. Sekcja wykazała, że zmarła na skutek silnego uderzenia stalowym prętem w potylicę.

2. Film

Film zaczyna się w miasteczku Homer w stanie Illinois sceną narodzin Jamesa Buttlera Hickoka (27 maja 1837 roku), późniejszego partyzanta, unionisty, kuriera, zwiadowcy, szeryfa, w końcu zawodowego szulera i awanturnika. Przy łóżku, obok pastora i lekarza, stoi dumny ojciec William Alonzo Hickok i ściska w dłoni złoty zegarek na miedzianej dewizce. Nagle cebula wypada mu z ręki i upada na drewnianą brudną podłogę. Gdy mężczyzna schyla się po zegarek, z rękawa marynarki wylatuje mu nagle pięć kart: dwie ósemki (trefl i pik), dwa asy (również w tych kolorach) oraz dama karo, a na ekranie pojawia się napis:

„Dead Man’s Hand”

Film jest hołdem złożonym tej niezwyklej postaci, jaką był „Dziki Bill” Hickok. I choć akcja obejmuje ostatnie tygodnie jego życia (ponad połowa taśmy została zużyta na pokazanie wyczerpującej, ponaddwutygodniowej podróży Hickoka z miasta Cheyenne, gdzie pozostawił żonę Agnes Lake Thatcher, do Deadwood w Dakocie Południowej), to dzięki retrospekcjom widz ma wgląd również w dzieciństwo i młodość legendarnego bohatera.

I tak zaraz po napisach pojawia się tablica z datą 12 lipca 1861. Grany przez Darkable’a Hickok jest stajennym w należącej do firmy przewozowej Russell, Waddell and Majors stacji w Rock Creek w stanie Nebraska. Wieczorem pod drewniany budynek, w którym Dziki Bill czyści akurat colta, podjeżdża niejaki David McCanles (dawny właściciel stacji) oraz jego bezimienny jednooki kompan (w rzeczywistości McCanles podjechał ze swoimi dwoma pracownikami i dwunastoletnim synem). McCanles, który w całej okolicy znany jest jako niepatyczkujący się, łatwo sięgający po broń awanturnik, żąda zwrotu odkupionego budynku. Jest pijany. Gdy kierownik stacji Horace Wellman – w filmie poczciwy starszy facet z ropiejącą raną na czubku łysinki – radzi nieproszonemu gościowi, by – krótko mówiąc – zjeżdżał („Idź spać, głupcze!”), McCanles czerwony ze złości („Nie pouczaj mnie, dziadku!”) w mgnieniu oka chwyta za kaburę, w której lśni srebrny smith and wesson kaliber 44... i w tym samym momencie pada na ziemię z kulą w czole. Nie mija sekunda... kolejny strzał... i do martwego McCanlesa dołącza jego jednooki, teraz właściwie już bezoki kompan. Wellman ogląda się za siebie. W otwartym oknie siedzi Hickok. W prawej dłoni trzyma dymiącego colta model 1851 Navy, z rękojeścią z białej kości słoniowej.

Jak można przeczytać w znajdującym się na rewersie okładki DVD przydługim opisie, nad którym napocił się jakiś młody adept sztuki streszczania: „Główną osią filmu jest romans Dzikiego Billa z niebezpieczną Calamity Jane (Cou-cou), kobietą-rewolwerowcem, którą Hickok poznał podczas podróży z Cheyenne do Deadwood. To właśnie jej opowiada swoje przygody na Dzikim Zachodzie i wspomina krwawe czasy wojny secesyjnej, gdy był zwiadowcą (w filmie jest to kilka ujęć Billa skradającego się w lesie w futrzanej czapce i z nożem za pasem)”.

„Szybko zyskałem opinię fenomenalnego strzelca wyborowego – chwali się na jednym z wyciętych w postprodukcji ujęć Hickok, gdy koła wozu grzęzną w suchych piaskach prerii. – Dokładna liczba moich ofiar, kochanie, nie jest znana, ale według niektórych źródeł przekracza czterysta. W tym wielu oficerów!”.

„Hickok był też znakomitym szpiegiem. Niejednokrotnie ratował żołnierzom Unii skórę tajnymi informacjami zza linii wroga – na dołączonym do zestawu bonusowym DVD (archiwalne wywiady z twórcami, w tym z Cou-cou, dwa piętnastominutowe dokumenty o życiu Calamity Jane i o zmierzchu Dzikiego Zachodu, arcyciekawe materiały, które wypadły w montażu, w końcu anegdota z planu i Super Cowboy Quiz dla pasjonatów westernów) zdradza reżyser *Dead's Man Hand* John Ford. – Uczestniczył w przegranej bitwie nad Wilson's Creek, w której zginął generał Unii Nathaniel Lyon, pod sam koniec wojny zaś, o czym mało kto wie, brał udział w jednym z najkrwawszych jej epizodów: kampanii pod Wilderness. Zaprzyjaźnił się wtedy z postrzelonym generałem George'em Custerem „w moim filmie wcielił się w niego Sam Meskes – Sam, I love you, Man!”, który zginął w czerwcu 1876 roku pod Little Bighorn, podczas bitwy z dowodzonymi przez Szalonego Konia i Siedzącego Niedźwiedzia Dakotami”.

Po wojnie secesyjnej – jakaś dwudziesta piąta minuta filmu (wyretuszowana przez najlepszych fachowców od tego typu efektów) – blisko trzydziestoletni Hickok (już nosi swój charakterystyczny strój: czarny – *high definition* – żakiet z długimi połami, wyprasowane spodnie i rewolwery zatknięte za owiniętą wokół bioder czerwoną szarfę) szwenda się z miejsca na miejsce w poszukiwaniu przygód i łatwego zarobku. Nieznajomi przezywają go już Wild Billem i szepczą o jego niebywałym refleksie, sile i odwadze.

„Ford w sposób nadzwyczaj nowoczesny skraca kilkanaście lat Billa do

paru pojedynkowych sekwencji, w których Hickock celnymi strzałami kładzie na ziemi kolejnych przeciwników – pisał w «New Yorkerze» Leonard Fitzpatrick. – Najpiękniej zaś pokazany jest pojedynek z niejakim Davisem Tuttem, który odbył się na głównym placu w miasteczku Springfield. Jedni mówili, że poszło o złoty zegarek – ha, ha! – którego Tutt zażądał od Billa w zastaw karcianego długu, inni, ofiary losu i niesprawdzonych informacji, że pokłócili się o prostytutkę, jeszcze ktoś – to ci dopiero niespodzianka – że górę wzięła niechęć z czasów wojny secesyjnej, w której walczyli po przeciwnych stronach. Nieważne. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że o 6 p.m. Tutt, nim dobył rewolweru z zamszowej kabury, dostał posrebrzaną kulkę prosto w prawą komorę swojego nierówno bijącego serca i po chwili wyrznął twarzą w piasek. W lewej dłoni trzymał zegarek z miedzianą dewizką. Na oczach gapiów wyłuskał mu go z palców Hickok, dowcipnie puentując: «Szczęśliwi, którzy czasu nie mierzą!». Scena ta, moi drodzy czytelnicy, jest arcydziełem skrótów i sugestywności. Oby tak dalej, mister Ford!”.

W chwili, gdy przeciętnemu widzowi, szacownemu panu Iksigrek, który przed seanssem opił się zbyt dużo obfitych w glukozę napojów bąbelkowych, po raz pierwszy, ledwie wyczuwalnie zaczyna się chcieć szczać, nieszczający przez cały film Dzikie Bill właśnie opowiada Calamity o latach, gdy podczas walk z Indianami Dakota był niezastąpionym zwiadowcą w dowodzonym przez George’a Custer’a siódmym pułku kawalerii. Zresztą moim skromnym zdaniem jest to jedna z piękniejszych, wymowniejszych, wytworniejszych i najjaśniejszych scen w filmie, gdy przeorana życiem twarz blagiera Hickoka zmienia się w żyzną, zieleniejącą, oszałamiającą kotlinę u podnóża zaśnieżonych gór, gdzie dochodzi do krwawej potyczki z Indianami, podczas której Dzikie Bill – ten drań szczęśliwy – zostaje ranny w ramię, albo ramy w ramię, a jego ukochana klacz Black Nail traci brązowe, ropiejące od jakiegoś czasu oko.

Potem film traci trochę na tempie. Nie zmieniają tego nawet humomakabaryczne sceny z Buffalo Billem (w zabawny sposób obnażające aktorską niezbornosć Dzikiego Billa), w którego objazdowym przedstawieniu *Cody’s Combination* Hickok przez dwa lata występował za sowitą zapłatę trzydziestu baksów za dzień), bawiąc niewyszukaną rozrywką (polowania na bizona lub na Siuksa) znudzonych wielkomięjskim życiem mieszkańców wschodnich stanów.

Schematycznie ujęte pojedynki (z Billem Mulveyem i Samuelem

Strawhunem) w miasteczku Hays, gdzie Hickok jest szeryfem, widowiskowe, ale dłużące się mordobicia z Teksaszczykami czy niepotrzebnie deklaratywne rozmowy, jakie prowadzi Bill z kapelanem Smithem podczas pieszych wędrówek, mogą niecierpliwego widza – takiego szacownego pana Iksigrek – zniechęcić do dalszego oglądania. I dopiero ostatnie dwadzieścia minut filmu, tysiąc dwieście sekund wartkiej akcji, gdy w końcu konwój – wlokąc się, skamlając, pełzając i śpiewając – dojeżdża do Deadwood (do D-E-A-D-W-O-O-D), a Dziki Bill alias Biki Dżill razem z Calamity Immortality wynajmują pokój w hotelu (łóżko, obsiany drzazgami stolik, dziurawy fotel) i kochają się przez całą noc, dzień, noc i jeszcze dzień – „Och, Bill...” – dopiero te ostatnie minuty, jedna dziesiąta filmu, gdy między innymi przeczuwający własny koniec rewolwerowiec opowiada ostrzyżonej na jeża kochance, jedynemu człowiekowi, który zapłacił po jego śmierci, o tym, jak w miasteczku Abilene, gdzie przez kilka miesięcy był szeryfem, zabił swojego przyjaciela, niejakiego Mike’a Williamsa – dopiero wtedy, w końcówce, film znów nabiera tempa.

„Było to podczas strzelaniny w saloonie Bulls Head Saloon – mówi Bill, podziwiając apetyczną linię bioder Calamity. – Starłem się uspokoić tłum awanturujących się Teksaszczyków, którzy świętowali zakończenie spędu bydła”.

W kadrze – tym dziwnym, nieokiełzanym prostokącie, przepustce do innych światów – widzimy szeryfa Hickoka, który przenikliwym wzrokiem mierzy zgraję pijanych kowbojów. Złota gwiazda lśni mu na piersi. Palce nerwowo przebierają w powietrzu nad białą rękojeścią colta. Za nim – za jego plecami, za jego sumieniem – stoi grany przez Bustera Unokia właściciel wyszynku: wyprostowany i wiecznie zadowolony z życia Phil Coe, który w chwili, gdy pewny siebie Hickok spluwa na podłogę i lewą ręką wsadza wykałaczkę w zęby, momentalnie wyciąga z szuflady czarną giwerę i strzela pomiędzy nogami Billa, krzycząc: „Tańcz, szeryfie!”. Dziki Bill bez chwili zastanowienia robi unik, obraca się i z dwóch niezawodnych navy łąduje po kulce w brzuch tłuściocha. Ludzie w saloonie stoją jak wmurowani. Drobinki kurzu wibrują w powietrzu. Bill trąca czubkiem buta leżące u jego stóp ścierwo imieniem Coe. Sprawdza, czy żyje. Słyszc jakież szmery. Szepty. Bill rozgląda się po twarzach Teksaszczyków, gotowy znów sięgnąć po broń. Napięcie rośnie. Muzyka intensywnieje. Dochodzą nowe instrumenty: fagot i altówka. Strużka potu leniwie spływa po skroni Hickoka. Mucha, jakby z innego świata, leniwie spaceruje po kontuarze w stronę strugi

światła rozbryzgującej się o szklanki whiskey. Słysząc tykanie wiszącego na ścianie zegara. I nagle – skąd to? jak to? dlaczego! – za plecami szeryfa wyrasta czarna postać wymachująca soplami. Hickok odwraca się na ugiętych kolanach, rzuca jedno spojrzenie, ale ostre światło z zewnątrz (operatorski majstersztyk!) ogłusza jego zmysły (Dziki Bill nie widzi! Dziki Bill ślepie! Dziki Bill ma jaskrę!). Nim orientuje się, kim jest stojący przed nim mężczyzna, strzela... Williams osuwa się na podłogę. Cięcie.

Wnętrze. Dzień. Dziki Bill Hickok kładzie ciało przyjaciela na stole bilardowym. Przykrywa je własnym surdudem. Płacze. Ludzie powoli wychodzą z saloonu.

Pięć lat później.

„Wiesz, dziecinko, mam takie uczucie, że śmierć depcze mi po piętach. Chodzi za mną, zaleca się” – mówi Dziki Bill do Calamity, wkładając spodnie. Cou-cou leży w łóżku w gorsecie i podwiązkach. Pali papierosa. „Daj spokój, Bill, ciebie nie da się zabić” – odpowiada.

Drugiego sierpnia 1876 roku. Wnętrze saloonu Nuttall and Mann's No. 10. Ślepnący Wild Bill dosiada się do stolika w głębi lokalu, przy którym trzech mężczyzn (przyjaciel Hickoka Charlie Rich, niejaki Carl Mann i kapitan statku parowego na Missouri William Massey) gra w dobieranego pokera. Hickok prosi siedzącego pod ścianą Charliego Richa, by ustąpił mu miejsca. „Wiesz, Charlie, że nigdy nie siadam tyłem do drzwi – mówi. – Boję się, że któryś z moich wrogów strzeli mi w plecy”. Rich jednak odmawia: „Karta mi idzie, Bill. Nie mogę ci oddać szczęśliwego miejsca”. Hickok kiwa głową ze zrozumieniem, chwilę się waha – siadać czy nie siadać? – po czym zajmuje miejsce tyłem do drzwi i niepokieszony bierze się do rozdawania. Lecąca w tle muzyka z terkoczącej pianoli buduje napięcie. Mu-Zyka-Bu-Duje-Na-Pięcie. Do saloonu wolnym krokiem wchodzi młody mężczyzna, Jack McCall. Siedzący tyłem do wejścia Bill nawet go nie zauważa. Zaaferowany grą układa swoje karty (ósemkę pik do ósemki trefl, asa pik do asa trefl, damę karo będzie wymieniał), gdy McCall zwawym krokiem podchodzi do niego, wyjmując gnata i syczy: „To dla ciebie, Bill!”. Szybka przebitka na lewą dłoń Hickoka, która odruchowo chwytą za wyłożoną kością słoniową rękojeść colta. Strzał. Brudne palce zaciskają się na chwilę na pistolecie, po czym rozprostowują się bezwładnie. Przeznaczona dla Billa kula przechodzi przez skroń i wychodzi na wylot między górną i dolną szczęką, wybijając zęby trzonowe i rozrzucając po stole miazgę. Siedzi bład. Marmurowy. Martwy. Jakby spał. Po policzku aż do zadbanych

wąsów biegnie stróżka krwi. Na podłodze leżą rozrzucone karty. Cisza.
Cięcie. Widzimy Calamity wkładającą pończochy. Wyciemnienie.

3. Śledztwo

Bestialstwo tego morderstwa wstrząsnęło całą Ameryką. Pierwsze strony najważniejszych gazet na Wschodnim i Zachodnim Wybrzeżu były mu poświęcone. Przez kilka tygodni w przeżywającym swoją złotą erę radiu dominowały audycje analizujące ewentualne motywy zbrodni (w której przypadkowość nikt nie wierzył) oraz symbolikę zadanych ran. Wszystko przerywały wspomnienia o Cou-cou.

Policja aż do lat pięćdziesiątych prowadziła śledztwo, właściwie przez cały czas drepcząc w miejscu. Sprawa nigdy nie została zamknięta. Na różnych etapach dochodzenia przyjmowano najrozmaitsze hipotezy. Na początku uznano, że morderstwo popełnił zazdrosny kochanek Cou-cou. Aktorka trzymała bowiem w dłoni czerwono-żółtą różę francuską, nazywaną często *Rosa Mundi* (*Rosa gallica* var. *Versicolor*). Poza tym ubrana była elegancko, choć trochę wyzywająco, „jak na spotkanie z mężczyzną” – kwitowały gazety. Co więcej, jak ustalili śledczy, w dniu morderstwa zarezerwowała stolik dla dwóch osób w restauracji Four Seasons. Z kim miała się spotkać – nie wiadomo. Na tym etapie dochodzenia było pięciu podejrzanych (osobistości z pierwszych stron gazet: polityk, dziennikarz, bejsbolista, pałkarz New York Yankees, aktor i jeden niezbyt zabawny komik) – słowem: *crème de la crème* Manhattanu. Wszyscy prócz bejsbolisty Michaela Blooma mieli dobre alibi. Policjanci złapali więc trop.

Wkrótce okazało się jeszcze, że feralnego wieczoru widziano Blooma w pobliżu domu aktorki. Podobno był zdenerwowany. Przeciwno niemu świadczył również sposób, w jaki Cou-cou została zabita. Silne, zadane z dwóch rąk uderzenie stalowym prętem w głowę od razu nasunęło detektywom (w tym słynnemu szeryfowi Lockowi) skojarzenia z bejsbolem. Co więcej, w nowojorskim apartamencie pałkarza policjanci znaleźli kwitnące w wazonie cztery czerwono-żółte *Rosa Mundi*. „Ostatni Homerun” – tak „Inquirer” zatytułował artykuł poświęcony Bloomowi, gdy policyjne rewelacje wyciekły do mediów.

Wszystko to jednak były tylko poszlaki, którymi mogły żywić się brukowce, nie na tyle jednak silne, żeby posłać Blooma za kratki. Zwłaszcza że nie był wcześniej karany ani nawet notowany, i jak się wyraził prokurator, rezygnując z oskarżenia: „jego kartoteka mogłaby służyć za encyklopedyczny przykład prawości”. Trzy dni później w gazetach wydrukowano oświadczenie psychiatry badającego sportowca, który stwierdził, że jego

pacjent byłby niezdolny do popełnienia morderstwa („emocjonalnie jest on na poziomie skrzywdzonej w niemowlęcym wieku przez dziadka dwunastoletniej dziewczynki, której świadomość przypomina zielony, opierający się wiatrom owoc moreli”), jak również relację naocznego świadka (medialny *deus ex machina*), który podobno o godzinie 21.00 (czyli gdy zamordowano Cou-cou) widział Blooma, jak samotnie spaceruje po uliczkach Brooklyn Heights.

Tak więc policjanci chcąc nie chcąc musieli porzucić kuszącą hipotezę o zazdrosnym kochanku-bejsboliście i skoncentrować się na innych aspektach morderstwa Cou-cou, skierować śledztwo na zupełnie nowe tory. Przysłany z Chicago agent FBI Temistokles Oss wnioskuje – a podpowiedziała mu to jego dwudziestopięcioletnia praktyka – że czerwono-żółta róża w dłoni denatki nie była bynajmniej podarunkiem od kochanka, jak dotychczas twierdzono, lecz znakiem rozpoznawczym seryjnego mordercy, „prawdziwego degenerata”, który teraz namiętnie zajmie się wycinaniem organów nowojorskich kobiet. „Wobec czego – co zaznaczył swoim nieznoszącym sprzeciwu bezbarwnym głosem Temistokles Oss – w najbliższym czasie należy spodziewać się kolejnych równie makabrycznych zabójstw”.

Cała nowojorska policja (radiowozy, patrole, konie i stójkowi) została postawiona w stan gotowości. Jak w dobrym, trzymającym w napięciu kryminale próbowano przechytrzyć ewentualnego zbrodniarza, zastawiając na niego przemyślnie zasadzki, z reżyserskim zacięciem aranżując najróżniejsze sytuacje, które sprzyjałyby atakowi zboczeńca. Odtąd (czyli od czerwca 1939 roku) każdego wieczora w Central Parku – w okolicach Strawberry Fields i Sheep Meadow – przechadzała się kuso ubrana kobieta (tzw. przynęta) pod kuratelą i ku uciesze ukrytych w krzakach śliniących się policjantów.

Trwało to blisko miesiąc i nie przyniosło rezultatu. Żaden biegający ze skalpelem morderca nie pojawił się na West Drive w Central Parku. Owszem, kilku bezdomnych pijaczków i portorykańskich morfinistów handlujących pejotlem zaczęło zbyt odważnie ubraną blondynkę o wydatnym, podkreślonym metalowymi fiszbinami biuście, przechadzającą się w matowym świetle latarni, ale były to tylko niegroźne płotki, szumowiny i męty, jak w raporcie do centrali pisał Temistokles Oss, niewarte nawet aresztowania.

Po tym, jak pomysł z zasadzką okazał się kompletnym niewypałem,

dochodzenie w sprawie bestialskiego zabójstwa świetlnej Cou-cou weszło w trzecią i ostatnią fazę. Była to faza, którą streścić można krótkim stwierdzeniem, wypowiedzianym zresztą na komisariacie, podczas konferencji prasowej, przez samego Temistoklesa Ossa: „Morderstwo panny Coucou wymyka się wszelkim metodom dochodzeniowym, ze wszystkimi ich założeniami i sposobami działań. Reasumując: jesteście bezradni”.

Śledztwo toczyło się ze zmiennym szczęściem aż do 1951 roku, kiedy to zostało definitywnie zamknięte. Przez ten czas policjanci wpadli tylko na trzy tropy, z których żaden nie okazał się tym właściwym. W 1941 roku złapano w Nowym Jorku płatnego zabójcę rosyjskiego pochodzenia Iwana Stiepanowicza Karwowa, z powodu opadniętej prawej powieki nazywanego Iwanem Szpetne Oczko. W jego notesie (małej czerwonej książeczce z okładką ozdobioną brunatnym śladem po kubku) znaleziono nazwisko Rosenmund, a obok nabazgrane ołówkiem litery „BEE” oraz numer domu i apartamentu Cou-cou. Niestety nie zdołano przesłuchać Karwowa na tę okoliczność. Jeszcze w dniu aresztowania, czekając na przyjazd śledczych, powiesił się, albo, co bardziej prawdopodobne – został powieszony na skórzanym pasku w cuchnącej jak miejski szalet celi jednego z nowojorskich komisariatów. Samobójcza śmierć Karwowa jest o tyle zastanawiająca, że z całą pewnością nie był on cynglem, który załatwił Cou-cou. W dniu, gdy ją zabito, znajdował się bowiem kilka tysięcy kilometrów na zachód od Nowego Jorku, w więzieniu stanowym San Quentin w Kalifornii, gdzie odsiadywał siedem lat za usiłowanie morderstwa. Stąd ówczesna prasa zaczęła domniemywać, że Karwow został zabity na czyjeś zlecenie, „jakiegoś wysoko postawionego łajdaka, obawiającego się, że podczas przesłuchania cyngiel zacznie sypać”.

Rzeczywiście, samobójstwo Karwowa cuchnęło na odległość. Dlatego zaledwie w ciągu kilku dni skorumpowani szefowie policji pozwalniali równie skorumpowanych podwładnych, robiąc z nich kozły ofiarne i obarczając winą za śmierć aresztowanego. Następnie za wszelką cenę starali się przyciszyć sprawę. Jednakowoż media, jakby na złość, ciągle do niej wracały. Dziennikarze pisali o mafijno-koleżeńskich układach na szczytach władzy i biznesu. Pierwsze strony gazet, zamiast koncentrować się na toczącej się w Europie wojnie, opisywały bizantyjskie bankiety na najwyższych piętrach nowojorskich drapaczy chmur, na których bywali gangsterzy, politycy, przedsiębiorcy i gwiazdy filmowe, w tym również Cou-cou. W końcu jeden z brukowców opublikował gorszące zdjęcia, na których

widać, jak rozchełstana i zaćpana Cou-cou idzie pod rękę ze słynnym gangsterem, członkiem Cosa Nostry Tomem Cillioni, ze względu na swój niski wzrost zwanym Little Tomem.

Tym tropem podążył również uczciwy, czysty jak kropla wody, przykładowy, sprytny, elokwentny, kilka miesięcy wcześniej zwolniony z FBI z powodu psychicznego rozchwiania agent Temistokles Oss, który – jak przystało na prawdziwego psa gończego – nie zrażał się niepowodzeniami i wciąż poszukiwał zabójcy Cou-cou. Uznał w sposób arbitralny, że Szpetne Oczko nie tylko wiedział, kto zabił Cou-cou, który z cyngli przyłożył jej w głowę metalowym prętem, ale przede wszystkim orientował się, kto był tego zabójstwa zleceniodawcą, jaka gruba ryba wyłożyła grube pieniądze na zabicie niewinnej – czy aby na pewno niewinnej? – aktorki. W końcu nieprzejednany, szybkostrzelny Temistokles Oss uznał, że Cou-cou, której zdjęcie nosił teraz w portfelu, Cou-cou, którą pokochał od chwili, gdy zobaczył jej nagie blade ciało w kostnicy, Cou-cou, którą wielbił, przy której się onanizował, Cou-cou, zmarły obiekt jego erotycznej fascynacji, jego świat, jego obsesja, została zabita na zlecenie nowojorskiej mafii. Przeprowadził prywatne, szalone, poza wszelkimi procedurami śledztwo, w wyniku którego ustalił, że aktorka w 1934 roku pożyczyła od niejakiego Szczerbatego Francuza siedemdziesiąt tysięcy dolarów na budowę willi w Miami. Willę postawiła, ale pieniędzy – podobno – nigdy nie oddała. Jego zdaniem miało to świadczyć, że za zabójstwem aktorki stał ten bezwzględny i bezzębny gangster, którego matka – albo macocha, cholera wie... – była francuską szansonistką, koncertującą jeszcze przed pierwszą wojną światową w podejrzanych spelunach na Zachodnim Wybrzeżu. Nikt jednak nie dawał wiary jego rewelacjom. Przyglądający się światu z ostatnich pięter wieżowca na Manhattanie dawni przełożeni Temistoklesa pukali się teraz w głowę i polecali mu najlepszych psychiatrów, utwierdzając się jedynie w przekonaniu, że słusznie postąpili, zwolniwszy go ze służby. Natomiast posępni redaktorzy z nowojorskich gazet uznawali jeden po drugim, że ustalenia byłego agenta FBI są co najmniej wątpliwe i nie zasługują na wzmiankę na łamach szanujących się i hołdujących prawdzie tytułów. Zresztą brak zainteresowania z ich strony wynikał również z faktu, że zabójstwo Cou-cou jako temat przejadło się już czytelnikom i z merkantylnego punktu widzenia było mało atrakcyjne.

Dlatego opętany szaloną miłością do denatki Temistokles Oss postanowił sam wymierzyć sprawiedliwość i w pewien piątkowy parny wieczór

wtarabanił się z shotgunem do klubu One (mieszczącej się w piwnicy domu w Chinatown mafijnej speluny) i bez ostrzeżenia zaczął walić do siedzących na kanapach bandytów, którzy z głupimi minami przysłuchiwali się siedzącej za fortepianem czarnoskórej wokalistce. Nim sam został zastrzelony przez jednego ze znajdujących się w klubie ochroniarzy, Temistokles Oss położył trupem sześć osób, w tym domniemanego zleceniodawcę zabójstwa Cou-cou, Szczerbatego Francuza, który – jak się wkrótce okazało – nie tylko nie pożyczył aktorce żadnych siedemdziesięciu tysięcy dolarów, ale nawet jej nie znał.

Na ostatni trop w sprawie zabójstwa Cou-cou naprowadziła policję wypowiedź niejakiego Jana Goldhaariga, guru działającej od XV wieku w Holandii, Francji, Niemczech, Austrii, Polsce i Stanach Zjednoczonych tajemniczej sekty aurumistów, która za pierwszego człowieka uznawała mitycznego alchemika Tromeda (prefigurację Jezusa), nie zaś biblijnego Adama (ich zdaniem pierwszego z dwunastu demonów mających nawiedzić ziemię przed Apokalipsą). Jan Goldhaarig powiedział na łamach jednej z francuskich gazet, że zabójstwo Cou-cou było popełnione z powodów czysto religijnych, albowiem kilka lat wcześniej „ta suka (sic!)” zdradziła swój Kościół, swoich braci aurumistów, do których, podobno, należała. Toteż sekta przyznaje się do morderstwa i bierze za nie całą odpowiedzialność. Jednak i w tym wypadku śledztwo utknęło w martwym punkcie, albowiem poza wywiadem Goldhaariga policja nie miała żadnych dowodów, że to istotnie aurumiści zamordowali Cou-cou. Poza tym wiarygodność Jana Goldhaariga i jego sekty była co najmniej wątpliwa, bo morderstwo Cou-cou nie było jedynym, do którego się przyznawali. Lincoln, Napoleon, Aleksander III, Jakub Klug, Narutowicz, Houdini czy Adrienne Lecouvreur – to tylko fragment listy z ich rzekomymi ofiarami.

PIGMENT STARNY

I

1. „Bez gry nic nie ma” – to zdanie miał wypowiedzieć Baltazar Starna (1430–1479) podczas wizyty w pracowni Sebastiana Alfiera da Talamone, zwanego Il Gufo. Tak przynajmniej utrzymuje historiograf sztuki Giovanni Lamposcuro w swojej monumentalnej *Historii malarzy niedocenionych*, dziele jakże różnym od słynnych *Żywotów...* Vasariego. Czego dotyczyła ta wypowiedź, niestety nie mam bladego pojęcia. Lamposcuro przywołuje ją bez kontekstu, jako swoistego rodzaju ciekawostkę, a zarazem programowe zdanie tego mało znanego malarza miniatur. Oczywiście mógłbym wraz z wami próbować się domyślić, o co biegło artyście: domniemać na przykład, że zdanie to dotyczy obrazu Il Gufa, na którym dwóch mężczyzn rozgrywa partię szachów (*Il Riposo*), albo że jest to wypowiedź głęboko mistyczna i odnosi się do gry w Calcio Storico (była to podobno jedna z ulubionych rozrywek Starny), która zdaniem malarza konstituowała w jakiś tajemny, wewnętrzny, ba, misteryjny sposób florenckie społeczeństwo, niejako scalała je od środka. Być może jednak chodzi o coś zupełnie innego... W każdym razie ilość rozwiązań wydaje się bezgraniczna.

2. Z niewielu encyklopedii czy słowników biograficznych dowiemy się czegoś konkretnego o Baltazarze Starnie. Machiavelli w swoich *Historiach florenckich* zapewnia nas, że malarz urodził się w 1430 roku w Poggio a Caiano, w domu drobnego kupca Alfreda Starny. Jeżeli wierzyć autorowi *Księcia*, to był Baltazar Starna jedynakiem, zdradzającym talenty artystyczne introwertykiem, silnym i zwinnym hultajem, który wolny czas spędzał na bójkach z rówieśnikami, niezrównanym wirtuozem walki na koziki, zakochanym w klasycyzmie romantykiem. Namalował ledwie kilka miniatur, jeden niedokończony fresk, podobno też ozdobił zestaw majoliki, którą Medyceusze posłali w prezencie Edwardowi IV (niestety nic o tematyce tych zdobień nie wiemy). Niemniej dziełami Starny zachwycali się najwięksi artyści jego czasów. Doskonały detal, dbałość o rysunek, no i w końcu to, co było jego znakiem firmowym, jego wielką tajemnicą, jego darem, jego boską częścią, jego gwiazdą, jego światem – ten niebywale intensywny błękit, niepodobna niczemu, przechodząca przy odpowiednim zmierzchającym świetle w fiolet ultramaryna, której receptury nie znał (i miał nie poznać) nikt prócz niego, prócz starego Starny. Zazdrościli mu jej wszyscy malarze (zazdrozczą mu zresztą po dziś dzień^[36]), nawet ci najwięksi, nawet ci najbardziej docenieni, te tuzy renesansowego świata, chętni do wypitki

geniusze z lupanarów. Za jej tajemnicę zapłaciliby krocie. Dla niej pewnie mogliby zabić. I pewnie wciąż zachodzili w głowę – ci zawistnicy, próżne krasnale – jak to jest możliwe, że tak wspaniały kolor, tak niepowtarzalną barwę, taki skarb, taką siłę nie-bieską, taki cud, kryształek, tajemnicę, Starna wykorzystuje wyłącznie do malowania miniatur, kiedy przecież – głupcze! – mógłby na chwałę Pańską kościoły i pałace nią ozdabiać. „To jest grzech, drogi Baltazarze – miał mu powiedzieć rozwścieczony lichością swoich błękitów sam Botticelli. – Musisz zacząć malować większe dzieła”. „Ale kiedy ja nie potrafię” – odparł skromnie nasz zagubiony Starna.

3. W 1465 Starna wraz z grupą takich samych szaleńców jak on założył Pracownię Form Małych, której celem, jak mniemam, była w rzeczy samej całkowita negacja (anihilacja!) sztuki. Wśród tej florenckiej bohemy, wśród tych oszalałych XV-wiecznych dadaistów, ideałem, jak się zdaje, byłoby dzieło właściwie nieistniejące, zupełnie niewidoczne: nie-dzieło. Sam koncept, pomysł, nic ponadto. Dlatego też członkom tego stowarzyszenia osobliwych głupców, któremu przewodził Starna, nie wolno było w żadnym wypadku malować obrazów większych niż 2,5 cm na 2,5 cm. Za popełnienie dzieła wykraczającego poza dopuszczalne rozmiary groziła chłosta, oplucie, utrata małego palca u stopy i co oczywiste – natychmiastowe relegowanie z Pracowni Form Małych. Potem były publiczne szykany, kuksańce, mordobicia, martwe szczury pod domem, podpalenia i gwałty, dziwne wypadki (jakże dalekie od zbiegów okoliczności), aż do chwili, gdy jedynym wyjściem dla maltretowanego odszczepieńca pozostawała ucieczka do Padwy... albo samobójstwo.

4. Mimo tej czarnej legendy, tych plotek szkaradnych (rozsiewanych zapewne przez miłośników dzieł wielkoformatowych), Pracownia Form Małych miała się nadzwyczaj dobrze. Okazało się wkrótce bowiem, że na rynku jest całkiem spore zapotrzebowanie na wszelkiego rodzaju miniatury. Członkowie PFM ozdabiali zastawy majolikowe, puzderka, okolicznościowe talerze, medale, pierścienie, medaliony, inkunabuły, księgi, szkatułki, dzbany itp. Co więcej, swoje pomysły na obraz, które nigdy nie miały zostać przez nich zrealizowane, za całkiem zadowalające sumki sprzedawali mniej gibkim umysłowo malarzom dużego formatu, i tak gros dzieł z okresu quattrocenta, które można podziwiać w Galerii Uffizi we Florencji, w istocie pochodzi z tej pracowni.

Wiodło się zatem członkom Pracowni Form Małych zaskakująco dobrze. Zarabiali krocie, kupowali domy, pałace, jedwabne stroje. Bankietowali

w podmiejskich willach, pili na umór, tłukli biedaków, z biskupami wznosili toasty. Snobowali się. Żyli. Reszta zaś malarzy, tych osłów wierutnych, którzy do niedawna miniatury w czambuł potępiali i swoim pędzlem, miast szkatułki uświetniać, zdobili rozległe ściany klasztorów, teraz z zazdrością i z rozgoryczeniem w stronę tych szczęśliwych hochsztaplerów zerkała.

5. I tak powstał snobizm. Moda. Styl życia mini. Teraz każdy chciał malować miniatury. Coraz więcej malarzy, nawet tych najświetniejszych, lubujących się dotąd w dziełach o bardziej konwencjonalnych rozmiarach, zaczęło gromadnie wstępować do Pracowni Form Małych, by tam oddać się temu minimalistycznemu szaleństwu. Wielu z nich liczyło na to, że pozna tajemnicę Starny, że mistrz odkryje przed nimi recepturę fantastycznego błękitu. Inni natomiast, ci bardziej uczciwi i refleksyjni, w miniaturze znaleźli właściwą formę sztuki, jej pełnię i jej koniec zarazem.

6. Do którego grona należał Pippo Zemma, malarz, co swego czasu freskami uświetnił blisko tuzin tokańskich kościołów i którego porównywano do Masaccia, nie wiemy. Ten artysta z typu wiecznie dobrze się zapowiadających stał się wkrótce najbliższym przyjacielem Starny i jego najwierniejszym uczniem. W gronie członków Pracowni Form Małych zaczęto nawet szeptać, że to właśnie Zemmie jako jedynemu Starna zdradzi sekret swojego błękitu.

7. Ale dość o Zemmie. Stać nas na Starnę.

8. W 1476 roku Starna nieoczekiwanie porzucił malarstwo na rzecz korsarstwa i nikomu nie wyjawiając swojej wielkiej tajemnicy (Zemma musiał być niepokieszony), zaczął włóczyć się z najgorszymi mętami po Morzu Śródziemnym. Spędził w ten niezobowiązujący sposób blisko dwa lata, by któregoś dnia zejść z trapu w Neapolu i oddać się klasztornej medytacji. U stóp Wezuwiusza złożył śluby czystości i odtąd kazał się nazywać bratem Baltazarem. Ale po niecałym roku (o czerstwym chlebie i wodzie) ten niepoprawny sybaryta, który ponad wszystko cenił złoto i szafiry („Bóg powinien był wymyślić złote szafiry” – miał kiedyś powiedzieć), oczywiście wykpił się z obowiązku boskiej posługi i zrejterował z klasztoru, podążając za urokiem jakiejś podejrzanego panienki, co to w okolicznych burdelach handlowała swoimi wdziękami. Ha! wkrótce okaże się, że miała trypra.

Wiódł odtąd życie bogatego włóczęgi albo włóczącego się bogacza. Snuł plany o odbiciu Konstantynopola z rąk Turków. Marzyła mu się podróż do Akki. Pragnął też zobaczyć słonia. Odwiedził świątynie w Paestum.

Rozmawiał z bogami. W 1479 roku umarł w Palermo. Zdaniem Machiavellego powodem była dyzenteria, Lamposcuro obstaje natomiast przy otruciu.

[36] Por. *Malować słonie*, Kraków 2001, tłum. Lucjan Plat. Na 103 stronie tego przeprowadzonego przez dziennikarkę „New Yorkera” Lenę Meyer wywiadu-rzeki z Klemensem Arbarianem możemy przeczytać o fascynacji tego znanego artysty performera nie tylko samą postacią Baltazara Starny, ale również o jego „bezproduktywnym, bo nic niewnoszącym” zachwycie nad „tym tajemniczo nierealnym błękitem z obrazów mistrza”.

II

1. „Więzienie z błękitu. Morze niebieskie. Świat i fiolet”. Takiej odpowiedzi na pytanie, czym jest obraz, miał udzielić (tym razem według Vasariego) Baltazar Starna podczas wizyty w pracowni podstarzałego Paola Uccella. Jest to zresztą jedyna wzmianka o Starnie w dziele włoskiego historiografa. Brak czułego pochylenia się nad czułą biografią tego doskonałego malarza miniatur uznaję za jedno z większych niedociągnięć *Żywotów...* Zresztą pominięcie szlachetnym milczeniem wszystkich członków renesansowej Pracowni Form Małych, której Starna był pomysłodawcą i przez wiele lat jej przewodził, uważam za tyleż złośliwe, co znamienne dla tak rozkochanego w wybujałości, przepychu i blichtrze artysty, jakim był Giorgio Vasari.

„Gdzie indziej Starna miał powiedzieć: «obraz to człowiek»” – pisze w swojej epokowej księdze *Tajemnice malarzy, malarze tajemnicy* René S. Sans (nomen omen), odwołując się do wypowiedzi zacytowanej przez Vasariego.

„Budowla to człowiek” – blisko pięćset lat później wykrzyknął Gaudi, który z sobie tylko znanych pobudek uważał się za kontynuatora Pracowni Form Małych, i kilkadziesiąt minut później wpadł pod tramwaj.

2. Pana René S. Sansa odwiedziłem w jego domu pod Tuluzą kilka miesięcy temu. Jest on starym, schorowanym historykiem sztuki, który szczeni się tym, że od blisko ćwierć wieku nie był w żadnym muzeum ani galerii (uważa bowiem, że w większości dzieła sztuki, które w powszechnym mniemaniu uchodzą za oryginały, w rzeczy samej są mniej lub bardziej udanymi kopiami, zwykłymi podróbkami, przykuwającymi na krótko oko falsyfikatami...) ani też nie splamił białej kartki papieru atramentem swoich wywodów i przemyśleń („bo jak wszakże można pisać o kopiach?! To jest nieetyczne – zwierzał się na łamach jednego z branżowych periodyków «La Tulipe». – Mówienie o falsyfikatach już ze swojej istoty jest fałszywe, logika bywa nieubłagana, a ja cenię sobie prawdę, czymkolwiek ona jest”).

Sans przyjął mnie w swoim ponurym, zatęchłym gabinecie, z którego okien roztaczał się widok na kwitnący bzem, na wpół dziki ogród. Pamiętam, że nie chciał rozmawiać o Starnie, był bowiem zdania, że jedyne znane nam ukończone dzieło tego miniaturzysty, czyli znajdujący się w berlińskiej Gemäldegalerie medalionowy portret hrabiny Franceski Costanzy Biancortiki (15×15 mm), nie jest w istocie jego dziełem.

– To też falsyfikat. O dowody trudno – mówił – gdyż nie znamy innych obrazów Starny, no oczywiście poza niepokojącą dłonią z katedry w Buonigliano, ale powiem panu szczerze, że jestem głęboko przekonany, iż mamy tutaj do czynienia z kłamstwem.

– Ale przecież dowiedziono, że pigment wykorzystany do namalowania sukni hrabiny Biancortiki jest tym samym, którym mieni się słynna dłoń z Buonigliano. A sam pan przecież dobrze wie, iż nie jest żadną tajemnicą fakt, jak pisał Lamposcuro, że to właśnie ten magiczny, błękitnofioletowy pigment, którego składników i receptury nikt nie poznał, stanowił o wyjątkowości dzieł Starny.

– Bez znaczenia, drogi panie, bez znaczenia – odparł Sans. – Jest to falsyfikat, zresztą jak wszystko. Niech pan pojedzie do Buonigliano i przyjrzy się dłoni, a potem niech pan rzuci okiem na portret Biancortiki. Tych dwóch obrazów nie namalował ten sam malarz, jestem o tym przekonany...

3. Lamposcuro podaje pięć znanych dzieł Baltazara Starny:

a) *Błękitna dłoń z katedry w Buonigliano* (1462). Rozm. 150×120 mm. Na północnej ścianie kościoła pod wezwaniem Filipa Apostoła, tuż obok trzeciego przęsła, ludzka dłoń w kolorze ultramaryny zaciska się w pięść. Jak głosi legenda, Starna w wieku trzydziestu dwóch lat podjął się namalowania dużego fresku, który miał przedstawiać losy patrona świątyni. Była to pierwsza i zarazem ostatnia próba tego malarza, by stworzyć obraz normalnych rozmiarów (zapewne myślał jeszcze wtedy, że coś takiego jak normalny rozmiar istnieje i że będzie mu dostępny – naiwniak).

Pół roku strawił ten mistrz miniatury na namalowanie dłoni Apostoła, po czym nikogo nie uprzedzając, wyjechał z Buonigliano, by już nigdy się tam nie pojawić. Messer Tagillioni, najbardziej szanowany pierwszy obywatel miasta, wysłał za Starną swojego najstarszego syna z misją nakłonienia malarza do powrotu. Młody Tagillioni odnalazł Starnę w karczmie nieopodal Poggibonsi, gdy ten na rogu stołu wykuwał rylcem swój miniaturowy autoportret. Jak podaje Lamposcuro, powołując się na słowa Tagillioniego, „Starna sprawiał wrażenie szaleńca, który patrząc w przepaść, nie ma nawet siły ani woli, by w nią wskoczyć”. Nietrudno się domyślić, że wszelkie próby nakłonienia artysty do powrotu i podjęcia na nowo prac nad porzuconym niedawno dziełem nie odniosły skutku...

b) *Pokłon Trzech Króli* (1465). Rozm. 20×25 mm. Obraz został namalowany na majolikowym talerzu i подарowany w prezencie Giulianowi

di Piero de Medici na jego dwunaste urodziny. Urzekająca dbałość o detal, doskonała kompozycja oraz niezrównane błękitnofioletowe niebo, które „barwą nie przypominało niczego znanego na ziemi” (Lamposcuro) – to wszystko spowodowało, że Benozzo Gozzoli na widok miniatury Starny miał powiedzieć: „W tej chwili każde dzieło, które dotąd namalowałem, wydaje mi się nieistotne”.

c) *Widok miasta albo Kobieta z dzbanem* (1468). Rozm. 10×10 mm. Fantasmagoryczna weduta popełniona na spodzie zaginionego obrazu Antonia Pollaiuolo *Odyseusz w Hadesie*. Zdaniem współczesnych Starnie historiografów była to podobno niezrównana, choć szalona panorama wyśnionego przez artystę miasta. Od samego początku oko przykuwała niezwykła barwa przepływającej pod mostem rzeki, z której starsza kobieta nabierała wodę do seledynowego dzbana.

d) *Kurnik* (1471). Rozm. 14×16 mm. Cóż za nowoczesny temat, cóż za pogarda dla panujących kanonów. Współcześni z pewnością nie potrafili zrozumieć tej miniatury. Wykraczała ona daleko w przyszłość – w czasy, gdy świętych i herosów zastąpiły śnięte ryby, tulipany, ponure wiatraki i portrety kobiet ważących perły. Utrzymana w ciemnej kolorystyce miniatura wnętrza kurnika, którą Starna popełnił na wieczku metalowego puzderka podarowanego w prezencie ślubnym Francesce Chiaro, księżnej Scuro, zachwycała kunsztem, aczkolwiek interpretatorom dzieł Starny nastęrczyła wielu problemów. Próbowano z niej (trochę na siłę) uczynić złośliwą alegorię rządów florenckiej Signorii albo – bardziej generalnie – malarską diagnozę geopolitycznej sytuacji na podzielonym Półwyspie Apenińskim.

f) *Portret hrabiny Franceski Costanzy Biancortiki* (?). Rozm. 15×15 mm. Renesansowy do bólu, niebywale wymowny, choć pozbawiony dawnej staranności medalionowy portret, którego namalowanie podobno zajęło Starnie dwa lata. René S. Sans uważa, że portret nie jest dziełem Starny, ale jednego z jego uczniów bądź akolitów Pracowni Form Małych. W swojej opinii jest jednak osamotniony, większość historyków sztuki bowiem, z berlińskimi na czele, przypisuje portret mistrzowi i nie chce nawet słyszeć, że zrabowany podczas wojny miniaturowy skarb jest falsyfikatem. Niewyraźna, przypominająca jelito małego nicienia błękitna literka „S”, która przecina paznokieć hrabiny jak niepokorna rzeka różową krainę, jest – ich zdaniem – koronnym dowodem na to, że to właśnie Starna ów portret popełnił, a nie tam jakiś inny, gorszy, podszywający się pod mistrza pośledni i bezimienny uczeń.

4. Kolor, czas, imię – tajemnice splecione w warkocz.

5. Cztery nienamalowane obrazy Baltazara Starny, które uchodziły za szczytowe osiągnięcia Pracowni Form Małych:

a) *Ecce Homo*, czyli twarz ukrzyżowanego czarnoskórego Jezusa odbita w wypukłym zwierciadle.

b) *Niewola awiniońska*, czyli poczet wszystkich antypapieży w wulkanicznej scenerii.

c) *Sprawa poetów kolońskich*, wzorowane na rzezi niewiniątek naturalistyczne przedstawienie masowego mordu, jakiego dopuścił się palatyn reński na grupie mieszkających w Kolonii francuskojęzycznych poetów, którzy w swoich wierszach „dotykali pneumy” (Ezra La Very), a język mieli czysty jak „wody Renu i Neckaru” (Tzelin). Zdaniem Palatyna ci zbyt swobodnie noszący się ekscentrycy w istocie byli mogunckimi spiskowcami i zakamuflowanymi wyznawcami tajemniczej herezji, która przedmiotem kultu uczyniła żuki i złoto. Jedynie dwóm z blisko trzydziestu poetów udało się przeżyć rzeź i zbiec przed gniewem palatyna do Flandrii (por. *Żeń-szeń* Wolfganga Teuera, Kolonia 1978).

6. Baltazar Starna w popkulturze:

a) W doskonałym, choć niedocenionym filmie brytyjskiego reżysera Johna Goodarta (ekranizacji powieści Charlesa Riska *Pochmurny chór*) pojawia się na moment szkatuła, której wieczko „przyozdobił w błękitne jaskółki” sam mistrz Starna. Jak się wkrótce okazuje, jest to jedynie marny falsyfikat (ach, ten nieomylny detektyw Bishop!), za pomocą którego pazerna panna Q. próbowała wyłudzić dwa miliony dolarów od domu aukcyjnego Sotheby’s.

b) W czwartym numerze legendarnego już komiksu *Captain Duplicat* (Kapitan Duplikat), autorstwa Oswalda Corvaxa, jeden z przeciwników tytułowego bohatera, niejaki Starnack, posiada nadprzyrodzoną umiejętność natychmiastowego miniaturyzowania siebie do rozmiarów niewidocznych gołym okiem. W następnym – piątym (i niestety ostatnim) – numerze wychodzi na jaw, że za tym mrocznym pseudonimem ukrywa się przebiegły kandydat na burmistrza miasta Littbattlehood, uwielbiany przez kobiety, szanowany, prawy obywatel, niejaki pan Melchior Partridge.

III

1. Oto wiersz pochodzącego z Kempen Rainera Tzelina pt. *Miniatura Starny*, za który ten szanowany poeta otrzymał pierwszą nagrodę na organizowanym przez ratusz konkursie poetyckim w Kaiserslautern:

Weź ziemię z głębi

Tu.

Może nie –

Bieski kwiat:

Fiołek

O co tu chodzi? Jaki fiołek? I co to wszystko ma wspólnego ze Starną? Nie mam bladego pojęcia. Grunt, że docenili go surowi jurorzy z Nadrenii. Zapewne na skraju Lasu Palatynackiego usiadł skołowany, niewierzący słowom poeta i popełnił tę jakże niewinną, choć podobno głęboką miniaturkę. Tzelin znany jest zresztą z tego, że w 1985 roku opublikował manifest *Moratorium z praw poetów kolońskich*, w którym domagał się od władz Palatynatu jasnej deklaracji, że już nigdy nie podniosą ręki na żadnego poetę i nie pozbawią go jego jedyne go źródła natchnienia i dochodu, czyli głowy. Manifest przez wielu kolegów po piórze został przyjęty z pobłażliwym uśmiechem, ale trzeba też przyznać uczciwie, że znalazła się grupa neurotycznych gryzpiórków, którzy w try miga podpisali się obiema rękami pod treścią odezwy i uznali ją za dokument szalenie ważny w skali światowej. Dlatego też czym prędzej powielili go i w liczbie dwustu kilkunastu egzemplarzy powysyłali do władców całego świata. Ze wszystkich kancelarii, na których biurkach wylądowało *Moratorium*, odpowiedziała tylko jedna: kancelaria prezydenta Burkina Faso w Wagadugu. Thomas Isidore Noël Sankara napisał długi i uprzejmy list, w którym zapewnił Rainera Tzelina, że „w kraju prawych ludzi” poetów się nie dekapituje, ale „wielbi i czci”, po czym w ostatniej linijce trzystronicowego elaboratu zaprosił niemieckiego poetę (nazywając go przy tym „błękitnym słowikiem na brunatnym niebie”) do odwiedzenia jego prezydenckiej posiadłości i zamieszkania w Burkina. Toteż Rainer Tzelin, podekscytowany możliwością ułożenia sobie życia w afrykańskim interiorze u boku światłego władcy, spakował się czym prędzej do szarej podróżnej torby i nie zwlekając ani chwili, wyjechał na drugi kontynent, gdzie, jak mniemał, dadzą mu swobodnie głosić „Jedność, Postęp i Sprawiedliwość”. Jego późniejsze perypetie i tragiczna śmierć w przypominającej ślepą kizkę kabinie

błękitnego parostatku na równie błękitnej rzece Kongo to materiał na zupełnie inną, doskonałą książkę – materiał, z którego być może w przyszłości skorzystam. Chyba że znów wyprzedzi mnie Modest Modest, ten marynistyczno-modernistyczny łowca cudzych pomysłów.

2. „Cień jest potężniejszy niż światło, albowiem światło nie jest nigdy w stanie rozproszyć całkowicie cieni na ciałach stałych”. Leonardo da Vinci, *Traktat o malarstwie*.

3. Krytycy o Starnie:

„Stary Starna, niezdarny w ruchach, dokładny w dziele”. Luigi Pienomonte

„Błękit, trochę ziemi, dokładny rysunek, magia ubóstwa”. Hermann Topolowsky

„Gdyby na świecie liczyło się to, co drobne, a nie to, co znaczne, Starna zajmowałby dzisiaj miejsce wśród największych mistrzów malarstwa”. William Stubber

„Dramat Starny polegał na tym, że był za wielki na miniatury i za miniaturowy na wielkość”. Francesco Marino

„Teraz zapewne zapłacilibyśmy każde pieniądze za możliwość oglądania błękitów Starny. Kiedyś, zdaje mi się, dostrzegłem ten magiczny kolor, gdy o promiennym świetle szedłem w stronę Montalcino i zza szpaleru cyprysów dojrzałem bezbrzeżny świeży błękit rozkwitającego światłem nieba”. Tadeusz Lobo

„Nie znoszę tego jego brandzlowania się miniaturami. Ja tym po prostu rzygam”. Oskar W. Rex

4. „Gdy widzę świat – jest jasny. Gdy o nim myślę – fioletowieje” – to rzekomo są także słowa Starny. Przywołuje je za Zemmą niemiecki kronikarz Otto Wissenbach von Taden, który podobno miał spotkać ucznia Starny w Stuttgarcie podczas jakiegoś pomniejszego turnieju rycerskiego, na którym lało się dużo piwa, a puciołowate kobiety pokazywały pośladki.

IV

1. Do Buonigliano pojechałem we wrześniu. Jest to zresztą najlepsza pora na włoskie wędrówki. Wrzesień. Wrze sień. Upał wrzała sień w domu, w którym mieszkałem, na niewielkim wzniesieniu nad autostradą. Z oddali dostrzegałem pięć szczytujących w słońcu wież Buonigliano. Pamiętam zresztą, że doszło wtedy do zabawnej koherencji pomiędzy światem słów a światem rzeczy. Przeglądałem słownik w poszukiwaniu znaczenia słowa *sterilitá*. Wpierw mój wzrok padł na *stanotte*, potem, po przrzuceniu strony, natrafiłem na kolejny kwiatek: *Spruzzo*. I tak język wykreował rzeczywistość. Nie muszę chyba mówić, co dokładnie robiłem w noc poprzedzającą wycieczkę do „zaciśniętej pięści” (ach, znów ta koincydencja) Starny. Pamiętam, że gdy wstałem o brzasku wymęczony nocnymi awanturami, niebo było cynamonowe.

2. Dynamo nowe, napędzane moimi steranymi łydkami, rozbudzało niemrawe światło w chromowanej lampce zamontowanej u nasady kierownicy. Było jeszcze dość ciemno i okrągły żółtopopielaty ślad żarówki kreślił dziwne spirale w rytm mojej jakże nieregularnej jazdy. Szczególnie na podjazdach, gdy rower pod moim sporym ciężarem chwiał się i jęczał, niewyraźne światło, rozmywające się na szutrze i znikające w kamieniach, przypominało jakieś zwariowane ciało niebieskie, jakąś oszalałą gwiazdę, która niechybnie dąży do samounicestwienia.

3. Około godziny ósmej rano wjechałem przez Porta Romana do małego, cichego miasteczka, którego mieszkańcy – jak się miałem przy okazji dowiedzieć – szczycili się tym, że w 1440 roku przez blisko pół roku stawiali waleczny opór oblegającym ich wojskom samego Niccolò Piccinina. Gdy w końcu zmuszeni do opuszczenia twierdzy (głód i cholera) stoczyli otwartą, ale zakończoną dotkliwą klęską bitwę na rozłożystych podmokłych polach pod miastem, słynny kondotier w uznaniu dla męstwa przeciwników postanowił oszczędzić ich domostwa i ich kobiety (cholera?!), za co zresztą w niecały rok później ufundowano mu na głównym placu przed katedrą dość koszmarny pomnik.

4. Katedra otwarta była dopiero o dziesiątej. Miałem zatem blisko dwie godziny na spokojny spacer i wypicie kawy. Na wszystkich słupach ogłoszeniowych, ścianach, tablicach wisiły podarte plakaty reklamujące odbywające się w tych dniach na placu katedralnym koncerty i recitale. W dniu, w którym akurat gościłem w Buonigliano, miało się odbyć

nowatorskie wykonanie jednego z koncertów Le Meera (artyści mieli grać wyłącznie na kotłach, krzesłach, piłach i grzebieniach). Tym jednak, co przykuło moją uwagę, była propozycja na dzień następny, a mianowicie słynne, skomponowane przez Friedricha Schönbacha oratorium *Siedem praw poetów kolońskich*. Stąd też niemal natychmiast podjąłem decyzję o pozostaniu w tym domu z wrzącą sienią na jeszcze jeden dzień, jeszcze jedną noc bezwzględnie zmagania się z okrutnym bogiem...

5. Dłoń, ach ta dłoń. Zaciśnięta pięść. Zaciśnięta ultramaryna. Marynata z ultramaryny. Błękitna o świcie, fioletowa wieczorem Dłoń Starny. Dłoń, która przypomina słonia, żyrafę, Marię, Chrystusa, dłoń świętego Filipa, ukrywająca gołębie barka, koniec końców, początek początków, dłoń śmiała, dłoń onanisty, bóg, krzesło, kilka drzew, obłoki, mały dom ze śpiącym dzieckiem, żłobek, sople, zwycięstwo i porażka, firmament z płomiennymi gwiazdami, srebrny księżyc zachodzący za wzgórze, morderca i ofiara, pokutnik; dłoń zdrajcy i zdradzanego, kobieca i męska, dłoń. Toń... Toń... Dłoń... Dłoń... Dłoń...

6. Noc upojna. Oratorium *Siedem praw poetów kolońskich* do bani!

V

1.

Szanowny Panie Sans,

To prawda: wszystko jest kopią. Wszystko jest kopią, odkąd pojawił się język. A zatem fakt, że uważa Pan pewne dzieła za nieoryginalne, skopiowane, sfalszowane, nie powinien budzić Pańskiego gniewu (milczenie owszem, to logiczne, bo mówić to znaczy kopiować, ale nie gniew). Bo summa summarum gdzież nam do tych genialnych kopistów. Kto z nas mógłby powiedzieć o sobie, że jest fałszerzem doskonałym. Kopiujemy żyjąc, ale rzecz w tym, by kopiować świadomie, brać na siebie ciężar odpowiedzialności za kopię, fałszować z rozmysłem. Nie dać się zwieść złudzeniu, że coś takiego jak rzeczywistość, rzeczy-oczywistość, istnieje. Świat jest kopią, Pan jest kopią, ja jestem kopią (nie muszę chyba mówić, że filozofowie już dawno na to wpadli). Zatem nauczymy się żyć w tym skopiowanym świecie, nauczymy się podziwiać kopie. Kopiujemy kopulując, kopulujemy kopiując – i tak do końca, i tak do woli!

Panu oddany

W. M.

PS Czy byłby Pan tak łaskawy przesać mi jakieś pieniądze? Chciałbym się wybrać do Berlina, żeby zobaczyć portret Cortiki, a szczerze powiedziawszy, ostatnio trochę marnie u mnie z kasą. Z góry dziękuję!

2. Gdzie i jak zmarł Starna? Samotnie na dyzenterię? Czy może został otruty? A jeżeli tak, to przez kogo? Kiedyś śnił mi się Starna.

3. A jednak pan René Sans miał rację...

4. Portret hrabiny Cortiki z pewnością nie jest dziełem Starny. Nie chodzi o styl, o detale, o niechlujstwo. Portretu hrabiny Cortiki nie mógł namalować Starna z bardzo prostego powodu, albowiem w chwili jego powstania już nie żył. Kiedy przyjrzymy się dokładnie znajdującemu się za hrabiną oknu, kiedy wściubimy w mikroskop albo lupę oko i wyteżymy je na tyle, że będzie mogło dostrzec za plecami Cortiki kroplę tego magicznego błękitu, to ultramarynowe niebo, ten kolor, którego pigmenty pozostaną już na zawsze tajemnicą (nawet współczesna chemia jest wobec nich bezbronna), ten koronny dowód wszystkich wywodów niemieckich historyków sztuki, którzy na jego podstawie przesądzi o autorstwie Starny, i kiedy zerkniemy niżej, pod ten ultramarynowany raj ultramaryny, to ujrzymy małą czarno-białą plamkę, niby nic nieznaczący detal, a jednak detal rozstrzygający. Za plecami

Cortiki widzimy pałac hrabiego Rudolfa von Felbach-Weiblingen, zapewne kochanka hrabiny, z jego charakterystyczną fasadą, przyozdobioną delfinami i palmami, znakami rodowymi stuttgarckiej gałęzi rodziny Felbach-Weiblingen.

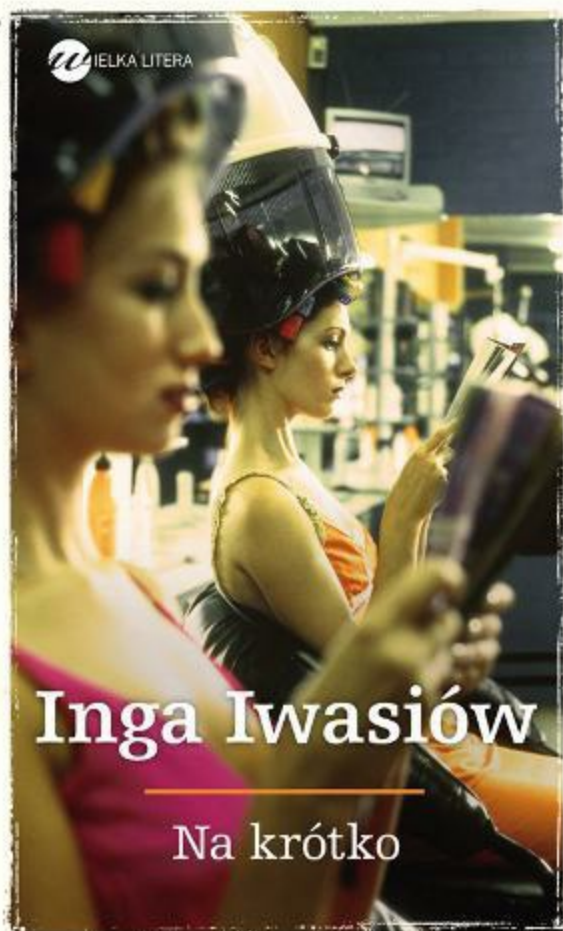
Pałac hrabiego Rudolfa von Felbach-Weiblingen został wybudowany w 1480. Starna zmarł w 1479.

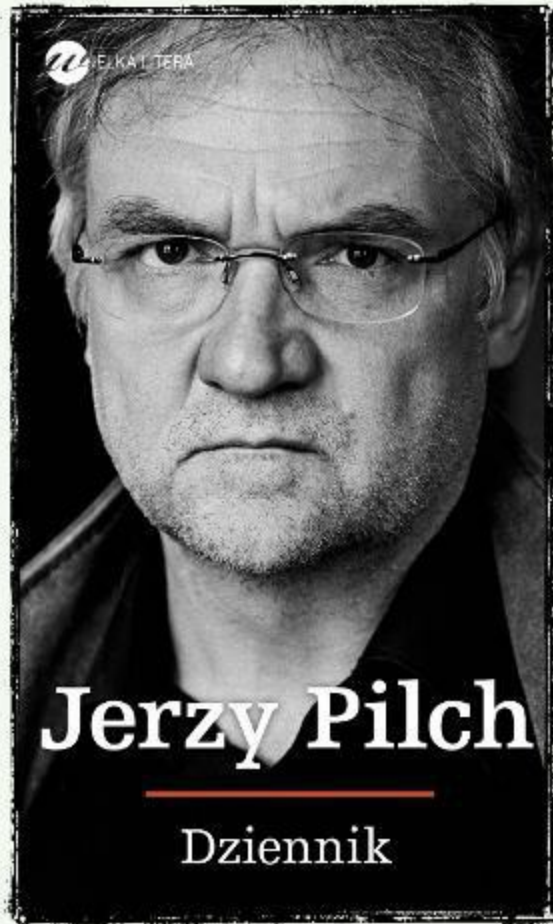
4. W kościele kolegiальnym w Stuttgarcie na południowej ścianie obok chóru znalazłem niewielkie epitafium poświęcone zmarłemu w 1483 Filipowi Zemie.

5. Na portrecie hrabina prawą dłoń ma ułożoną na podbrzuszu. Paznokieć przecina błękitna literka „S”. Natomiast w lewej dłoni trzyma zwrócone pod kątem w stronę widza lustro. Gdy przyjrzymy się dokładnie, to zauważymy, że lustro odbija prawą dłoń kobiety, i tak przecinająca paznokieć serdecznego palca litera „S” staje się tym samym literą „Z” – subtelnym podpisem złodzieja koloru.

6. Jednak uczeń kopista nie pozostał taki bezimienny.

W serii CZYTELNIĄ POLSKA:





u WYDAWNICTWO KAT TERA

Jerzy Pilch

Dziennik